

Chore dusze, tom I





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Chore dusze

TOM I

Wieczór był jesienny, ostatnich dni sierpnia w Rzymie, z którego w tym miesiącu ucieka kto może, do którego w tej porze nie przebywa nikt, oprócz tych co ich konieczność jakaś zagna do wiekuiściej stolicy.

Na drugim piętrze domu na Via Sistina okna stały otworem; gorąco, pomimo nadchodzącej nocy, było jeszcze nieznośne. Wdali na niebiosach jasnych malowała się ciemno majestatyczna kopuła bazyliki Ś. Piotra i w gmachach Watykanu widać było zapalające się światełka.

Cisza smętna, grobowa leżała nad olbrzymią, w ruinach tysiącoletnich stolicą, ledwie niekiedy szmerem jakimś powietrznym lub dźwiękiem wieczornych dzwonek klasztor-nych przerywana.

Smutek wiekuisty ludzi tęskniących duszami ku czemuś nieokręślonemu, upragnio-nemu i niedoścignionemu, ciężył nad temi wspaniałemi gruzami, ponad któremi nowe gmachy i wskrzeszone życie chórem z ruinami mówiło: Człowiecze, nic niema wiecznego na ziemi!

Lecz ponad ziemią przyciśniętą dusznemi opary jaśniały wiekuiście niebiosa wypogo-dzone, na których gdzieniegdzie migotały już z ciemności główki gwiazdek promieniste.

Na ziemi smutno było jak w grobie, na niebiosach pogodnie, jasno, spokojnie...

Tu w tém mrowisku, na rumowiskach poruszało się życie zbolale; tam błyszczwały śmiejące się wiekuiście światełka, wśród majestatycznie rozpostartych przestrzeni eteru.

I chciało się w tej chwili patrzeć w górę, aby nie widzieć co się dzieje pod stopami. Tu życie miało fizyognomią śmierci, tam śmierć gasnących aerolitów jaśniała życiem.

Są wszędy smutne wieczory takie, nawet tam, gdzie je myśl i ręka płocha chce we-sołemi uczynić; lecz nigdzie smutek ludzki, nieokręślony ów, przyniesiony z życiem, nie ściska tak duszy, jak na tém pobojowisku wieków, które się Rzymem zowie.

Jest-to wyschłe serce świata, który żyć przestał, a na którego mogile wyrosło zdrobniałe życie nowe, napół z piersi trupiiej wysane.

Potężne te ruiny, skorupa potworu, którego ramiona obejmowały cały naówczas znany świat, do dziś dnia mówią o olbrzymie, zjedzonym przez drobne mrowie barbarzyństwa.

Termity z północy, pełnące po ziemi, podgryzły i podkopały tę przerosłą potęgę i w proch ją obrócily. Gotowały podściół pod nowy posiew Boży, dla mającego z ruin i mrowia urosnąć świata.

Pomiędzy tém, co się tu w grób położyło, a tém, co się zrodziło na grobie, legła przepaść wieków, półmroku i cienia.

Na małym balkonie domu niegdyś Sobieskiego, dziś zowiącego się Casa Bartholdi, stało osób kilka zadumanych, wpatrzonych w krajobraz wieczora, milczących, nieśmia-nych wydać głosu, aby nie sprofanować tej ciszy uroczystej, modlitewnej całego stworze-nia. Wolno tylko było dzwonom wśród niej jęzcć tęsknicą klasztorną, modlitwą pokorną i wiatrowi od gór i stepów szemrzcć ziemi „dobranoc.”

Nikt nie nakazywał tego milczenia, a wszyscy nakaz zgóry płynący czuli w duszach zarówno i byli mu posłuszni. W jednej chwili zerwały się różnobarwne nici ponawiają-nych myśli, usta zadrgały, odrętwiały i musiały zaniemić.

W taką ciszę, mówi lud nasz, że anioł przeleciał, anioł niewidzialny, niosący myśl nieziemską i odrywający dusze, aby nie przyrosły do gnojnej powłoki cmentarza.

Anioł przeleciał i skrzydły białemi dotknął wszystkich głów, w których było mętno, wszystkich serc, w których było ponuro i ciemno, rzucając z rosą wieczora, jak perłę, słowo pociechy i miłosierdzia, pocałunek nieba dany ziemi:

— *Pax! Pax!*

I stała się chwila pokoju tam, gdzie go nigdy nie bywa, bo życie jest bojem i wrzawą, a była chwila ta krótką, jak oka mgnienie.

Wstrzymały się głosy i oddechy w tym spokoju błogim; lecz natychmiast życie się praw swych upomniało, oczy z niebios zwróciły się ku ludziom i mrokom, zastygłe głosy z ust się napięrać zaczęły.

Sparty o poręcz małego balkonu, stał z siwymi włosy okrytą, podniesioną głową mężczyzna, którego twarz odbłask łuny wieczornej łagodnym światłem obléwał.

Wiek jego trudno było odgadnąć; włos mu się srebrozył na skroni, a oblicze zdało się, o tój zwłaszcza wieczornej godzinie, młode jeszcze i życia pełne. Ciemne oczy, przysłonięte powiekami nawpół zapuszczonemi, patrzyły w świat, lejąc z siebie strumienie światła, w głębi jeszcze gorejącego. Czoło miał wypogodzone, jak owo niebo wieczorne, na policzkach bladych nie widniały zmarszczki, tylko około kształtnych ust, zaciśniętych nieco, zarysowywały się drogi, którymi uśmiech dobroci lub łagodnego szyderstwa przechodząc, wydeptał je powoli.

Patrząc w tę twarz, ktoś nieznamy, pociągnięty jój wyrazem, musiałby był sobie zadać pytanie, co ona mówiła, co znaczyła, z czego wzrosła i w co jeszcze mogła się obrócić? Mimo siwych włosów, twarz to bowiem była nieskończona, niezastygła. Nie był to gips stęzwały, ale glina, którą dotknięcie wielkiego mistrza, losu, mogło uczynić arcydziełem, albo obrócić w nieforemną bryłę ziemi.

Człowiek ten nęcił czémś niełatwém do wyczytania.

Po za nim można się było domyślać całego szeregu postaci wielkich, których on krwi i myśli był spadkobiercą. Wpatrując się w niego, odgadywałeś krew bohaterów miecza i bohaterów ducha, po których on wziął organizm już zwątlony, ale wyszlachetniony. Można go było jeszcze odziać w żelazną zbroję starą i serce by mu do niej i w niej uderzyło prajcowskimi wspomnieniami; ale długoby dźwigać jój nie podolał. Hełm nazbytby mu cisnął to czoło, pod którym teraz odegrywał się cały dramat jego życia.

Gdyby nie ten siwy włos, co mu bujnie spadał na ramiona, z postawy wyniosłej, niezłamanej życiem, z silnej i zręcznej budowy ciała, hrabiego Augusta wzięłoby było można za młodzieńca, chociaż ani strojem, ani wymuszonymi ruchy nie starał się lat ująć sobie, a swą siwizną zdawał się chlubić.

Wyraz oblicza tego, przysłoniętego tajemnicą, zagadkowego, był smutny, ale spokojny i łagodny, jakby kogoś co z wielkiego boju powrócił ranny i bliznom się dał zasklepić, choć o nich nie zapomniał.

W drugim rogu małego balkonu, gdyby artysta chciał być umyślnie kontrast postawić, nie mógłby szczęśliwiej dobrać przekornej postaci. Pochylony, dziwnie jakoś zwinięty i skręcony, stał człowieczek niestary jeszcze, z krótko postrzyżoną, rzadkim blond włosom okrytą głową. Wzrostu był znacznie mniejszego od swojego towarzysza, krzepki także, lecz nawet gdy chciał być spokojnym, wszystko w nim drgać się zdawało niecierpliwie. Te niesforne ruchy zdradzały naturę, w której równowagi nie było jeszcze, lub nigdy już ona przyjść nie miała.

Ogolona twarz, ni młoda ni stara, nie miała oklepanego typu Mefistofila, choć może nadałoby go sobie pragnęła; wyraz jój był ziemsko-szatański, jednego ze służek pana ciemności. Rysów wybitnych nie miała; nos, oczy, czoło były jak u wszystkich tych ludu, na których spojrzawszy raz, już się więcej nie ma patrzeć ochoty i po chwili o nich się zapomina.

Masce tój jednak pospolitej wewnętrzny ogień nadawał wyrazy niespodziane, tak coraz nieskończenie odmienne, że w jednej chwili stawała się na przemiany miłą i wstrętliwą. Charakter jój stanowiła ta ruchawość niezmierna, niezmordowana, te błyskawiczne przemiany, które się dokonywały na rozkaz niespokojnego ducha — może nato, aby stan jego przysłoniły i zakryły.

Twaz pierwszego z nich swą powagą ufność budziła, drugiego niepokój i obawę.

Wziasie tego milczenia — przelotu anioła — siwowłosy stał jakby się modlił, mały jakby chciał sztydzić, a czuł się jakąś potęgą silniejszą niż on skrzepowany.

Cała jego postać wyrażała walkę z tą potęgą której oprzeć się nie mógł, a przeciw której bezsilnie się buntował. Ciekaw tego co jego towarzysz doznawał, wpatrywał się weń bacznie, uroczystym spokojem jego upokorzony.

Siwowłosy patrzył wpół zmrużonemi oczyma na niebo i kopulę św. Piotra; towarzysz spuścił wzrok w małą uliczkę pustą, nad którą balkonik jak gniazdo jaskółcze był zawieszony.

W ogródku, którego bujna roślinność z za murów odrapanych rwała się dogóry ku powietrzu i słońcu, woniały rozkwitłe krzaki jaśminu i gardenii. Schylony ku ziemi, upajał się ich zapachem.

Ale tuż zblizka zalatywała z ulicznej, niewidzialnej kuchenki frittura i strutto wieczerzy i mieszając się z temi wydechy niebieskimi kwiatów przypominały, że na ziemi raj u nié ma.

Siwowłosy, który się nie schylał tak nízko, czuł może tylko gardenii wonie; drugiego dusiła frittura.

Nie byli sami na balkonie.

We drzwiach, z saloniku na balkon wiodących, stała kobiéta w prostéj, białéj sukience, cień niby jakiejś kreacyi Ary-Schefera, którą przypominała wdziękiem naiwnym i układem archaicznym draperyi, jakby ze starego zapożyczonym posągu.

I ją przelatujący anioł milczenia potracił skrzydły białemi. Stała w niebo wpatrzona, ze słowem na ustach zamarlém, a pięknie jéj z tém było, jakby zrodziła się do żywota wiecznego w posągu i była widmem uroczém, co mówi bez słowa, co żyje bez krwi i łez.

Nie można było odgadnąć jak wyglądała we dnie, ale wśród tego mroku, słabém blasku wieczornego odbiciem oblana łagodnie, idealną się wydawała. Można się było obawiać, aby z zorzą wieczora nie rozplynęła się w powietrzu.

Twarz jéj prześliczną bujne, czarności kruczéj otaczały włosy, dosyć niedbale zawiązane, nie bez mimowolnego może naśladowania posągowych warkoczy niewiast greckich. Piękności jéj, jaką była w téj chwili, ani opisać, ani odmalować niepodobna. Twarz miała cesarzowej rzymskiéj, bogini Hellenów, Psychy, gdy ją Amor odleciał. Czarne oczy nie patrzyły wesoło i usta były smutne, choć młodość jeszcze ją opromieniała, choć stała we wrotach życia.

Ale już niepokalaną świeżość policzków lzy zetrzeć musiały, oczy splakane zapadły głębiéj, z warg odleciał uśmiech dziecięcy, a siadły na nich ironia i zwątpienie. Wsparta o ramy drzwi otwartych, z rękami na piersiach założonemi, nieruchomą była jak posąg; oczy jéj tylko to podnosiły się ku łunie wieczora, to spadały pod nogi.

Tuż obok niéj, we drzwiach o drugą ich stronę oparty, stał młody, w kwiecie wieku, życia i zdrowia mężczyzna, którego piękne rysy, pokrewne twarzy kobiety, kazały się w nim domyślać brata. Podobieństwo obojga było zarazem dowodem, iż jedne rysy i piękność jedna idealną lub pospolitą być może, gdy dusza je opromieni lub osięroci.

Młodzieniec stał milczący, ale milczenie jego nie pochodziło z dusznej potrzeby, było raczej grzecznością i ustępstwem dla towarzystwa, wśród którego się znajdował. Oczy jego przelatowały ciekawie to na siwowłosego mężczyznę, to na drgającego jego towarzysza, wreszcie ukradkiem padały na zamyśloną siostrę. W nim grała jeszcze młodość krwi, nie ducha, chciwa pochwycenia wszystkich życia tajemnic i wszystkich rozkoszy, a wszelkim spokojem niecierpliwiąca się, jak skarbem zmarnowanym.

Z téj czwórki on jeden jeszcze był nieprzesycony, niezniechęcony; pragnął i rwał się na bojowisko życia. Ręce jego niecierpliwie rwały łańcuszek od zegarka, chwytaly suknie, szukały jakby oręża do walki.

Milczenie, choć krótkie, ale tak zgodne i znaczące, było dlań niepojętém. Anioł ciszy i pokoju skrzydłem go ominął.

Nareszcie!

Z głębi téj ciszy wyrwało się westchnienie, szept prawie niedosłyszany, który wyszedł z ust siwowłosego:

— Roma!

W jednym tym wyrazie zamknął on wszystko.

— Roma! — echem powtórzyła za nim, długim wejrzeniem ciekawém mierząc go kobiéta. — Roma! a ja, istota maluczka, słaba, w téj chwili, gdym jak wy, panie hrabio, powinna była zatopić się cała w tęsknocie rzymskiéj — ja poleciałam myślą — więcie dokąd?... tam, tam, gdzie szumią puszcze nawpół wypalone, gdzie wiatr szerokie piaszczyste pola przelata, gdzie brzęczą komarów roje i chóry żab naszych śpiévają, gdzie czuć dym chłopskich chat, a od łąk wilgotne płyną wonie wierzb i lotoci... Popęniłam może świętokradztwo, wielką tęsknotę Rzymu, żeniąc i krewniąc z tą, która tam wiekiúicie leży życiem nierozpoczętém, tak jak tu życiem przerwaném.

Siwowłosy słuchał i ostatnim słowem pięknej pani, których dźwięk brzmiał jakby muzyką, dał się rozwiać i rozplynąć, nim sam przemówić się ośmielił.

— Wszystkie ziemskie tęsknoty są krewne — rzekł. — Ale czy w Rzymie, czy w puszczech poleskich, niezdrowo karmić się niemi. Są to mogilne kwiaty; prawdziwe życie ubierać się w nie niepowinno. Tęsknota pęta i osłabia.

— Jakże się jój oprzeć? — zapytała kobieta.

— Nie wiem, ale opierać się trzeba. Tęsknoty są-to śmierci zwiastuny. Starym ludziom strzedz się trzeba drżemania we dnie, młodym tęsknot i smutków.

Mały, ruchawy człeczek, oparty o drugą stronę balkonu, podniósł się, usłyszawszy głosy, odwrócił, rękami wtył odwróconemi sparł na poręczy i ciekawie nadstawiał ucha. Oko jego badało siwowłosego towarzysza. Spokój z jakim mówił drażnił go i burzył.

Młodzieniec przy siostrze stojący rozpoczęcie rozmowy powitał jak wybawienie. Twarz mu się rozjaśniła; zdawał się mówić:

— A! przecież!

— W Rzymie przynajmniej tęsknoty nikomu za grzech poczytać się nie godzi — odezwała się kobieta. — Dla mnie tu najmniej jest zrozumiałym karnawał, szal, wesele, pusty śmiech na tym grobowcu, który uszanować trzeba.

— Ale ten grobowiec stał się kolébką — rzekł siwy spokojnie.

— A! — przerwał mały z uśmiechem — koléбка z kawałków trumny, rzecz wcale niewesoła!

— Trzeba się z tém jednak pogodzić — odpowiedział towarzysz na balkonie stojący — bo wszystko na świecie co jest życiem, wyrasta ze śmierci.

Kobieta westchnęła cicho; wszyscy zamilkli znowu.

— Ja ledwie się śmiem odezwać — zadźwięczał młody, wesoły głos stojącego we drzwiach, na¹scy z Rzymu uciekają, gdy mówią że powietrze jest tu najniezdrowsze, gdy taka wokoło pustka?

Kobieta, której twarz przy lampie niemniej była piękną, ale smutniejszą i jakby przed czasem zwiedniałą i zmęczoną, popatrzyła długo na mówiącego, tak długo, iż miał czas, ubodnięty tém wejrzaniem chłodném, zmieszać się i rozważyć, że pytanie zrobił niedyskretne.

— Właśnie dlatego, że Rzym jest teraz tak pusty, że wszyscy z niego uciekają, że można się w nim obracać swobodniej, ja zostałam tu, aby go oglądać. Ludzi w nim nie szukałam.

— A pomimo tych ostróżności, znaleźli się natręci, niedający się odegnąć — przerwał z rodzajem szyderstwa mały, który się zwał hrabią Filipem.

— Wyciągasz mnie pan na komplement — rozśmiała się gospodyni. — Ja się boję obcych tylko, a my, panie hrabio, jesteśmy sobie przecie dawno i dobrze znajomi.

W ostatnim fraziesie musiało być coś dotkliwego, bo hrabia drgnął, ale się skłonił, dziękując. Twarz jego, gdy ją podniósł, cała była zarumieniona, oczy biegały niespokojne.

— Dla mnie to prawdziwe szczęście — kończyła pani Liza, zbliżając się ku stolikowi, na którym zastawiono herbatę — prawdziwe szczęście, że panów tu znalazła. Ja, choć lubię samotność, jednak nie osamotnienie. Pomiędzy zgiełkiem i tłumem, a kółkiem dobrych znajomych i przyjaciół, wielka jest różnica.

Gdy tak rozmawiano, Ferdynand zręcznie bardzo pomagał siostrze w gospodarstwie przy herbacie, co zdawało się potrzebném, gdyż piękna pani, jakby roztargniona, dość niewprawnymi rączkami około filiżanek się krzątała, co bolesne ich dźwięki zdradzały. Myślą była zapewne gdzieindziej.

Od stolika, przy którym stała, spoglądała niekiedy ukradkiem ku siwowłosemu, siedzącemu z twarzą wypogodzoną i napawającemu się widokiem téj pięknej postaci, której każdy ruch tak był wdzięcznym, jakby był obrachowanym, choć o to nikt jój nie mógł posądzić. Oczy hrabiego Filipa biegały także za panią Lizą, ale z innym zupełnie wyrazem. Cóż w nich był tego Satyra mytologicznego, który bez zléj myśli na kobietę spojrzeć nie może.

Wejrzeń téż jego natarczywych starała się unikać piękna gospodyni, czując że bez wstrętu spotkałby się z niemi nie mogła. Pały ją, jak wyuzdana mowa uliczników.

¹na (...)scy z Rzymu uciekają — w wydaniu źródłowym brak dwóch stron tekstu pomiędzy fragmentami „stojącego we drzwiach, na” a „scy z Rzymu uciekają”. [przypis edytorski]

Wtém stłumiony głos jakiś dał się słyszeć z przedpokoju; gospodyni wstrzymała się z naléwaniem herbaty, szepnęła coś bratu, który ku drzwiom pośpieszył, ale nie miał czasu ich otworzyć, gdy ukazała się wchodząca kobiéta. Była to pani jeszcze piękna bardzo, niegdyś zapewne zachwycająca, lat średnich, postawy majestatycznej, słuszna, kształtów których wiek nie zniszczył, twarzy może zanadto pełnej, ale kwitnącej, której żywe, błyszczące oczy dodawały wdzięk. Czarny jój strój skromny był, lecz bardzo wytworny, mimo pozornego zaniedbania.

— Przysięgam — poczęła od progu głosem wesołym i sympatycznym, oczyma obliczając obecnych — że droga Liza już się mnie dziś nie spodziewała i dla mnie niéma filiżanki. Ja zaś tak byłam jakoś stęsknioną moją samotnością, a tak pewną że tu wszystkich zastanę, iż wstrzymać się nie mogłam.

Wszyscy witali księżnę, jak dobrzy, poufali znajomi.

Są ludzie, co noszą z sobą jakąś woń właściwą, co pachną piżmem, perfumami, fiołkiem lub różą, albo ich czuć pleśnią lub stęchlizną; ale są także i tacy, co w fałdach sukni niosą wesele lub smutek.

Księżna Teresa, wchodząca do salonu, miała tę właściwość, że choćby nawet była trochę smutna, przynosiła z sobą życie i wesele. Czy je miała sama dla siebie, czy posłannictwem jój było tylko drugich niemi obdzielać, to dla wszystkich pozostawało tajemnicą. Mówiono iż w samotności często bywała posępną, chmurną, jakby znudzoną; ale dla ludzi uśmiech miała zawsze i czoło pogodne.

Piękna jój twarz jaśniała wyrazem dobroci rozumu. Złośliwi utrzymywali, że i ten rozum niezaprzeczony więcej dla drugich służył, niż dla niej samej, chociaż nic jój nierozważnego do zarzucenia nie miano. Rozbrajała najniechętniejszych łagodnością i dobrocią niewyczerpaną.

— Proszę państwa — odezwała się, siadając i wachlarzem starając się ochłodzić po zmęczeniu schodami — co mi za szczególna przyszła uwaga, obliczając to nasze gronko wieczorne. Jakiśmy się to dziwnie zesłi i dobrali! Dwie wdowy i trzej kawalerowie.

— Przepraszam — przerwał hrabia Filip — ja nie mam prawa liczyć się do kawalerów. Jestem wprawdzie dziś wolnym, lecz miałem to nieszczęście być trochę żonatym. Smutno mi tę omyłkę moję przypominać, ale prawda przedewszystkiem.

— Jesteś pan rozwiedziony — odezwała się księżna z uśmiechem, w którym politowanie mieszało się z trochę szyderstwa, — a ponieważ rozwód u nas nie daje się inaczej, tylko gdy małżeństwo za nieważne jest uznane, więc wychodzi na to, jakbyś hrabia był kawalerem.

— Prawnie... może — odparł kwaśno hrabia Filip. — Księżna masz słusność; faktycznie jednak... smutny zawód nie daje się wymazać z rejestru życia.

— No! no! nie mówmy o starych grzechach, bo któż ich nie ma — zamknęła mu usta księżna. — Dla nas jesteś pan starym kawalerem i po wszystkiém.

Młody brat gospodyni, pan Ferdynand, podawał herbatę i wszyscy się około okrągłego stolika mieścić zaczęli. Bystry wzrok przybyłej pani, przelatując z kolei po otaczających, najczęściej zatrzymywał się na siwowłosym, jak gdyby z niego chciała coś wyczytać i odgadnąć.

Hrabia August oczy trzymał spuszczone, czoło miał wypogodzone i czytać w sobie nie dawał. Można się tylko było domyślać z ruchów, z wielkiej pilności jaką miał około siebie, że obawiał się, aby w nim czytać nie chciano, odgadując iż ktoś być może ciekawy. Czy miał co do utajenia? o to zdawała się go mocno posądzać księżna, bo przyglądała mu się pilnie, a nie zdobywszy nic, wkońcu wprost go zagadnęła, aby zmusić do podniesienia oczu i przerwania milczenia.

— Hrabio Auguste, jakże idą studia rzymskie?

— Niech księżna nie pyta — odparł głosem powolnym i cichym, nie podnosząc oczów z talerzyka. — To nie studia, przepraszam, ale studnia do wypicia.

— A my do zgłębienia jój przeszkadzamy — wtrąciła gospodyni — my, to jest ja.

Księżna się uśmiechnęła nieznacznie.

— Całkiem przeciwnie — zawołał żywo hrabia August — pani do nich mi dopomaga skutecznie. Każde jój zapytanie uczy mnie mojej niewiedomości, odkrywa drogi nowe. Pani masz dar wskazywania tych stron, tych wątpliwości, na które tylko umysł tak obdarzony szczęśliwie, tak przenikliwy jak jój wpaść może...

— A! nie przewidziałam wcale, że wywołam tak niezasłużony komplement — rozśmiała się gospodyni z wesołością trochę wymuszoną i mocno zarumienioną.

Tak rozpoczęta rozmowa, z pomocą księżny Teresy, która miała dar ożywiania jej i prowadzenia, byłaby gładko i przyjemnie potoczyła się dalej, po równej powierzchni rzeczy powszednich, gdyby (był-to dzień niespodzianek) z przedpokoju nie dała się słyszeć stłumiona jakaś rozmowa, zwiastująca gościa nowego.

Wszyscy umilkli, zdziwieni trochę, bo się nikogo więcej nie spodziewano. Na twarzy gospodyni odmalował się niepokój i ciekawość. Zdała rozmowa ta ze służącym w przedpokoju brzmiała jakby spór z nim dość żywy.

Nieznany głos brzmiał męsko. Pani Liza spojrzała na brata, a ten domyślił się, że obowiązkiem jego było pójść się dowiedzieć, co mogło o tej godzinie zamieszać spokój tak niespodzianie.

Wybiegłszy z pośpiechem, Ferdynand postrzegł przy świetle włoskiej lampki, którą służący trzymał w ręku, gwałtem prawie przez półotwarte drzwi chcącego się wcisnąć mężczyznę.

Powierzchność jego tak mało przemawiała za nim, iż służący wahał się, czy ma go przepuścić do wykwintnego towarzystwa swjej pani.

Był-to mężczyzna lat średnich, ubrany bardzo niestarannie, tak jak się tylko u wód i w podróży prezentować godzi, w odzieży letniej, jasnej, opylonej i pomiętej, w krótkim surduciku, w kapeluszu fantastycznym, nabakier na bujnych włosach rzuconym, z brodą czarną, z oczyma ognistymi i jakby błędnymi, z dużym w dodatku kijem w ręku. Na nogach jasne trzewiki ze skóry nieczernionej i kamasze wytarte dopełniały stroju. Z kieszeni wypchanych niedbale powtykane sterczały książeczki notatkowe, tomiki jakichś pomiętych publikacyj ulicznych i różne sprzęty podróżne, z pośrodku których ołówki górowały.

Oryginalne to indywidualum pan Ferdynand niedawno właśnie był spotkał coś szkicu-jącego w Colosseum, wziął je więc za artystę. Niepotrzebnie może zaglądając w rysunek, wdał się z nim w rozmowę, i okazało się z niej, że trafił na ziomka, nie na malarza, jak sądził, ale na jakiegoś ekscentryka, dziwaka, cynika, który jednak był człowiekiem wielce pociągającym i niepospolicie wykształconym.

Zawiązana rozmowa przywiodła pana Ferdynanda nieznacznie do tego, że mu powiedział nazwisko swoje i mieszkanie. Nie zapraszał go jednak do siebie. Nawzajem owo indywidualum dało panu Ferdynandowi kartę z nazwiskiem zagadkowym, nieznanem Wiktora Gorajskiego, *tout court*.

Spostrzegłszy przybywającego o tej godzinie człowieka, który wcale do towarzystwa zebranego w salonie nie zdawał się przypadać, zakłopotany wice-gospodarz pośpieszył go przyjąć i nie śmiać wprowadzać do siostry, zaprosił obok do swojego pokoju.

Ów pan Wiktor Gorajski wszedł z dumną postawą, kwaśno popatrzywszy na służę, który mu z drogi ustąpił; zdjął zwolna kapelusz swój kalabryjski i z zupełną swobodą niedbającego o to, jak się komu wyda, człowieka, posunął się zwolna ku zmieszaniu Ferdynandowi. Gdy się to odbywało w przedpokoju, gospodyni niespokojna, wyglądając drzwiami ku bratu, dostrzegła osobliwszą postać, z którą rozmawiać począł, i na służącego skinęła.

W chwilę potem sługa panu Ferdynandowi, który już gościa swego wprowadził do pokoju przyszedł coś szepnąć do ucha.

Przybyły pan Wiktor śledził wszystko bacznie, a rozsiadał się bez ceremonii, lokując kij swój i kapelusz przy sobie.

— Nie wporę, widzę, przyszedłem — odezwał się gość, bynajmniej nie okazując zmieszania — ale proszę mi powiedzieć otwarcie. Pan tu nie sam mieszkasz, a ja o tém nie wiedziałem. Prosić będę tylko o szklankę limonady i ruszam dalej.

— Mieszkam z siostrą moją, która ma u siebie kilka osób znajomych — rzekł grzecznie pan Ferdynand. — Nie chciałem panu czynić subiekcyi.

— Mnie? — rozśmiał się, ramionami ruszając, przybyły. — Ale ja nigdy najmniejszej subiekcyi nie doznaję, czy mi się zdarzy w szynku na Transtewerze znaleźć między obdartusami, czy w królewskim salonie wśród ekscelencyj. Ludziom i panu zrobiłbym subiekcyą sobą, to rzecz inna. Nie jestem podobno tak ubrany, abym godzien był zaprezentować się w salonowem towarzystwie. Jestem włóczęgą, turystą i nie spodziewałem

się wcale znaleźć u pana kobiety — przepraszam, poprawił się — powinienem był powiedzieć damy!

Wyraz „damy” wymówił z przyciskiem i ironią, popatrzył na siebie i strój swój, wistocie bardzo niesalonowy i rozśmiał się pocichu.

Tymczasem służący po drugi już raz przyszedł, znowu coś do ucha szepnął panu Ferdynandowi. Młodzieniec wahał się z odpowiedzią. Można się było domyślać łatwo, że pani Liza zapraszała gościa brata swego do salonu, nie wiedząc jak wygląda, a on nie śmiał go tam wprowadzać.

Pan Wiktor, którego to wcale nie obchodziło, ociierając z czoła pot i pył wielką chustką, niezbyt już świeżą, przypominał się tymczasem służącemu o szklankę limonady.

— Pozwolisz mi pan na jedną minutę wybiedz do siostry? — zapytał gospodarz.

Gość skłonił się przyzwalająco.

Pan Ferdynand szybkim krokiem wpadł do saloniku, w którym panowało milczenie. Wszyscy byli zaintrygowani.

— Chcesz abym gościa mego tu wprowadził — zawołał żywo do siostry — ale znalazłem ci już powiedzieć, jak jest ubrany. Wraca pewnie z przechadzki, a nie wiedział że nie sam tu mieszkam. Rozповідаłem ci o moim spotkaniu z tym oryginałem w Colosseum, jak dziwacznie wygląda i mówi ten turysta-Diogenes... Jakże chcesz...

— Cóż to szkodzi, że nieubrany? — przerwała księżna bardzo nagląco — wszyscy jesteśmy turyści i jak na popasie. Raz przecie spotkamy się z czéms ekscentrycznym. Może nas rozśmieszyć, podrażnić, ale przynajmniej nie znudzić. Dawaj nam go tu pan na pastwę...

— Ale... — spróbował jeszcze zaprotestować, ruszając ramionami, pan Ferdynand.

— Żadnego ale! Wszyscy go tu chcemy mieć, a im dziwaczniej wygląda, tém pożądniejszy — odparła księżna.

Pani Liza skinęła na brata, potwierdzając, a ten posłuszny wymknął się z salonu i trafił na to, gdy służący podawał gościowi limonadę, którą on pił z widoczną rozkoszą zmęczonego i spragnionego człowieka.

— Jeżeli pan łaskaw i pozwolisz się zaprezentować mojej siostrze i księżnie Teresie, która jest u nas, zaprosiłbym go do salonu.

Dostojne imię księżny, zapowiedziana znajomość drugiej pani, na podróznym nie zdały się wcale wielkiego robić wrażenia. Spojrzał na swój kij, który po namyśle zdecydował się porzucić w przedpokoju, wziął za ogromny kapelusz opylony i, jak stał, niewiele się o strój swój troszcząc, ruszył z panem Ferdynandem. Z nich dwóch, z pewnością drugi był daleko mocniej zakłopotany.

W salonie z ciekawością oczekiwano na zapowiedzianą figurę ekscentryczną, o której gospodyni rozповідаła pocichu, co posłyszała od brata. Najmniej może zajęcia okazywał siwowłosy, który nie lubił się bawić tém, co wistocie robiło wrażenie smutne. Kobięty zato oczy miały zawczasu na drzwi zwrócone.

Pan Wiktor wchodził z wolna, poważnie, pewien siebie. Nie można się było dziwić panu Ferdynandowi, że go wziął znowu za artystę, miał bowiem w całej swój postaci coś, co przypominała żywo konwencyonalny typ artysty-Cygana, do któregośmy z francuzkich ilustracji nawykli.

Z pod téj powłoki jednak, jak gdyby sztucznie i umyślnie przywdzianej, zdawało się przeglądać coś, co się w nim domyślać kazało człowieka wyższego towarzystwa, który dobrowolnie zdziczał.

Twarz jego, której włosy rozrzucone, broda i wąsy długie, zaniedbane nadawały fantastyczne znamię, była jeszcze piękną, choć mocno już życiem zniszczoną. Szlachetne, delikatne rysy ję okrywała skóra żółkła, jakby wyschła, gdziegdzie poprzecinana zawczesnymi zmarszczkami. Malarz mógłby być z niego zrobić łatwo jakiegoś Byronowskiego bohatera, lub romantycznego bandytę. Lecz namiętności, co jak rozpalona lava przebiegały i porały twarz tę piękną niegdys, dziś zdawały się już ostygłe, gorycz tylko jakąś i sadze zostawując po sobie.

Widok zebranego przy okrągłym stole towarzystwa nie zaimponował bynajmniej przybywającemu. Jak gdyby był najwytworniej ubrany, ze swobodą i zręcznością człowieka nawykłego do świata, zbliżył się do gospodyni, tłumacząc iż zmuszony tylko, śmie się ję przedstawić w tak podróznym ubraniu.

Skłonił się potem z wielkiem uszanowaniem księżnie, która go nadzwyczaj ciekawemi i jakby zdumionemi badała wejrzeniami, dał się zaprezentować dwom hrabiom i zajął miejsce wskazane ze swobodą człowieka, który nic nie ma do stracenia i nic też zdobywać nie myśli.

Gospodyni, nie wiedząc od czego rozpocząć ma rozmowę, zapytała go, od jak dawna przebywa we Włoszech.

— O, ja się tu po tych Włoszech i po całym świecie włóczę już od lat wielu — podróżny rzekł bez przymusu, z otwartością i poufałością niespodzianą. — Należę do téj kategorii ludzi u nas licznych, zwichniętych, którzy nie wiedzą co mają zrobić z sobą; włóczę się więc, słucham, patrzę i... zabijam czas, nie mając co z nim robić.

— Brat mój mi mówił, że pan się zajmujesz sztuką — dodała gospodyni nieśmiało.

— Jest-to jedyna rzecz jeszcze na świecie, która mnie nie znudziła — odparł podróżny — chociaż i z nią często się kłóczę.

Księżna, zdająca się z żywem zajęciem śledzić tę zagadkę, wtrąciła, mieszając się do rozmowy:

— Zdaje mi się, że i ja kilka razy widziałam pana zdaleka, szkicującego coś na ruinach.

— Bardzo to być może — rzekł zapytany. — W Rzymie widzi mnie każdy niemal codzień w jakimś zakątku, bo się snuję nieustannie.

— Rzym tak jest pojętny dla artysty! — zauważyła gospodyni.

— Ale ja artystą nie jestem i być nie chcę — przerwał żywo gość. — Jest to i zawiele dla mnie honoru i zamała. Artyści są-to najczęściej istoty, które widzą tylko skorupę rzeczy i ograniczają się wrażeniami, nie sięgając głębiej. Trzeba być trochę i artystą, ale być tylko artystą — biedna to rzecz, smutna dola!

Wszyscy słuchali go z uwagą wielką. Piękne rączki przysunęły mu filiżankę herbaty, którą po pewnem wahaniu się przyjął gość i rzuciwszy kapelusz swój pod nogi, oparłszy się wygodnie o krzesło, począł rozglądać się baczniej po towarzystwie.

Księżna, która miała swą własną teorią poznawania ludzi i klasyfikowania ich, poczęła się przypatrywać ręką przybyłego. Brakło ich jęj jeszcze do uzupełnienia charakterystyki téj postaci. Ręce dla nięj były cechą niezbędną, znamieniem stanowczém, bez którego obejść się nie mogła, chcąc sądzić o człowieku.

Pomimo nadzwyczajnego zaniedbania stroju, obuwia, włosów, ręce pana Wiktora, które się ukazały z rękawów nankinowej żakietki, mogły zastanowić wistocie pięknemi kształty i utrzymaniem staranném. Księżna odetchnęła swobodniej, przekonawszy się z nich, że gość nie mógł być awanturnikiem, że musiał należeć do tego, co się nazywa dobrém towarzystwem, choć bywa wcale nieosobliwém. Ale dlaczegoż tak zdziaczał?

Twarz, choć wynędzniała, nie dozwalała przypuszczać, aby doszedł nawet lat czterdziestu, nie miał więc potrzeby tak wczesnie zropaczyć o sobie.

Nastąpiła chwila milczenia, wczasie której wszyscy ukradkiem spoglądali po sobie, jakby wrażeniami swemi dzielić się chcieli, lub ich potwierdzenia szukali.

Ruchawy hrabia Filip krzywił usta złośliwie, szydersko. Hrabia August przypatrywał się przybyłemu z zajęciem wielkiem, zdając się chcieć sobie przypomnieć, gdzie i kiedy spotkał już tę twarz w życiu. Gospodyni miała minkę trochę wystraszoną. Księżna bawiła się tém zjawiskiem, nie tając się, że mu była rada, lecz razem zdając się czémś zaniepokojoną. Naostatek przyczyna wszystkiego, pan Ferdynand, stał w kącie zmieszany, poczytując się za winowajcę i obawiając... sam dobrze nie wiedział czego. Poznać się z jakimś obdar-tusem w Colosseum było rzeczą naturalną; ale być za karę zmuszonym wprowadzić go do domu?... Bardzo być może, iż ów podróżny śmiał się w duszy z wielkiego wrażenia, jakie tu zjawieniem się swém wywołał.

— A z kraju dawno pan już? — zapytała nieśmiało księżna, wlepiając w niego oczy.

Panu Wiktorowi brwi się trochę ściągnęły; pomyślał chwilkę i rzekł:

— Niezmiernie dawno, tak dawno, że mi się te lata w wieki przemieniły. Noszę się z tęsknotą po nim i nigdzie jęj zgubić nie mogę. Czasem zdaje mi się na moment jakiś, że się już pozbył téj nieznośnej towarzyski; ale, gdy się najmniej spodziewam, we śnie lub na jawie, powraca. Jaka to szkoda, że człowiek nie może się pozbyć siebie i przetrworzyć, gdy zechce, na inną istotę.

Uśmiechnął się gorzko.

— Co do mnie — wtrącił gwałtownie hr. Filip, ostrym swym głosem i intonacją fałszywą — co do mnie, ja nie pojmuję zupełnie, jak można za granicą tęsknić za krajem naszym i wzdychać do niego. Może to być bardzo ładnym, bo wygląda na patriotyzm; ale ja sobie z tego sprawy zdać nie umiem. Przyznaję się, żem kosmopolita.

Gość zmierzył mówiącego błyskiem swych oczów ognistych. Zdawało się że coś odpowiedzieć zamysła; ale otworzył tylko usta i... zapił herbatą. Odpowiedź zostawił innym, poczuwszy może, iż z ust jego wyszłaby ona zaostą.

Tymczasem nikt nie odpowiedział hrabiemu; milczenie ciężkie, ołowiane niemile przycisnęło całą gromadkę, a hrabia Filip, zmieszany niemi, sam czuł się w obowiązku niepodniesioną rękawicę wziąć do ręki.

— Co do mnie — powtórzył z naciskiem — otwarcie się przyznaję do mego kosmopolityzmu i do tej pory przynajmniej tego nie żałowałem.

Gość popatrzył nań bacznie i dorzucił:

— Tak, za nic ręczyć nie można. Są choroby, które powracają po latach dwudziestu i więcej, a gdy powrócą, zabijają.

Dwuznacznym to było.

Nikt z większą uwagą nie słuchał oryginalnego gościa, nad księżną. Pochwyciwszy ostatnie jego wyrazy, uśmiechnęła się, zakrywając wachlarzem.

Hrabia August wstał pocichu i począł się przechadzać po salonie, zatopiony w sobie.

Księżna przerwane badanie ciągnęła dalej.

— Nie dowiedzieliśmy się od pana, jak dawno bawisz we Włoszech. A w Rzymie, myślisz pan przebywać długo?

Trochę natarczywe pytanie zmusiło gościa do zwrócenia się ku księżnie.

— I na to odpowiedź moja wyda się pani dziwną — rzekł. — Ale nie mogę, dla uniknięcia posądzeń o zmyśloną ekscentryczność, powiedzieć nieprawdy. Otóż ja nie wiem nigdy, gdzie jak długo bawić będę. Przychodzi mi nagle ochota, pokusa jakaś, zachcenie, nudy — biorę kij i jestem fantazyi posłuszny. W Rzymie zaś nigdy nikt pewnym być nie może, czy zabawi do jutra, lub całe życie.

— Tak, Rzym ma urok wielki — odezwała się księżna poważnie.

Gość spuścił głowę; nie zaprzeczył, ani potwierdził. Nagle dopił herbaty, chwycił z pod nóg leżący na ziemi kapelusz, wstał, pożegnał gospodynię, księżną, zdala też innych gości i przeprowadzony przez Ferdynanda, zniknął z salonu.

W tém zbyt pośpiesznym wyjściu było coś uderzającego, dziwnego, jakaś fantazyja nagła, i gdy drzwi się za odchodzącym zamknęły, księżna wybuchnęła:

— Oryginalny! nie zawiedliśmy się.

Hrabia August, który stał trochę na uboczu, przybliżył się do stolika.

— Dziwna rzecz — odezwał się — nie mogę sobie przypomnieć jak, gdzie, kiedy, ałem pewien że tego człowieka znałem, spotykałem już w życiu. Siłilem się na rozbudzenie mojej pamięci... zawiodła mnie.

— Ach! — rozśmiał się hr. Filip — podobnego doń musiałeś widzieć w jakiejś ilustracji francuzkiej: pół-bandyty, pół-artysty, figura dosyć osobliwa, a mało sympatyczna.

— Bardzo przepraszam — żywo zaprotestowała księżna — staję w obronie. Jest-to typ pospolity napozór, lecz bardzo różny od tych, za których powierzchownością się ukrywa. Na pierwsze wejrzenie prawda że robi wrażenie pół-karykatury, ale dosyć mu się baczniej przypatrzeć, aby się przekonać, że nie gra roli przybranéj, że jest, nie myśląc o tém, takim, jakim go Bóg stworzył, albo nieszczęśliwe losy uczyniły. Wrażenie, jakie wywarł na hr. Augustie, i mnie się czuć dało; kogoś mi przypomina. Wydaje mi się jakby dawno znajomym, choć jestem pewna, żem go nigdy nie widziała.

Uśmiech przebiegł po ustach hr. Augusta, który, milcząc, usunął się w głąb pokoju.

Księżna obróciła się ku gospodyni, która siedziała, nie biorąc udziału w rozmowie.

— No a ty, mój aniele, co o nim mówisz? — zapytała.

— Ja? — zająknęła się, rumieniąc trochę, gospodyni — ja? Ależ prawdziwie nie wiem, co odpowiedzieć... Wydał mi się trochę strasznym, zagadkowym, a ja nie lubię tajemnic. Sama-bo nie wiem...

Ostatnie wyrazy zagłuszyło pożegnanie hrabiego Augusta, który pochwyił za kapelusz; hrabia Filip poszedł za jego przykładem. Obaj wyszli razem.

Noc letnia we Włoszech, zwłaszcza po dniach upalnych, do naszych nocy, poświęconych spoczynkowi, wcale nie jest podobną.

Gdy minie owa niebezpieczna chwila zachodu słońca, spadania rosy, podnoszenia się zatrutych wyziewów, wszystko, co się dusiło we dnie od skwaru, oddycha, wysuwa się na powietrze i dopiero żyć poczyna.

Ale nie jest—to już życie uliczne dnia, gwarne, ruchawe, głośnie. Mało kto się przechadza; rodziny zasiadają w progach, a ci, co rodzin nie mają, szukają towarzystwa u drzwi trattoryj i kawiarni. Gdzieniedzie odzywa się brzęcząca komarowym głosikiem gitara, śpiew nucony cicho, szanujący milczenie nocy. Rzadki tylko krzyk urwany przerwie czasem tę harmonią życia mroków, w którym czuć pragnienie spokoju, napawania się ciszą.

W ogródkach otwartych, osłonięte cieniem, stoją gdzieniedzie pary tajemnicze, kryjąc się i szukając mroku, nie żeby się wstydziły tego co je ku sobie zbliżyło, ale instynktem czując, iż miłość jest jedną ze świętych tajemnic natury, którą się profanuje, wyciągając ją na świat, na oczy, na słońce.

Jój tak potrzeba cienia, jak fijołkom, które więdną, gdy dotknie ich promień gorętszy. Warzy je cyniczne spojrzenie słońca.

Pół przezroczystą noc włoską, nawet gdy jest bezksiężycową i wydaje się czarną, oświecają tajemnicze odbłaski ziemi, łagodnie oblewające wszystko. Naówczas stokroć piękniejsze niż we dnie, do niepoznania zmienione, dziwne, fantastyczne wyrastają z murów odrapanych poemata, piętury się, olbrzymieje, rozrasta najlichsza chałupa. Linie ostre zlewają się, tony miłośnie dostrajają do siebie w ogólnej harmonii, choć we dnie kłóciły się z sobą. Świat jest niedopoznania, do rozkochania się w nim. Macierzyńska ręka nocy starła z niego wszystkie brudy, wróciła mu młodość; niby znowu śpi w pieluchach, a nad kolébką śpiewa mu ta cisza tajemnicza, w której słyhać to, co komu własna mówi dusza, zawsze w zgodzie z tym wielkim chórem milczenia.

Muzyka to nie dla uszu; chwytą ją serce i takt jój wybija.

Tego co mówi noc, we dnie nigdy posłyszć, pomyśleć nie można. Jak inne istoty zaludniają ciemności, tak inne myśli po nich wirują. Mężni tracą czasem odwagę przez nie, bojaźliwi stają się zuchwałymi. Każdy człowiek czuć musi na sobie ten wpływ tajemniczy.

Oko błąka się tu, nie znajdując tego co znało we dnie; drogi zawały mroki, ściany ciemne wychodzą jasno i świecić się zdają; na niebiosa występują wieżycy, jak olbrzymy w szyszakach do boju; mosty, jak pająki czarne, siedzą rozpostarte na rzékach... W mieście pogasły ogniskaienne, a zapaliły się nocne, których blade promyki sączą się przez szpary. Cisza... szmery, mrużenia, szelesty. Zda się że reszty życia głośniejszego o słońca zachodzie wiatr wymiółł, jak gospoia izbę na niedzielę.

Rzym ma o tych godzinach sobie właściwą, jedyną na świecie muzykę. Gdy wszystko umilknie, daje się słyszć chór wodotrysków, nieustannie lejących zdala przyniesione życie, choć go teraz nikt czerpać nie przychodzi.

O, dziwnyż to ten szept wód, bijących lat tysiące! Potrzeba się weń wsłuchać, jak niezmiernie jest różny. Głosy niby ludzkie mają te fontanny: jedna szemrze męzkim tonem, druga ma szczebiotliwą mowę niewieścią; ta gwarzy coś jak matka, co usypia dziecię, druga jak dziewczę drażniące się z kochankiem, inna się śmieje i szydzi, niektóre modlą, a wielkie wodospady dumnie hałasują, że je w niewolę wprzężono. Nieinaczej grzmiałyby, gdyby głos miały, te posągi zwyciężonych królów, z obciętemi rękami, spętane, co leżą podruzgotane na Kapitolu.

Urok téj nocy letniej w Rzymie musiał czuć hrabia August, gdy wyszedłszy z Via Sistina, puścił się wolnym krokiem ku mieszkaniu swojemu. Hr. Filipa, natrętnie mu towarzyszącego, zdawał się nie widzieć.

Podszedłszy kroków kilka, stanął i zamyślił się.

— Co prawda, to prawda — odezwał się hrabia Filip — w tym Rzymie nawet spać się położyć niepodobna w przyzwoitej porze. Pomijam to, że noce wściekle są gorące, że komarów pozbyć się niepodobna; ale co to za noc!

Zagadnięty hr. August nic nie odpowiedział. Drażniło to jego towarzysza; przysunął mu się do samego boku.

— Hrabia pewnie myślisz jeszcze małą odbyć przechadzkę. Jest to rzecz miła, ale zawsze bezpieczniej być we dwóch, niż samemu. Ja chętnie towarzyszyć mu będę.

Milcząc, hrabia August dał na to przyzwolenie.

Szli dalej bardzo powoli. Siwowłosy nie zdawał się usposobionym do zamiany nie tylko myśli, ale nawet słów obojętnych.

Filip znowu milczeć nie umiał. Niektórzy znajomi jego utrzymywali, że myśli by nie mógł inaczej, jak głośno.

— Pani Liza! — zawołał po chwili — jak bóstwo nieśmiertelna; zawsze jest młoda, zawsze urocza!

Wiedział zapewne, że na tę uwagę nie otrzyma żadnej odpowiedzi, bo za ledwie mały zrobiwszy przestanek przez grzeczność, natychmiast ciągnął dalej:

— Ma pewnie lat trzydzieści; pomimo to momentami zdaje się za ledwie rozkwitającym młodem dziewczęciem. Co to za kobieta! co za urok w niej!

Zamilkł trochę znowu i jakby się obawiał, aby mu słowa nie odebrano, wnet ciągnął dalej z pośpiechem:

— Dla mnie w niej co jest najbardziej niepojętym, to że ma w sobie dwie różne istoty, obie równo zachwycające, najcudniej łączące się w jedną, choć wcale do siebie niepodobne. Czasem bywa złamaną życiem i cierpieniem, prawdziwą wdową po wszystkich złudzeniach; niekiedy dziewczętką i klaszcze w dłonie... nic nie zna, a wszystkiego pragnie.

— Bardzo to trafne — rzekł lakonicznie hr. August.

Pochwała z ust otwierających się tak skąpo pochlebila hr. Filipowi; rozśmiał się, rad sam z siebie, jakby mówiąc wejrzeniem zwróconym do towarzysza: „a widzisz! i ja mam bystre a głęboko sięgające wejrzenie!”

Szli dalej, coraz wolniej.

— Mów co chcesz, hrabio Auguste — dodał Filip, jakby chciał nowym postrzeżeniem utwierdzić dobre wrażenie jakie uczynił — mów co chcesz, ty się w niej kochałeś dawniej. O tym wie świat cały; ale i dziś... o! i dziś kochasz się w niej jeszcze!

Hrabia August stanął, spojrzął zgóry i uśmiechnął się z politowaniem.

— Nacóżby się to dzisiaj zdało? — westchnął.

— Ba! nacóż się miłość kiedykolwiek przydała? — żywo odparł hrabia Filip. — Wedle wyrażenia francuzkich poetów XVII wieku, które odziedziczyli madrygaliści XVIII wieku, miłość jest „słodką męczarnią” zawsze.

Uśmiechnął się hrabia August.

— Na mnie — ciągnął niemogący powstrzymać się od paplania Filip — Liza czyni wrażenie niewypowiedziane smutne. Widzę w niej poczciwego, pełnego ufności wierzyiciela, który w ręce niegodziwego człowieka oddał całą swą fortunę i nigdy jej już nie odzyszcze. Co ona zawiniła, że życie jej zostało zwichnięte, złamane, zepsute bezpowrotnie? Dlaczego, zaco taka anielska istota, ucierpiawszy tyle, nigdy już nie ma być szczęśliwą? Życie z pierwszym mężem musiało jej zatruć resztę życia aż do zgonu... Biędna!

Zwykle niemiły, suchy, ironiczny głos hrabiego Filipa, czy się istotnie rozgrzał uczuciem jakimś, czy umiał je naśladować, zadrgał sympatyczniejszym tonem.

Towarzysz spojrzął ku niemu. Każda najlżejsza oznaka uwagi dodawała Filipowi coraz większej ochoty do przedłużania swych postrzeżeń i zwierzeń.

— Przeznaczenie! fatalność! — mówił. — Piękna, młoda, bogata, dostała się, dziwnym zbiegiem okoliczności, intryg, człowiekowi najpotworniej zepsutemu, satyrowi bez sumienia i wstydu, może być los okropniejszy? Żyć z nim tyle lat, ociierać się takim aniołowi o takie brudy!

— Do aniołów brudy ziemskie nie przystają! — zawołał jakby mimowolnie hrabia August.

Niez mordowany mówca zdawał się chcieć jeszcze przedłużyć swe ubolewanie nad losem pięknej wdowy, gdy uczuł że hrabia August pochwycił go ręką silną i nakazująco podniesionym głosem zawołał:

— Proszę cię, zlituj się, dosyć już o tym!

Stosunek tych dwóch na jednym szczeblu społecznym stojących ludzi cały się uwydatnił w tej rozmowie. August miał uznaną wyższość nad swym towarzyszem, który mu był powolnym i chętnie posłusznym.

Nie szemrał, nie obrażał się, nie protestował, natychmiast zastosowywał się do rozkazów i dosyć było żądania hrabiego Augusta, aby Filip zamilkł. Szukał już tylko nowego do rozmowy przedmiotu.

Szli teraz jedną z tych starych uliczek miasta, które na Corso ujście mają; ale była to jedna z najszerszych i najczystszych, do której najwięcej wpadało powietrza, którą zamieszkiwało nie pospólstwo samo, ale i zamożniejsi ludzie. Tu i owdzie bruk ciemny przerzywał pasy świetlane z otwartych drzwi domostw i kilku kawiarni.

Pół we mroku, napół w świetle widać było u stoliczków, na chodniki powystawianych, spóźnionych gości z cygarami, na cichej rozmowie. Czerwone końce cygar świeciły niby gwiazdki w cieniu.

Mijali właśnie, drugą stroną ulicy idąc, jedną z niepokazanych kawiarni i garkuchni razem, szczyjącą się przydomkiem *antica*, gdy mimowolnie wzrok ich padł ku wnętrzu wielkiej izby, w której gości już było mało. Hrabia Filip silnie potrącił w bok łokciem swojego towarzysza, zwracając uwagę jego na widok, jaki mieli przed sobą.

U małego stoliczka, z krótką fajeczką w zębach, w kapeluszu nabakier fantazyjnie rzuconym, siedział niedawno zbiegły z salonu ów pan Wiktor, którego Filip pół-artystą, pół-bandytą mienił. Siedział wygodnie, rozparty szeroko, pochylony nad szklanką limonady.

Przed nim stała, poufale jedną ręką o stół oparta, drugą podtrzymująca głowę pochyloną, młodziuchna dziewczeczka, nędznie, ubogo odziana, w sukni bez barwy, w trzewiczkach podartych na małych, ale pobrukanych bosych nóżkach. Prawdziwa Włoszka, była zarazem zaniedbaną i strojną. Gałganek jedwabny, niegdyś jaskrawy, zastępował chusteczkę na ramionach i szyi, a we włosach czarnych, bujnych wpięte miała błyszcząca szpilki i grzebyki. Ręka sparta na stoliku świeciła pierścionkami, sznurek paciorek widać było z pod chustynki.

Najwięcej jednak zdobiła ją ledwie z pączka dobywająca się krasa młodości. Z téj sylwetki ciemnej, malującej się na tle izby jasnym, zdawało się można prześliznąć kształty ubogiej Psychy, pół-dziecięcia, pół-dziewicy.

Nędzne ubranie, przystające do ciała, nie osłaniało, ale uwydatniało kształty postaci, jak z marmuru wykutęj, instynktowo przybiierającej wdzięczne ruchy i postawy.

Hrabiowie mogli się przypatrzeć, zbliżywszy nieco, profilowi jęj greckiemu, utoczniejszej szyi, popiersiu i archaicznie szczupłej figurze, jak rysunek Flaxmana, kilką prostemi liniami określonej na dnie jasnym.

Wiktor rozmawiał z tą dziewczeczką, która się zdawała z nim spoufaloną i szczebiotaniem wesołym mocno zajęta. Nie słyhać było nic, lecz odgadnąć mogli łatwo, że swobodnie, wesoło gwarzyli z sobą, pewnie nie poraz pierwszy.

Artysta, nie spuszczać z niej oczu, patrzył w pochyloną ku sobie; ona bez obawy uśmiechała mu się, niekiedy żywiej potrząsała głową, groziła palcami, pomagając sobie, zwyczajem Włochów, rozmaitemi ruchy. Wszystkie one były wdzięczne, bo młodość ma ten dar, że piękną być musi, choć o tém nie myśli, choć tego nie pragnie.

Wiktor z tą dziewczeczką, w oświetlonych drzwiach malując się *en vigueur*, tworzyli jakby w ramy ujęty obrazek, wcale ładny, któremu nic nie brakło, nawet dobrze ugrupowanych akcesoryów. Dwaj panowie, napatrzwszy się na nich, długo oczów oderwać nie mogli.

— Mamy tedy czarno na białym — odezwał się, dowcipkując, hrabia Filip — dowód, jakie tu ten jegomość ma stosunki w wiecznym grodzie. Birbanta kawał, z oczów mu to patrzy!

Zamiast odpowiedzi, hrabia August mruknął sam do siebie:

— Gdzie ja tego człowieka widziałem? bo twarz ta mi niezmiernie znajoma! Co u licha!

— Zbliźmy-no się, zrobimy mu nieprzyjemną niespodziankę — podszeptał złośliwie Filip.

Z innych zapewne powodów milcząco przystawszy na to, hrabia August począł wolnym krokiem zbliżać się ku drzwiom kawiarni.

Usłyszawszy chód, dziewczę, bez trwogi i wcale niezakłopotane, zwróciło główkę ku przychodzącym, ale się z miejsca nie ruszyło. Po chwili zwolna obejrzał się na nich także pan Wiktor, z równym spokojem.

Poznawszy hr. Augusta, pozdrowił go uśmiechem i lekkim głowy skinieniem. Dziewczę, widząc że nadchodzący byli znajomi, uśmiechnęło się do siedzącego i założywszy ręce na piersi, odeszło parę kroków w głąb izby.

— Zastaliśmy pana w bardzo miłym towarzystwie! — oderwał się szydersko hrabia Filip.

— Wistocie — odparł swobodnie, nie wstając z miejsca i nie zmieniając postawy, Wiktor. — Nie może być nic przyjemniejszego, nad świegotanie ptaszka na wiosnę, nad szczebiot takiego naiwnego dziewczęcia, zwłaszcza gdy tak jest piękne, jak ta Pepita.

Usłyszawszy wymienione imię swoje, dziewczę się trochę zarumieniło; ściągnęło brwi czarne, ustąpiło krok jeszcze, ale nie uciekało.

Obaj przybyli przyglądali się jęj zdaleka. Po pierwszym rumieńcu, już dalsza rozmowa i wejrzenia niewiele zdawały się obchodzić pannę Pepitę. Poprawiła tylko trochę chustynki i bose nóżki wycofała tak, aby je suknią wązka zasłonić mogła.

— Robisz pan studia artystyczne, czy etnograficzne? — zapytał hrabia Filip.

— Etnograficzne, psychologiczne, artystyczne, najrozmaitsze studia, to powołanie moje — odparł, nową nakładając fajeczkę, pan Wiktor. — Jest-to zadanie tych, co w życiu innego nie mają.

Hrabia August usiadł tymczasem milczący przy tym samym stoliku i zażądał limonady. Hrabia Filip poszedł za jego przykładem.

„Gdzie ja widziałem tego człowieka?” zdawał się ciągle powtarzać sobie pocichu, wzrokiem badawczym wpatrując się w niego, hr. August.

Postawszy trochę, Pepita, której wejrzenie padło raz jeszcze na siedzącego artystę, usunęła się powoli i znikła w drugiej izdebce.

— Darujesz mi pan — odezwał się po chwili hrabia August — ale jestem zmuszony zadać mu niedyskretne pytanie. Myle się może, pamięć zamglona, podobieństwa jakieś ludzić mnie mogą, lecz widząc pana, coraz mocniejszego nabieram przekonania, żeśmy się chyba już gdzieś, kiedyś w życiu spotykać musieli. Nie możesz mi pan tego wyjaśnić? Nazwisko jego jest mi nieznajome, ale twarz, twarz...

Wiktor, który oczy miał spuszczone, podniósł je na hrabiego. Długo patrzył nań, jakby namyślając się, spojrzal na towarzysza i począł głosem urywanym:

— Żeśmy się gdzieś na świecie spotkali, ta bardzo być może. Nie potrafię jednak panu hrabiemu wyjaśnić gdzie i kiedy. Zmuszony byłem, niestety, zerwać z moją przeszłością: dziś zowie się Wiktoorem Gorajskim. O wielu rzeczach chciałbym i muszę zapomnieć, a radbym, żeby ich i drudzy nie pamiętali. Gdyby nie ta okoliczność, miłoby mi było przypomnieć się zaszczytnęj dla mnie znajomości pana hrabiego. Są położenia wyjątkowe, które godzi się jeśli nie poszanować, to mieć dla nich względy pewne.

Hrabia August skłonił głowę i zamilkli. Odpowiedź ta hrabiego Filipa mocno zaintrygowała. Więcej jeszcze zdumiewało go to, że człowiek tak niepozorny, wyglądający na ubogiego jakiegoś artystę, wcale się nie żenując w towarzystwie dwóch hrabiów państwa rzymskiego, siedział rozparty na stole, nie zważając na nich, nie okazując im najmniejszego respektu.

W tęg chwili właśnie zapalał fajkę tytoniu, który ani z tureckim, ani z hawańskim, ani z Latabią najmniejszego nie miał pokrewieństwa, a cuchnął francuzkim kapralem.

Limonadę żadaną przyniesiono im w prostych, dużych szklenicach, tak jak ją tam podawano wszystkim, od wyrobników począwszy.

Hrabia Filip spoglądał na zielonawą szklankę z podejrzliwością przywykłego do kryształów człowieka.

— Lokal pan sobie wybrałeś wcale niewykwintny — odezwał się po chwili. — Jedno co pana niewinnia, to owa prześliczna Pepita. Nietrudno odgadnąć, że chyba ona mogła tu pana sprowadzić o tęg godzinie.

— Wcale się tego nie zapięram — odpowiedział Wiktor. — Z wielką przyjemnością słucham szczebiotania tego ślicznego dziecięcia, medytując nad tęg, jakim cudem z tak wdzięcznej istoty, za lat dziesiątek może wyrosnąć tak straszliwa baba, jaką jest jęj *cara mamma*. Są bowiem do siebie charakterem, twarzami, krwią i duchem najzupelniej podobne, a Pepita jest w swym rodzaju arcydziełem, gdy mammita stała się okropną potworą.

— Ha! czas płaci, czas traci! — szepnął ironicznie hrabia Filip.

— Ciągłe się mówi o zagadkach życia — dodał Wiktor. — Ale ja prawdziwie nie wiem, co nie jest zagadką. My, świat, żywot nasz, jego błyski i cienie — to zagadki same... wszystkie ich tłumaczenia są śmiesznymi farsami!

Zapatrzył się w stół. Hrabia August, nie spuszczać z niego oczów, słuchał go z uwagą wielką; Filip w głowie szukał tematu do opozycji i znaleźć go nie mógł. Po pauzie dodał z wysiłkiem:

— Najmędrsza pono rzecz głowy sobie nie łamać nad zagadkami, życie brać, jak Francuzi powiadają, *au jour le jour*, i iść spokojnie drogą, którą nas fatalizmy praw nam nieznaną prowadzą.

— Tak, byłoby to doskonałym — począł Wiktor — gdyby każdy wykształcony, a sądząc że nawet każdy człowiek wogóle, nie miał w sobie dwóch ludzi. Jest-to osobliwy fenomen, nad którym się mało zastanawiano. Jeden z nas idzie z tym prądem, któremu się oprzeć nie może; drugi patrzy, zżyma się, krytykuje, radby sobie wytłumaczyć dokąd on sam chce iść, a dokąd prądy go pędzą. Jeden jest ciąglą afirmacją życia, drugi negacją jego. W każdym człowieku odbywa się, mniej lub więcej wyraźnie, walka tych dwóch prawie nieprzyjaznych potęg nieznaną.

Dla hrabiego Filipa nieco dziwaczne, ale niezwykłe postrzeżenie Wiktora już było zagłębkiem i zaniespodziewanym, aby na nie mógł dorywczo odpowiedzieć. Zaciął usta, na wszelki wypadek nadając im wyraz ironiczny. Hrabia August, dotąd milczący, spojrział z niejakim zdziwieniem na mówiącego i przysunął się do stolika.

— Jeżeli nie ciągle objawiają się te dwie siły — odezwał się — fenomen ten przynajmniej zdarza się bardzo często w ludziach myślących. Psychologowie tłumaczą go dwiema władzami jednego ducha, płynącymi ze wspólnego źródła. Wszakże w jednej machinie elektrycznej dwa przeciwne też powstają prądy. Dlaczegożby z duszy jednej nie mogły płynąć dwa strumienie, których przeznaczeniem stworzyć ruch i życie, a potem się złączyć znowu?

— Tylko że w nas one nie zlewają się nigdy — odparł Wiktor.

— Dopókiśmy żywi — rzekł hrabia August. — Charakterem życia wszelkiego jest nieustanne rodzenie sprzeczności, jednanie ich i tworzenie nowych.

— Więc słowo zagadki i synteza wszystkich sprzeczności byłyby po za życiem naszym? — wtrącił Wiktor.

— I tak jest niewątpliwie — odparł żywo hrabia August. — Nietylko jeden człowiek jest ułamkiem, ale narody są także ułamkami i cała dopiero ludzkość skończona, gdy z niej nic nie zostanie, oprócz dziejów jej ducha, wypisze na ostatniej mogile wielkie słowo swej zagadki.

— Strasznie to smutne i upokarzające dla ułamków! — westchnął hrabia Filip.

— Smutne dla tych, co koniecznie chcą być czémś więcej niż są: jednostkami odrębnymi i niezawisłymi, któremi my nie jesteśmy — ciągnął hrabia August. — Niestety! trzeba się wyrzec dumnej samoistości!

— Puściliśmy się na bezdroża — przerwał Filip. — Ostrożnie... jama! Wpadniemy w nią!

— Wolno ci nie iść za nami, jeśli się lękasz — natrącił z trochę niecierpliwością hr. August, który tak się ożywił, iż nagle stał się jakby innym człowiekiem, znalazłszy sympatycznego sobie do rozmowy. Zwrócił się cały ku niemu, wyzywając go i przysłuchując mu się z uwagą. Wiktor także wolał słuchać i hrabia August ciągnął sam dalej:

— Każdy z nas ma w sobie jakąś cząstkę ogólnego ducha ludzkości, pożyczoną na czas pewien. Wraca on potem do ogólnej skarbnicy. Jesteśmy ułamkami wielkiej całości, od której się nam oderwać niepodobna, czémś naksztal kropel wody, które się odrywają w postaci kulek na chwilę, lecz muszą się rozpląnąć później, albo w parę przemienić. Wszystko w nas pożyczone od matki, z której łona wychodzimy. Dziecię nowonarodzone na miękkiej tkance mózgu przynosi już wyciśnięte macierzyńskich myśli zarody, które się w niem rozwijają. Zowią się one instynktami. Później w życiu, ucząc się, czerpiemy ze skarbnicy ogólnej doświadczeń, które uzbierały pokolenia... Szczęśliwy, kto temi na dzień jego pracy danymi mu narzędziami i materiałem coś mającego wartość stworzy. Najgenialniejszy twórca pół swego geniuszu bierze z mniejwięcej wyposażonej kolébki.

— Uczysz nas, hrabio, pokory! — odparł hrabia Filip kwaśno.

Wiktor patrzył na stół, nie śpiesząc z odpowiedzią; parę razy rzucił okiem na hrabiego Augusta, który wcale do siebie nie był podobny. Zdawał się przetworzony, ożywiony, zelektryzowany. Nie zważając na hr. Filipa, mówił dalej:

— Tylko taką cząstką się pojmując, człowiek samego siebie, a nawet historią, dzieje narodów pojedynczych zrozumieć może nieco lepiej. Odcięty od ogółu człowiek, od ludzkości naród, wzięty sam w sobie, niezrozumiałym się staje. Inaczej Opatrzność względem obojga wydałaby się niesprawiedliwą.

Mówiąc to, hrabia August zwracał się ciągle do siedzącego z coraz smutniejszą twarzą artysty, jakby pragnął z ust jego wywołać odpowiedź. Wiktor palcem rysował coś po stoliku.

— Tak jest — odezwał się wkońcu — masz hrabia słuszność. Słowo zagadki leży po za tym światem, jest w ręku śmierci. Nam pozostaje w naszych pragnieniach absolutnej wiedzy rezygnacja dzieci, które się napięrały gwiazdki z nieba.

— Smutne to, smutne, smutne! — zamruczał z przybraną powagą hr. Filip.

— Ja — wtrącił hr. August — znajduję to więcej podniecającém, drażniącém, niż smutném. Gdybyśmy mieli słowo zagadki, życie stałoby się niemożliwém. Kucharki tylko idą do wróżbiarek, aby się koniecznie swęj przyszłości dowiedzieć, aby im prędzej obrzydła. Nam dano do przebiegnięcia drogę tajemniczą, która nęci tém, że cel jęj ciągle się nam z przed oczu usuwa. U celu znajdziemy spoczynek.

— Hrabia więc jesteś optymistą — odezwał się artysta — czego mu wiesz najsilniej, gdyż właśnie myśl ludzka pochyla się na przeciwną stronę i nauka robi co może, aby nam zatruć życie.

Hrabia August ruszył ramionami.

— Optymizm mój nie osłania mnie od cierpienia — westchnął. — Mieszka ono w tym drugim człowieku, który jest pierwszego sędzią. Jednakże lżej mi z tém, co pan zowiesz optymizmem, niżby z pesymizmem było. Pesymizm ma tę nielogiczność w sobie, że sam, rodząc się z inteligencyi, opierając na rozumowaniu, istocie, z której wytrysnęła ta inteligencya, przypisuje bezrozum. Jak ateizm pozbawia stworzenie stwórcy, tak pesymizm neguje źródło rozumu.

Zegary były północ włoskim sposobem, nie tak jak nasze półzegarza (piątą czy czwartą godzinę po zachodzie). Hrabia August, który tak był ożywiony, jakby się długo jeszcze zabięrał bronić przekonañ swoich, postrzegł że drzemięca gospodyni, aby gości zmusić do ustąpienia, poczynala powoli gasić światła.

W oprawie drzwiczek do drugiej izby wiodących ukazała się razem postać Pepity, w koszulce tylko i spódniczce, rękami ogorzałemi, wpół obnażonemi, wiążącęj bujne warokcze rozpuszczonych czarnych włosów. Wśród tego zajęcia, zwiastującego do snu przygotowanie, zięwanie zmuszalo ją jedną z rąk ciągle krzyżykiem przed ustami zakręślanym zagradzać drogę złemu duchowi, który, jak wiadomo, czyha na wargi otwarte i nieopatrzne dziewczęta.

Ruszyli się wszyscy z miejsc.

Wiktor zdala życzył dobrej nocy dziewczęciu, które wnet znikło, nałożył kapelusza na głowę bezpiecznieję, wziął kij i zabięrał się do wyjścia.

Hrabia August zbliżył się ku niemu z wyrazem życzliwosci i uprzejmosci, którą rzadko komu zwykł był okazywać.

— Bądźcobądź — odezwał się — ja stoję przy tém, że musimy być dawno znajomi. Dopóki obaj jesteśmy w Rzymie, dlargężbyśmy spotkać się i pogawędzić czasem nie mieli?

Wiktor uśmiechnął się, zawahawszy z odpowiedzią.

— Bardzo wdzięczny jestem hrabiemu za to uprzejme wezwanie — rzekł wreszcie. — Zachodzi tylko ta przeszkoda, że, jak hrabia widzisz, ja zdzięrałem. W towarzystwie, w którym się panowie nawykliście obracać, postać moja jest fatalnym dysonansem. Nieszczęśliwa powierzchowność, którą mi nadało lenistwo, każe mnie posądzać, domyślać się we mnie jeśli nie zbiegłego opryszka z Abruzzów, to przynajmniej czerwonego republikanina, spiskowca, Garibaldczyka, w najszczęśliwszym razie Cygana-artysty, nawykłego żyć w szynkowniach. Ja sam znam to do siebie i boleję nad własną fizyognomią; ale tak mi wygodnie w tęg odzieży powszedniej, w tym stroju zaniedbanym, pośród świata jak ja zabrukanego...

Hrabia August uśmiechnął się.

— Tak, to trochę lenistwa tylko...

— Nie trochę — przerwał Wiktor — ale najstraszniejsze rozleniwienie, tak, niestety! Pozbawia mnie ono wielu życia przyjemności, ale się stało nałogiem. Któż wie, może się czasem potrafię zwyciężyć, a bardzo mi miło będzie zawsze spotkać hrabiego.

— Mieszkam sam jeden, w hotelu pod Minerwą — odezwał się hr. August.

— Numer jedenasty, o parę drzwi dalej — sługa pański — dodał, nie chcąc być mniżej grzecznym, hrabia Filip.

— Ja zaś gnieźdźę się w domu prywatnym na Babuinie — odpowiedział Wiktor — niestety, pod obłokami na trzecim piętrze, bo miéwam fantazyą psucia płócien, więc tam jest niby *studio* moje. — Rozśmiał się smutnie. — Ale, na Boga! — dodał gorąco — proszę mnie nie brać za artystę z powołania! Nie jestem nim, lecz tylko przez miłośnictwo sztuki przekomarzam się méj ukochanej. Ani na pokaz, ani na sprzedaż nie maluję nic. Choruję na sztukę... Włochy, jak się zdaje, wyléczą mnie z téj słabości, ale to pewna, że gdy ozdrowię... o! będę bardzo nieszczęśliwy.

I znowu sam rozśmiał się z siebie. Hrabia August podał mu rękę, poszedł za jego przykładem i Filip, pan Wiktor zaś, zamachnąwszy kijem, wybiegł i znikł im w ciemnościach.

Dwaj towarzysze powolniejszym krokiem wyszli z kawiarni, którą stara i roztyła, brzydka, łysa matka pięknej Pepity zamykała coprędzej za nimi.

— Człowiek wcale niepospolity i dla mnie sympatyczny — odezwał się hr. August.

— Choćbym rad zawsze zgodzić się na twoje zdanie — odparł Filip — na ten raz nie mogę. Sam on powiada że zdziaczał, a mnie się zdaje, że chyba nigdy wielce oswojonym być nie mógł. Kawał awanturnika! Już to samo, że nazwisko nosi przybrane, a prawdziwego powiedzieć nie chce, dużo daje do myślenia. Ja takich ludzi wykolejonych nie lubię.

— Ani ja — odparł August — ale są wszędzie wyjątki, a ten właśnie zdaje mi się do nich należeć.

— Komediant! — rzekł pogardliwie Filip. — Zresztą zobaczymy! Życzę tylko, abyśmy na kieszeniach swoich nie doznali skutków sympatyj dla tego pana.

August zaprotestował. Zamilkli.

Księżna Teresa oddawna mieszkała w Rzymie, chociaż często z niego robiła wycieczki, czasem trwające miesiącami. Jedynemu synowi swemu, zaledwie pełnoletniemu, oddawszy majątek cały, pozostawiwszy sobie tylko (znaczące, jak głośzono) kapitały, które sama rozporządzała — była zupełnie swobodną. Pensyi, którą syn, równie do niej przywiązany jak ona do niego, upierał się jéj wypłacać, nie chciała przyjmować, odkładając to, jak mówiła sama, do czasu gdy wszystko co ma utraci. W pełni sił i zdrowia, księżna przy swym charakterze miłym, temperamentem na oko łagodnym, nie doznawszy w życiu nic, coby albo zbyt po sobie żale, lub nieprzyjemne zostawiło wspomnienia — powszechnie była uważaną za bardzo szczęśliwą istotę.

Wiele osób jéj zazdrościło, a gdy która z pań przyznawała się do tego, ona oczy spuszczała, uśmiechała się i potwierdzała przypuszczenie.

— Ale bo ja wistocie bardzo jestem, jak na mój stan wdowi, szczęśliwą — powiadała.

— Pan Bóg mi dał dobrego syna, mam więcej niż potrzebuję do życia, jestem swobodną i niezwiązaną niczém.

I tuż za uśmiechem przychodziło, jakby mimowolne, westchnienie.

Rzeczywiście księżna należała do tych istot, których życie zaprędko się skończyło. Owdowiała młodą, syn jéj dorósł, gdy ona nie miała jeszcze czasu postarzyć. Wcale jeszcze świeża i piękna, życia pełna, z sercem kochać potrzebującym, znalazła się osamotnioną, jakby już w oczekiwaniu końca, który tak prędko przyjsć się nie obiecywał.

Zapełniała tę próżnię życia jak mogła: czytaniem, miłośnictwem sztuki, podróżami, wszystkimi przyzwoitemi rozrywkami, które dają mocniej jeszcze może uczuć czczość i brak celu resztek pozostałych żywota.

Próbowano ją zagrać do wielkiej pobożności; lecz księżna, choć religijnego ducha i w spełnianiu obowiązków gorliwa, nie dała się opanować i oparła nawracaniu, znajdując że nigdy odwróconą nie była.

Powierzchność miała ujmującą wielce, była świeżą i blasku dawnej piękności nie straciwszy, spoważniała tylko. Słyszała jako bardzo bogata, choć nikt nie wiedział dokładnie czém rozporządzała; celowała inteligencją, wykształceniem, niejednen więc ze starszych i młodszych panów, spotykających się z nią w towarzystwach, lub bywających w gościnnym jęj domu, skusił się o zdobycie serca, którego pustki się domyślał.

Kilka podobnych prób nieszczęśliwych, żartobliwie, grzecznie, wesoło w samych ich pierwocinach księżna odtręciła tak stanowczo, iż wkońcu ludzie sobie powiedzieć musieli, że wistocie za mąż iść wcale nie myśli, a innych stosunków zawierać nie życzy. Przyjęto to z niedowierzaniem, ale nikt już nie śmiał płocho narazić się na próżne zabiegi.

W humorze księżny Teresy nie widać też było zwykle, aby za czém tęskniła. Swobodna, wesoła, zawsze umięjąca sobie wyszukać jakiegoś zajęcia, życie zapełniając cudownie, tworząc sobie coraz nowe zabawki niewinne, do których się namiętnie przywiązywała — księżna nosiła z sobą dobry humor, ożywiała towarzystwo, do którego weszła.

Nowa książka, gdy o nięj mówiono wiele, pochłaniała ją na czas jakiś; nowy obraz, wystawiony posąg, wiadomość o wypadku mającym znaczenie i zwiastującym następstwa ważne w otaczającym świecie, prawie ją rozgorączkowały. Tak samo bywało z ludźmi nowymi, których starała się poznać, zbliżyć do nich, zbadać, spoufalić z nimi. Pociągaly ją zarówno wielkie głowy, imiona rozgłośne, jak postacie ekscentryczne, zagadkowe, niepowszednie.

Dlatego też, gdy po odejściu dwóch hrabiów i wysunięciu się z pokoju pana Ferdynanda, została na chwilę sama z gospodynią, nie mogła się księżna wstrzymać od wykrzyknika:

— Niezmiernie jestem ciekawą tego człowieka!

Pani Liza, wystygłjsza pod tym względem, lub przynajmniej niechcąca zdradzić swęj ciekawości, odpowiedziała lekkim ramion ruszeniem.

— Na mnie on zrobił wrażenie takie, że się ulękla — rzekła. — Nie jestem nawet ciekawą, bo czytam historią biédaka z jego twarzy i stroju. Jest-to jakaś ruina, ofiara losu, temperamentu, charakteru, a może... któż wie?... nałogu... Cynizm powierzchowności przeraził mnie.

— A! wierz mi — odparła księżna Teresa, — po za tém, czém on dziś jest, czuć jednak przeszłość jakąś, niechybnie lepszą, świetniejszą. Masz słuszność co do upadku; ale bądźmy miłosierne, nie obwiniajmy naślepo człowieka. Kto wie jaki w tym udział miały losy.

— Losy! — odparła Liza. — Powinien był walczyć z niemi. Męczyzna!

Powiedziała to sucho jakoś i zimno.

— Może też walczył i został zwyciężony — dodała księżna. — Ja lituję się zawsze, nawet nad winnymi. Czyż i występki nie godzien politowania?

Gospodyni, spuściwszy oczy, milczała.

— Nazwisko Gorajski — ciągnęła dalej księżna — nie mówi nic. Nie mogę sobie nawet przypomnieć, czym je kiedy słyszała. Jestem ciekawą, tak nieprzyzwoicie ciekawą, przyznając się, że, Boże odpuść! gdybym go znowu gdzie spotkała rysującego, gotowam się przyczepić i zaprosić...

— Ty-bo, moja droga księżno — przerwała Liza — nadto doprawdy jesteś pobłażającą, a bardzo nieostrożną, pomimo wielu smutnych doświadczeń. Niech sobie księżna przypomni tego, który tak zawiódł jęj miłosierdzie nad sobą, i tego...

— Proszę cię — śmiejąc się, przerwała księżna — dajże pokój tym wspomnieniom! Któż się w życiu nie zawodził? Wprawdzie smutno mi było trochę potem, ale wprzód mnie to bawiło.

— A! kochana księżno — dodała p. Liza — ja się często myślę w sądach; ale ten... ten dzisiejszy nasz pan, jako człowiek straszy mnie, a jako artysta należy pewnie do tych, co ślicznie mówią o sztuce, a okropne bazgrzą rzeczy... Będziesz potem musiała swą ciekawość opłacać nabywaniem krut...

— Chociażby — odparła księżna Teresa. — Jeżeli pięknie mówi o sztuce, nie żal już krut jego nabywać.

To mówiąc, księżna do wyjścia i pożegnania się zabrała.

Rozstały się dwie przyjaciółki, wzajemnie śmiejąc z siebie: Liza z łatwowierności, księżna z jej strachu. Księżna odeszła nienawrócona, zajęta tajemniczym zjawiskiem, z mocnym postanowieniem zaproszenia do siebie p. Wiktora przy pierwszej sposobności.

Ponieważ razy kilka widziała go około Colosseum, na Campo Vaccino, na Via Appia, postanowiła sobie zwiędzać te miejsca pokolei, w godzinach w których rysować można, dopókiby szczęśliwy traf nie nastroczył jej spotkania.

Nazajutrz, zszedłszy się przypadkiem z hr. Augustem w Museo Pio Clementino, nie wytrzymała księżna, by go nie zagadnęła o nieznanego. Hrabia, który był także pod dziwnym urokiem ekscentrycznej tej figury, opowiadaniem o nocnej rozmowie z nim ciekawość księżny rozbudził i spotęgował do najwyższego stopnia.

— Nie wiem — rzekł hrabia wkońcu — być może iż człowiek to upadły, jak sam powiada, zwichnięty, ale zdolny, wykształcony i wcale niepowszedni. Gdy się jemu podobnych spotyka, obowiązkiem jest raczej rękę im wyciągać, niż ich odpychać.

Niezmiernie uradowana księżna, posłyszawszy to zdanie, gorąco uścisnęła dłoń mówiącego.

— A tak! — zawołała — tak! Szczęśliwa jestem, że choć wy trzymacie ze mną. Wczoraj klóciłam się o to z Lizą, która mi chciała wmówić, że moja chęć bliższego poznania tego człowieka jest jakąś fantazją niebezpieczną.

Hrabia August się uśmiechnął.

— Niebezpieczną? — podchwycił ironicznie.

— A! źle to rozumiesz — odparła księżna, rumieniąc się nieco. — Liza widzi tylko niebezpieczeństwo dla kieszeni, ale... bodajby!

— Znam nieco ludzi — odezwał się hrabia — i przekonany jestem, że tego niebezpieczeństwa wcale się obawiać nie można.

— Nieprawdaż? — powtórzyła radośnie księżna Teresa. — Więc chociaż wy trzymacie ze mną?

Hrabia się skłonił.

— Osobliwa rzecz — dodał — mogę się pochłubić pamięcią ludzi, a jestem przekonany, że tego pana kędyś w mém życiu spotkałem, tylko przypomnieć sobie nie umiem miejsca i stosunku. Sam on, gdym mu o tém napomknął, potwierdził to, ale zarazem dodał, iż objaśnić mnie nie potrafi, gdzie i jak to być mogło.

— Kiedy tak, to i ja się mogę przyznać — pocichu dodała księżna — że on na mnie także robi wrażenie dawniej jakiejś znajomości. Myślałam że to przywidzenie...

— Bądźcobądź — dokończył hr. August — ma dar przyciągania ku sobie.

Rozmowę przerwało nadejście Angielek znajomych księżnie, które raz doświadczywszy jak dobrym była Ciceronem, przybiegły ją prosić, aby im pomogła do oglądania muzeum.

Uprzejma zawsze księżna wesoło zabrała się im towarzyszyć.

Od tego dnia jedno miała na myśli: pochwyć gdzieś koniecznie nieznanego tego jegomości i wciągnąć go do swego salonu.

W tym celu długo napróżno jeździła księżna rankami i wieczorami po Rzymie i okolicach. Zrobiła wycieczkę do Starych drzew w Olevano, do Tivoli, do ruin willi Adryana; chodziła około pałacu Cezarów i Colosseum, lecz nie mogła nigdzie spotkać owego pana Wiktora.

Zdawał się jakby naumyślnie uchodzić i ukrywać, unikając nowych stosunków. Nawet p. Ferdynand, którego księżna sobie zjednała na sprzymierzeńca, nie widywał go teraz nigdzie, a na Babuinie, gdzie mieszkał, trudno się było nawet o jego trzecie piętro i studio dowiedzieć.

Księżna, przypuszczając iż mógł z Rzymu dalszą jakąś przedsięwziąć wycieczkę, co w tej porze roku było bardzo naturalnym, nie zaniechała jednak poszukiwań swoich.

Jednego dnia namówiła panią Lizę na wieczorną przejażdżkę do Villa d'Este. Ferdynand im sam jeden towarzyszył. Tu, chodząc po tym ogrodzie, niegdyś tak pięknym, dziś tak zaniedbanym, wcale niespodzianie, na mchem okrytej marmurowej ławce, księżna postrzegła swą zgubę. Wiktor siedział z książką do szkicowania na kolanach, zapatrzony w stare, prześliczne cyprysy, które zdawał się chcieć studiować.

Pani Liza, udając że go nie poznaje, chciała coperędzej pominąć, gdy księżna gwałtownie się napała zaczęć artystę. Oprzec się jej nie było podobna. Pan Ferdynand ofiarował

się za pośrednika; lecz księżna, przypuszczając że jest pod wpływem siostry i obawiając się aby nie popsuł sprawy, podziękowawszy mu, sama poszła odważnie przywitać p. Wiktora.

Od pierwszego owego widzenia ani strój, ani twarz, ani wyraz zagadkowej postaci nie zmienił się wcale. Miał na sobie to samo lekkie ubranie, ten sam kapelusz i gruby kij, tylko obok niego leżał zwinięty pled podróżny. Zobaczywszy księżnę podchodzącą, Wiktor przestraszony zamknął coprędzej książkę i z ławy się ruszył.

— Poznałam pana zdaleka — odezwała się, podchodząc, księżna. — Schwycony na uczynku, nie możesz się pan zaprzéć, że jesteś pejzazystą. Śliczne tu studia robić można. Ale w Rzymie wcale już pana nie widać.

Grzeczne to przywitanie, którego nie zdawał się spodziewać artysta, trochę go zdumiało.

— Uciekłem z Rzymu, dla gorąca — rzekł — a co się tyczy moich studyów, niema w nich nic, coby zasługiwało na tak poważne nazwanie. Rozrywam się, jak mogę. Gdy nie mam co czytać, próbuję psuć papier.

Księżna stanęła trochę, badając go uważnie.

— Gdy książek brak — odezwała się — gdy i te studia zmęczą, powinienbyś pan trochę się więcej ludziom udzielać. Mając tu ziomków, nie godzi się o nich zapominać.

Był to prawie rodzaj grzecznego zaproszenia, które wywołało uśmiech smutny na usta Wiktora. Zdawał się uszom własnym nie wierzyć.

— Ziomków? — powtórzył z cicha — ziomków?... Ależ to prawdziwy cud dzisiaj posłyszeć, aby się kto o znajomość i stosunki z ziomkami upominał. Gdzież dziś ziomkowie? Rozdziela nas tyle różnic przekonań, położeń, losów, że tytuł ziomka najczęściej bywa postrachem. Znam ludzi, co posłyszawszy swą macierzystą mowę, uciekają przerażeni, szczególnie jeśli ona z ust pieszego włóczęgi wychodzi. Niestety! — dodał — ci bojaźliwi mają bardzo często słuszność, bo między ziomkami za granicą spotykają się i gwiazdy pierwszorzędne i... smutne odpadki społeczeństwa. Jesteśmy dziś jak owe rozbité planety szcztaki, jak aerolity i bolidy... gwiazdami lub kawałkami żelazistej rudy...

Księżna zdawała się słuchać z przykrością i przerwała mu szybko.

— Nas tu teraz w Rzymie jest garstka mała bardzo, a ja mam tę wadę, że mnie nietylko gwiazdy, nietylko odpadki, ale nawet najzwyczajniejsze postacie, spokrewnione mową i wspomnieniami, mocno zajmują. Otóż — dodała weselęj, siłąc się na pewną rubasność kobiety dobrego towarzystwa, która czuje prawa swoje — otóż, krótko a węzłowato: zobaczywszy tu pana, przyszłam umyślnie, aby mu powiedzieć że prawie codzién wieczorem jestem w domu i że mi pan uczynisz wielką przyjemność, przychodząc na herbatę i rozmowę.

Wiktor skłonił się, tak zdumiony, że nie odpowiedział zrazu i cóś tylko niezrozumiałego przebąknął.

Księżna stała, uparcie nań patrząc.

— No, proszę bardzo, nie bądź pan dzikim; zrobisz mi przyjemność. Salon mój nie jest zbyt ceremonialnym. Towarzystwo znajdziesz pan toż samo, z małą odmianą, które spotkałeś u mojej przyjaciółki Lizy.

— Niech księżna raczy wierzyć, że jestem jéj nad wyraz wdzięcznym — odezwał się Wiktor — bo to jest dowodem z jéj strony tak dobrego serca, a takiej... nieopatrzności, której tylko szlachetniejsze serca i wyższe charaktery mogą się dopuścić. Stokroć księżnie dziękuję!

Księżna poruszyła ramionami.

— Pochwały — szepnęła — na które nie zasłużyłam.

— Owszem — podchwycił ośmielony Wiktor. — Ja łaskę jéj umiem ocenić. Mówiono mi to wielekroć, że wyglądam na bandytę, lub niedobrego gatunku artystę-awanturnika. W dodatku jestem ziomkiem, więc może biédnym wygnańcem, który rad czepiać się i wyzyskiwać. Nikt mnie nie zna! Trzeba heroicznéj odwagi i takiego serca...

— A! — przerwała, rumieniąc się, księżna — proszę, daj-że mi pan z tém pokój! Nic podobnego nie przypuszczam, a moje zaproszenie, moje natręctwo pochodzi poprostu z tych pustek w Rzymie i ciekawości córek Ewy. Zapraszam koniecznie! Przyjdiesz pan?

Mówiła tak nakazująco, że się jéj oprzéc nie było podobna.

Wiktor się skłonił.

— Więc jutro czekam z herbatą, a dla ubezpieczenia pana dodam — rzekła, uśmiechając się — że nie będziemy pana badali, męczyli; zostawimy mu swobodę jaknajwiększą.

Dokończywszy i nie przypuszczając już odmownej odpowiedzi, księżna prędko poszła za Lizą i jej bratem, który przy niej pozostał. Widać ich było zdaleka, w uliczce oczekujących.

Wiktor, po odejściu jej, siadł znowu na ławce, ale już do studyowania starych cyprysów nie powrócił.

Księżna zajmowała oddawna stary pałacyk jednej z tych rodzin patrycuszowskich, które, choć zubożałe, trzymają się jeszcze pozostałych im starych murów, bo do nich przywiązane są wspomnienia dawnej wielkości. Żyją może nadzieją, że kiedyś odzyszczą świetność straconą.

Tymczasem w tych gmachach, których tyle się spotyka w ulicach Florencji, Bolonii, Rzymu i pomniejszych miast włoskich, rodziny zubożałe wiodą życie bardzo skromne, tulą się gdzieś w kątkach, znacznieszą część pałaców zajmując cudzoziemcom.

Księżna miała całe pierwsze piętro wspaniałego niegdyś gmachu, z salami olbrzymimi, z sufitami malowanymi al fresco, z obrazami w pośrodku, z posągami pootłukanymi u wnijścia. Dwór jej cały składali: stara panna Kunegunda (Kunusią zwana), podobno daleka kuzynka nieboszczyka męża, do której księżna przywykła bardzo i lubiła ją, stary kamerdyner z domu wzięty i dwoje sług przynajętych za granicą.

Wielki salon, w którym przyjmowała, umeblowany był po włosku, to jest opatrzonej w sprzęt niezbędny, niegdyś wytworny i wspaniały, teraz już zszarzony i zestarzały. Na ścianach wisiały wizerunki margrabiowskiej rodziny, do której pałac należał, i para olbrzymich krajobrazów, w fantastycznym stylu Salvatora Rosy, broniących się rozmiarami swymi od sprzedaży i losu współbraci, dawniej Anglikom odstąpionych. W innych dwóch przyległych salonach mniejszych, księżna już się więcej sama urządziła i rozgospodarowała. Tu wszystkie jej upodobania, rozrywki, kaprysy łatwo można było poznać, widząc na ścianach nowe najrozmaitszej wartości obrazki, posążki na kominach, książki porozrzucane po stolikach i kanapkach, obok kobiecych robótek i fraszek.

W salonie wielkim jeden tylko fortepian nowy starożytnie umeblowanie odświeżał, odbijając swą formą i blaskiem od dawnych margrabiowskich sprzętów.

Szukająca zajęcia i rozrywek dla wypełnienia życia, księżna Teresa w mieszkaniu tylko jednym była nałogową i przywiązaną do znajomych kątów, choćby ją znudzić już były powinny. Stary pałac miał wiele niedogodności, najem jego podnoszono coraz; trzymała się jednak tych ciemnych sal, do których przywykła. Za nic ich zmieniać nie chciała.

Nazajutrz po powrocie z Villa d'Este, księżna pośpieszyła zawiadomić hr. Augusta, iż się zaproszonego spodziewała artysty (bo tak uparcie go zwano). Pominęłaby była może hr. Filipa, który, pomimo narzucania się towarzystwu, niebardzo był w niem lubiony; lecz... byłby się czuł obrażonym. I jemu więc musiano oznajmić, że księżna dnia tego wieczorem będzie w domu.

O zwykłej godzinie pani Eliza z bratem, hrabia August, a nawet czasem umyślnie opóźniający się hr. Filip, znajdowali się już u księżnej, gdy kamerdyner drzwi otworzył i wpuścił gościa nowego. (Dodajmy dla charakterystyki, iż zrana, wedle ścisłej obyczajności obserwacji, księżna znalazła na stole u siebie kartę wizytową Wiktora Gorajskiego. Znaczyło to, że formy świata znał i umiał je poszanować).

Wielki salon słabo był oświetlony, tak iż w pierwszej chwili księżna wchodzącego nie poznała.

Był-to zaproszony Wiktor, ale w postaci tak nowiej, w tak zupełnej metamorfozie, iż wszyscy obecni stanęli na chwilę niemal przestraszeni.

Śladu na nim nie pozostało owego zdziczałego człowieka. Ubrany wedle najściślejszych wymagań salonowych, w czarnym fraku, w rękawiczkach jasnych, z kapeluszem w rękę, w lakierowanych bucikach, z brodą i włosami w porządku, był jakby nowym, nieznanym człowiekiem. Fizjonomia tylko jego nie postradała wyrazu tego artystyczno-cygańskiego, który ją dawniej odznaczał, ale wśród innych akcesoryów, wydawała się więcej oryginalną, niż dziką.

Ubranie nie zdawało mu się cięższe i ścisnąć go, jak zwykle pęta ludzi, którzy je rzadko wkładają i noszą niechętnie. Ruchy miał swobodne, w salonie zdawał się jak u siebie.

Hrabia Filip był jednym z tych, których ta przemiana może najmocniej zdumiała. Pani Eliza, którą za pierwszym zjawieniem się w jej salonie Wiktor nastraszył, niemiędzy może się teraz ulećka tak zupełnej metamorfozy. To kameleonstwo zagadkowe, dziwaczne niby-artysty, niby-człowieka do towarzystwa należącego, podwoiło przestrach i ciekawość. Z większym niż wprzód, niespokojnym zajęciem zaczęła mu się przypatrywać zdaleka.

Nie ulegało już wątpliwości, że człowiek ten jakimś prawem jeżeli nie należał do wyższych sfer społecznych, to się w nich musiał obracać często, i że się z nich dobrowolnie wyłamał, gdy stały się dlań uciążliwymi lub wstrętnymi. Pani Liza widziała w nim niebezpiecznego może wroga tych, od których uciekał, ale nęcił ją tajemniczością swoją.

Po przelotnej chwili zdumienia, księżna przywitała przybywającego, starając się nie dać mu poznać, iż ją ta przemiana zdziwiła.

Hrabia August, dla którego, od pierwszego wejrzenia, miał jakiś urok ten człowiek zagadkowy, zbliżył się zaraz ku niemu, a za nim, jak zawsze, pośpieszył hr. Filip.

Księżna rzuciła słówko o willi d'Este, a hr. Filip ze złościwością, z którą się lubił popisywać, gdy mowa zesła na studia, wtrącił umyślnie słówko o pięknej Pepicie, jako przedmiocie studyów także bardzo dojmującym.

Wiktor, nie dając się tém zmieszać, uśmiechnął się dobrodusznie.

— A! — odezwał się — to właśnie dla artystów wogóle stanowi wielki urok tej włoskiej ziemi, że tu, może tylko tu, znajdują oni najcudniejsze, niespodziane modele, które zdają się żywem potomstwem greckiej sztuki. Tu jeszcze owi bogowie i boginie chodzą po ziemi, tu spotykać można młodych Satyrów, Heby, Psychy i Junony. Na wyspie Capri potomkowie dawnych kolonistów Hellady osłupiają czasem pięknnością swoją. Każdy myślący artysta staje tam wobec nierozwikłanej zagadki. Te cuda piękności noszą w sobie dusze tak uszione, tak pospolite, tak prozaiczne; te Psychy bywają często tak ograniczone, dziecinne, nawet zepsute, iż chce się spytać natury, co ta jej piękność znaczy? Czemu powłoka nie odpowiada duchowi? dlaczego ci bogowie i boginie kłamią, gdy są poprostu ledwie rozbudzonemi ze snu ostatnich istot... zwierzętami?

Wiktor wypowiedział to postrzeżenie swoje tak jakoś naturalnie, iż nikogo nie uderzyło wprowadzenie rozmowy na przedmiot wcale niezwykajny.

— Ta Pepita — dodał — którą hrabia widziałeś wczora, jest ślicznym wzorem, jakby zrodzonym szczególnie dla rzeźbiarza, dla malarza nawet, a wkońcu i dla poety... Zaklęta w kamień, przeniesiona na płótno, wyśpiewana w naiwnych strofach, mogłaby się wydawać ideałem. Spróbuj-że jednak hrabia pomówić z tą jaśniejącą blaskiem młodości i wdzięku istotą, a znajdziesz w niej rozpaczliwie pospolite stworzenie, roztrzepane, chciwie najdziecinniejszych uciech, zabobonne, złośliwe czasem. Oczy jej mówią często, prawie zawsze, zupełnie co innego niż usta... Zdaje się jakby duch jakiś szyderca zakradł się w formy zapożyczone.

— Cóż tu natura winna? — odparł hrabia August powoli. — Ona stworzyła doskonałe narzędzie, na którym śpiąca dusza grać nie umie. Tej doskonałej harmonii ciała i ducha, której pan wymagasz od ludzi, nie spotykamy nigdy prawie w życiu. Kilkaset lat czeka świat na Beatrycę Dantego, na Laureę, na Vittorię...

— Człowiek wogóle — dodała księżna — jest istotą ułomną i rzadko może w sobie wszystkie siły i władze wyrobić do równej doskonałości. Ideałów lub istot zbliżających się do nich niema na świecie.

— Teraźniejsza nauka i teoria sztuki rzeka się nawet gonienia za niemi i marzenia o nich — rzekł hrabia Filip.

— Jest-to chwilowa protestacja tylko przeciwko fałszywemu ideałów pojmowaniu, nic więcej — odezwał się August. — Niemiędzy wyzucie się zupełne z ideału uważam za szkodliwe. Człowiek, który nie ma go przed sobą i nie stara się nim stać, z konieczności upada nisko.

— Ja zaś znajduję — wtrącił hrabia Filip — że lepiej wcale nie marzyć o tém co niedoścignione, a ograniczyć się na...

— Na *fruges consumere nati* — podszeptnął hrabia August.

Rozmowa się nieco przerwała, bo milczenie p. Elizy zdało się gospodyni oznaką, iż zбочono odrazu w strefy, w które niewszyscy puszczać się byli gotowi.

Właśnie też wejście gościa nowego wywiodło wszystkich z trochę kłopotliwego szukanania treści do ogólnej rozmowy.

Przybyły był jednym z tych biédaków, których księżna umiała wszędzie wyszukiwać i gromadzić około siebie. Był to malarz-poeta, człowiek już niebardzo młody, od lat wielu bląkający się po Włoszech i po Francyi, który sztuki dopiero, za granicą się w niej rozmiłowawszy, uczyć się począł — jeden z tych, o których wspominała pani Eliza, co mówią pięknie o sztuce, a stworzyć nic nie umieją. W wielu rzeczach miał pojęcia bardzo trafne, czuł piękno, umiał je ocenić, teoretycznie tworzył obrazy zachwycające; ale gdy się wziął do wykonania, był najstraszliwszym bazgraczem.

Szkic bywał czasem genialny, lecz dzieło prawie zawsze poczarne. Nieszczęściem sam do siebie nie czuł tego, miał się za niepoznanego wieszczka i malarza... przyszłości.

Wpływ jakiś nieszczęśliwy ludzi otaczających, epoki, temperamentu może, uczynił go olbrzymio zarozumiałym.

Miał się za geniusz, a warunkiem genialności dla niego była ciemność, równoważna w przekonaniu jego z głębokością.

Dla ludzi chłodnych był poprostu śmiesznym, karykaturą geniuszu; dla współczujących godnym niezmierniej litości, zbłąkanym biédakiem. Ołówkiem i penzlem nie mogąc nastarczyć wielkiemu duchowi, jaki w sobie nosił, pan Emil Maria Otoski (tak się zwał) stał się zarazem poetą, równie dziwnym, niezrozumiałym, wymuszonym, jak był malarzem. Poezya nawet przeważała w nim teraz.

Emil Maria nigdy nie chciał być naturalnym, sobą samym; pamiętał o tém, że nosił w sobie wieszczka; szanował wielkość swą, występował tak zawsze, jakby go na chwilę nie opuszczało natchnienie. Kapłanem był od rana do nocy.

Powierzchność człowieka nie dałaby się łatwo domyślać geniuszu, gdyby Emil Maria nie pomniał ciągle o tém kim jest, co na tej ziemi, wśród pospolitych tłumów, przedstawiać powinien.

Człowiek był już lat może czterdziestu kilku, trochę łysy, dość słusznego wzrostu, przygarbiony nieco, zaniedbany w ubraniu, jak przystało poecie i artyście. Powierzchność zdradzała źle pokrywane ubóstwo; na twarzy, rysów dość pospolitych, wybitne było i poczucie swęj wielkości i coś, co znamionuje istotną wyższość inteligencji. Oblicze miał zmęczone widocznie tém nieustanném czuwaniem nad sobą, obmyśliwaniem każdego ruchu, szukaniem słowa i miny, strojeniem się naprzemiany w zapaly na zimno i ironią dla kontrastu. Wkońcu jednak nawyknięcie stało się naturą: wyglądał na starego komedyanta, który już i w salonie przestać nim być nie może.

Był-to poeta i geniusz z tych czasów Byrona i Shelleya, gdy wielcy ludzie musieli dziwaczyć, wybuchać, by się u tłumy dorobić uznania ducha co w nich mieszkał i nigdy im nie dawał spokoju. Niewolno im było ani na chwilę prostymi śmiertelnikami pozostać. Emil Maria był też nieznośnie, zawsze i wszędzie geniuszem.

Czy otaczający uznawali go, czy nie, nie spuszczał z tonu; niekiedy tylko, spotykając się z niedowiarstwem i ironią, wybuchał gniewem wielkim, zrywając z ateuszami. Na tych już pocziwéj nie zostawiał nitki.

Księżna, zobaczywszy go wchodzącego, na jedno oka mgnienie okazała pewną niecierpliwość i zakłopotanie. Gość ten przychodził jęj nie w porę; ale nadzwyczajna dobroć i uprzejmość dla wszystkich, a litość nad biédnym monomanem, wnet jęj twarz rozjaśniły.

Emil podszedł ku gospodyni, jak człowiek przekonany, iż uszczęśliwia każdy dom, w którym ukazać się raczy. Z pewnym rodzajem poufałości, uszanowania pełnej, pocałował ją w rękę, skłonił się wszystkim zdala i zabrał miejsce, dając czuć, że on tu teraz musi się stać figurą główną, ogniskiem, mistrzem, z prawa swojego geniuszu.

Dosyć obojętnym wzrokiem przebiegając salon i starając się wobec tytułów, jakie tu spotykał, swojego się nie wyrzekać i nie dać o nim zapomnieć — poeta spostrzegł nagle Wiktora, który przypatrywał mu się z uśmiechem jakimś dwuznacznym. Okazał na widok tęj postaci nowęj niezmiernie zdumienie. Niepokoila go.

Jak gdyby sądził że się omylił może przy piérwszém rekognoskowaniu, wlepił oczy w nieznanomego, zapominając nawet odpowiedzieć na zapytanie gospodyni. Księżna, z cechującą ją łagodnością, powtórzyła je, a poeta wtedy dopiero, jak rozbudzony, zwrócił się ku nięj, wyrzekając się na chwilę rozpoczętego badania.

— Cóżes pan porabiał przez tych dni kilka, gdy nigdzie go widać nie było? — mówiła księżna.

— Sam nie wiem, trudno się z tego wypowiadać — odparł powolnie, patetycznie Emil. — Są w życiu dnie, gdy się traci czasu rozmiary, poczucie rzeczywistości; są chwile ekstazy, niby godziny chaosu poprzedzającego kreację. Same te znowu momenta poprzedza często pokuta ducha na pustyni, w pół-śnie, pół-jawie, post myśli, maceracja uczuć, senność samopoznania, zdrętwienie naszego ja... nie wiem!

Podniósł oczy kugórze i westchnął, nie dopowiedziawszy reszty, aby ją sobie dośpiéwali w duszy słuchacze. Milczeli wszyscy, bo nie było co odpowiadać na ten wykrzyk mistyczny.

Litościwa księżna po chwili spytała, aby przykrą przerwać ciszę:

— Malowałeś pan co?

— Ja, malować? — zawołał ironicznie. — Ja połamałem penzle, podarłem płótna... Napróžno! nie mam tego daru prawienia rzeczy oklepanych językiem zużyтым, a jedynie zrozumiałym tłumom; aby być ocenionym i pojętym, trzeba być płaskim, trywialnym, pospolitym. Tego nie umiem, to nie moja rzecz! Być zaś głosem wołającego do głązów, wkońcu zabija. Godzina moja wybiła!... Niezrozumiany, zrezygnowany zstąpię do grobu.

Mówił to, deklamując niedobrze, pomagając sobie ruchami rąk, głosem to krzykliwym do zbytku, to do szeptu niżonym; ale z oczów iskry się sypały.

Hrabia Filip, któremu najtrudniej było wytrzymać, poszedł się ukryć w cieniu, aby nie postrzeżono że się uśmiechał. Reszta towarzystwa zachowała się przyzwoicie.

Księżna patrzyła na stół; Wiktor, znalazłszy album jakies pod ręką, poczył je z wolna przeziierać. Na twarzy jego widać było boleść i smutek... wrażenie jakiegoby doznał litościwy człowiek, widząc chorego, obnażającego ranę zaognioną, a zastarzałą.

Zaledwie dokończywszy tę znaną już księżnie z rozmaitemi jój wariantami elegią, Emil Maria pochylił się ku niéj i spytał cicho:

— Mościa księżno (tu wskazał na zatopionego w albumie), co to za człowiek?

Odpowiedź była nader trudna, gdyż wistocie nikt nie wiedział jeszcze, czém był ten *homo novus* w salonie. Księżna więc ograniczyła się szepnięciem nazwiska.

Poeta ruszył ramionami.

— Twarz tę, jój cień, podobiznę, coś z nią krewnego spotykałem — rzekł — nie wiem, na tym, czy na innym świecie. Jest mi znaną.

Hrabia August, który nad dawniej sobie już znanym Emilem czuł rodzaj politowania, a chciał razem przyjąć w pomoc księżnie, przysiadł się do niego.

Widocznie dręczony tą nową postacią, w której może obawiał się rywala, poeta pochylił się do hrabiego i szepnął, wskazując na Wiktora:

— Poeta? artysta? obywatel? wygnaniec? Kto to jest?

— Nie wiem — odparł hrabia. — Jest-to znajomość nowa, może dyletant.

Z obrzydzeniem razem i politowaniem Emil, usłyszawszy tę kwalifikacją, ruszył ramionami. Nic dlań wstrętlivszém być nie mogło, od dyletanta, może dlatego, iż w duszy sam poczuwał się, że niczém inném nie był. W sztuce zaledwie się nawet dyletantem mógł nazywać; jako poeta, miał tylko nigdy niemogące się ziścić marzenia, tworzył obłamki, co się z sobą nie zrasały. Czasem było w nich parę wiérszy, błysk talentu rzeczywistego, jaskrawy, przesadnością zepsuty, przybrany dziwacznie; ale natychmiast po nim następowała powódź bredni, w których język brany był na tortury, aby, stając się niezrozumiałym, wydawał genialnym.

— Tego człowieka ja gdzieś widziałem — szepnął poeta hrabiemu.

— Pewnie na ulicy, jak my wszyscy — rzekł hrabia.

— Być może. Ale tu w salonie wydaje mi się jakby był przebrany. Niech hrabia przy sposobności raczy nas poznać z sobą.

Prześć miano do mniejszego salonu, na małą *collazione* i herbatę, nadarzyła się więc rychło żądana sposobność. Hrabia zapoznał z sobą dwóch panów.

Bardzo chłodno przyjął poetę Wiktor; na chwilę jednak pozostali z sobą.

— Ja pana gdzieś widywałem — rzekł niespokojnie Emil Maria.

— Bardzo prawdopodobnie — odezwał się Wiktor. — Włóczę się wiele, a oddawna jestem w Rzymie i wszędzie mnie pełno.

— Artysta?

— *Quod Deus avertat!*

— Więc cóż?

— Nic, człowiek zwichnięty, jak my wszyscy potrosze — rzekł Wiktor.

— Wszyscy, wszyscy zwichnięci?!

— Wygnańcy stają się takimi, prędzej lub później.

— Pan tak sądzi? — począł poeta, trochę zmieszany, i po małym przestanku dodał:

— Pan sądzi że wygnanie zwicha? Ja owszem myślę, że gnanie i wygnanie potęguje siły, egzaltuje... Mickiewicz nigdyby się nie podniósł do takiej wyżyny, gdyby nie ten chleb gorzki i nie te schody, o których mówi Dante....

— Dante? — podchwycił Wiktor. — Nie zapominaj pan, że znaczniejsza część wygnania Dantego była wypędzeniem z Florencji do Wenecji, do Pizy, do Rzymu, to jest jakby z Warszawy do Siedlec, do Kalisza lub Poznania. To wcale co innego. Nie brzmiała mu w uszach piękna, melodyjna mowa toskańska, ale włoskiego słuchał języka. Inaczej jest z nami, wśród innych narodów, jak szczygły między wróblami, lub wróble wśród śmieciuch. Tu tracimy swą indywidualność, innej przyoblec nie mogąc. Dość słuchania i posługiwania się obcą mową, aby umysł przez nią zwichnął się i wypaczył.

Poeta popatrzył trwożliwie, nie odpowiedział nic i siadł milczący.

Przybycie jego, dla wszystkich dosyć niewygodne, najprzykrzejszém może było dla p. Lizy. Geniusz od niejakiego czasu zaszczycał ją jawną swą adoracją. Nietajno było nikomu, iż się w niej zakochał, a że nic dla siebie za zbyt wysokie i niedostępne nie miał, ludził się nadzieją, iż pozyszcze serce tego anioła męczennicy. Być może iż po za tém marzeniem stała i perspektywa małżeństwa, a nawet wszystkie szczęśliwe następstwa zmiany towarzyskiego położenia.

Wistocie biédaczysko potrzebował bardzo, aby się w nim zakochała jaka bogata dziewczeczka, nie miał bowiem nic a nic, oprócz geniuszu, a żył z téj manny, którą mu zsyłała Opatrzność. Płacono mu za szkice, za obrazki, za różne robótki przez miłość raczej bliźniego, niż sztuki, i chowano potem starannie te twory, aby ich ludzkie nie oglądało oko. Były między niemi i udatne, i poczarwane i tak zagadkowe, że nikt nie wiedział, jaką myśl niemi oplątał.

Miał Emil Maria szczęście raczej niż talent pozbywania się płodów swego ołówka, penzla i pióra duszom litościwym, umysłem ciekawym, choć nie napraszał się z niemi. Zbyt na to był dumny. Nadzwyczaj wielką przywiązując do nich wartość, ceniąc olbrzymio to co się w nim zrodziło, zdawał się czynić łaskę, gdy przyjaciołom te arcydzieła odstępował.

Umiał jakoś, gdy już blizkim był niedostatku, który znosił mężnie i stoicko, trafić zawsze na kogoś, co go z delikatnością wielką prosił o jedno z tych niejasnych, komentarza potrzebujących, ale genialnych płodów ducha.

I tak żył Emil Maria jak polne lilie, na łasce Tego, co żywi ptaszęta polne, a ostrzyżone owieczki od wiatru ochrania. Zdawało mu się, przez tę wiarę jaką w posłannictwo geniuszu swego pokładał, iż Opatrzność winna mu była nietylko chleb, ale wkońcu jakąś świetną niespodziankę, premium, które gdzieś zaczajone na drodze żywota nań czekało.

Wyobrażał sobie, że tą niespodzianką powinna być miłość kobiety pięknej, wyegzaltowanej, a przytém należącej do śmietanki społecznej, wyposażonej tak, aby poeta mógł u jój boku bez troski, swobodnie oddać się cały wyśpiwaniu poematu swego ducha... wielkiej pieśni nieśmiertelnej.

Przyjścia tego Mesjasza niewieściego, który mu miał przynieść wyzwolenie, szczęście, oczekiwał Emil Maria oddawna. Szukał go we wszystkich paniach, do których się zbliżał, i znaleźć nie mógł. Żadna mu się oczarować nie dała, ani płótnem, ani papierem, obrazem czy poematem. Zkolei poznawszy panią Lizę, grzeczną, bojaźliwą, chwilami egzaltowaną, choć niełatwo rozwiązującą usta i otwierającą serce, poeta powiedział sobie: „To ona być musi!”

Miała wszystkie warunki marzonej niewiasty-ideału, licząc w to i złocone ramy, w których każdy obraz lepiej się wydaje. Brakło tylko, ażeby raczyła spojrzeć na niego łaskawie. W początkach nawet widywała go z zajęciem, okazywała mu współczucie; lecz gdy się domyślać zaczęła, posądzać go oto co roił, przestraszona cofnęła się, otoczyła lodem i starała unikać spotkania z poetą. Zawsze dla niego grzeczna bardzo, wyraziście dawała mu poznać, że znajomość ich pewnych granic nie przejdzie.

Emilowi zdawało się, że to ostygnięcie było naturalnym skutkiem obawy, jaką budził w niej potęgą swoją, urokiem geniuszu; tłumaczył to sobie oznaką walki w jej duszy. Któż się bez walki poddaje? Nie przestawał więc, ilekroć spotkał panią Lizę, grać dla niej na wszystkich złotych strunach swojej lutni.

Nie spodziewał się, że ten wieczór miał go pochwycić, unieść w stronę inną i uwolnić ideał od obłąkania.

Przechodząc do małego salonu, w którym miano zasiąść do herbaty, ostrożna p. Liza upatrywała już zawczasu takie miejsce, aby poety nie mieć ani obok, ani naprzeciw siebie.

Do charakterystyki pięknej wdowy należała słabość jedna: miała do przesady posunięte upodobanie nie w elegancji, ale w czystości, a geniusz bywał często zaniedbany, tak iż na ręce jego spojrzeć było niebezpiecznie. Należało to do cech jego powołania. Pani Liza, zmuszona patrzeć na zabrukanego, często nic w usta wziąć nie mogła.

Księżna, dla której ona tajemnic nie miała, postarała się o to, aby odgadniętym życzeniom zadość się stało. Poeta, który się do stołu opóźnił, przytrzymany trochę rozmową z Wiktorem, znalazł dla siebie wskazane krzesło przy gospodyni domu. Pani Liza siedziała w jednym z nią rzędzie, została więc ukryta i bezpieczna.

W pierwszej chwili ogólniejsza rozmowa zawiązać się nie mogła; szeptano tylko z sobą zblizka. Emil Maria zamyślił się głęboko, naprzód nad tym jak ma odżywić to uczucie, o którego kielkowaniu w sercu pani Lizy jeszcze nie zwątpił, powtóre jak się miał przedstawić nieznanemu, aby go podbić i uczynić czcicielem; szło mu o Wiktora, aby został olśniony, aby uwierzył weń i upokorzył się przed majestatem geniuszu.

Dwa te wymagania chwili dawały się z sobą pogodzić; szło tylko o to, ażeby zagrać preludium stosowne, któreby wielkiej symfonii mistrza ton dało.

Zasepiony, milczący, z głową spuszczoną nad filiżanką, siedział długo wglębiony w siebie poeta.

Tymczasem hrabia Filip, zamiast żądanego preludium, zaczynał pryskać ironicznymi frazesami, wedle swego zwyczaju.

Swobodna dosyć wymiana myśli, która przed przyjściem Emila zapowiadała wieczór ożywiony, sparaliżowaną się zdawała zjawieniem się poety.

Z nim, jak z chorym, potrzeba się było mieć na ostrożności i wielu przedmiotów, nieszkodliwych dla zdrowych, nie tykać. Nie cierpiał najmniejszego sprzeciwiania się sobie; głośił wyroki i słuchać go musiano. Rozprawiać z nim nie było podobna.

Księżna widziała już swój wieczór zepsutym bez ratunku, a pamiętała że Emil Marya zwykle siadywał długo i wychodził ostatni.

Z westchnieniem pochyliła się księżna do sąsiadki swój i szepnęła jej:

— Zawiedzione nadzieje!

Skąpa w słowa, piękna Liza podniosła oczy i wyrazem twarzy odpowiedziała: „Niestety!”

Hrabia Filip, korzystając z bardzo szczęśliwego dla siebie składu okoliczności, miał właśnie wystąpić na arenę z dowcipem, w który grał doskonale, jak młode panienki w wolanta — gdy z sąsiedniej sali dał się słyszeć szelest sukni kobiecój. Księżna podniosła głowę, trochę zdziwiona. Kamerdyner prowadził gościa nowego, wchodzącego bez ceremonii, żywo, napastliwie, jak ci, co wiedzą że pożądanymi i wdzięcznie przyjętymi być muszą wszędzie.

Z ruchów tej pani, nim światło na twarz jej padło, wnieśćby było można, iż była chyba wcale młodą, bo skakała, nie szła, poruszała rękami, a cała jej niewielka figurka drżała konwulsyjnie. Strój też zapowiadał młodość zdaleka, barw był jasnych i sprzeczących się z sobą, zbyt poobwieszany ozdóbkami i gałgankami.

Gdy cała postać wyszła z mroków, pokazała się jeśli nie starą, to przynajmniej rozbrataną nawet z resztkami drugiej młodości jesiennój. Twarz, która nigdy pono piękną nie była, ale przed laty dwudziestą mogła być powabną świeżością i żywością wyrazu, składała się z regularnego koła, na którym, pod niskim czołem, małe ciemne oczki przymrużone siedziały. Wśrodku był nosk kartofelkowaty, dawniej przyjemnie zadarty, a pod nim dosyć szerokie, z grubymi wargami usta. Razem było to niezmiernie ruchawe, zmieniające się, bo i brwi tańczyły, i policzki się cochwila to wydymały, to wpały i usta zaciskały

się lub rozszérzały do zbytku — wszystko zaś stanowiło maseczkę komiczną, której nie zbywało na ogniu i sprycie.

Znać było, że ta pani wiele żyła i próżnować nie lubiła.

Była to dziś dukessa di Valle Nero, z domu Zosińska, primo voto baronowa von Haven, secundo hrabina de Pierrefide, naostatek małżonka duka, Włocha, który rzadko bardzo ukazywał się na jój horyzoncie. Istniał jednak niewątpliwie.

Z poprzednich małżeństw pozostała jój córka, oddawna za mąż wydana za Niemca, i... bardzo zręcznie ocalony z katastrof wielu dosyć znaczny majątek.

Dowcip, żywość, wesołość, napastliwość i posąg przywabiły do niej ubogiego, średnich lat duka, który nie miał nic, oprócz zameczku w Valle-Nero w Lombardyi i dwóch gospodarstw chłopom oddanych na *metę*.

Rok podobno małżeństwo żyło z sobą razem i zgodnie; potem ksiązę, lubiący polowanie i swój kąt, został w zameczku, dostawszy jakieś subsydyum, a pani rozpoczęła nanowo wieczną swą włóczęgę po świecie, bo nigdy długo na jednym miejscu usiedzieć nie mogła. Sama ona zwała się żartobliwie Ahaswerą, a inni jój także to imię dawali.

Czasem wciągu jednego roku widzieć ją było można w Paryżu, Ostendzie, Nizy, Monte Carlo, Florencyi, Rzymie, Lwowie i Odessie. Znane jój były Konstantynopol i Jerozolima, raz znajdowała się na balu u khedywa.

Napół, albo raczej najzupełniej kosmopolitka, rozmaitemi stosunkami związana ze wszystkimi narodowościami całej Europy, księżna miała jednak słabość do swoich współziomków dawnych i szukała najchętniej ich towarzystwa. Wzdychała, mówiąc, że bez swoich długoby wyżyć nie potrafiła.

Ahaswera — gdy tém imieniem oryginalném pozwałała się zwać i pod niém najlepiej była znana — żyła, jak motyle, niewiedzieć czém. Nie miała napozór żadnej panującej namiętności, ale zkolei poślubiła wszystkie, aby nie pozostać beczynną. W wyborze wcale nie była trudną.

Zbliżała ją to do księżnej Teresy, która również szukała zajęcia, potrzebowała nowości; lecz ta była między nimi wielka różnica, że księżna znajdowała przyjemność w szlachetnych tylko rozrywkach, w czémś mówiącém do duszy, podnoszącém, gdy Ahaswera zabawiała się równie dobrze w Monte Carlo, wśród najgorszego towarzystwa, jak w najlepszym. Mówiono sobie bardzo pocichu, że dawniej miéwała fantazyje nader kompromitujące, niewiele dbając o to, co o niej ludzie powiedzą.

Postępowanie jój jednak, bardzo swobodne, nie przeszło pewnych granic i nie było tak cynicznym, aby jój wstęp do lepszego towarzystwa zamykało. Choć wiele jój zarzucano, o wielu awanturkach opowiadano, ona przynajmniej swych wybryków i kaprysów nie głośiła jawnie, nie chlubiła się niemi. Była przytém dobroczynną bardzo i litościwą dla drugich.

Księżna Teresa przyznawała, że Ahaswera bawiła ją; pani Liza unikała jój trochę i chłodem grzecznym dawała poznać, iż spoufalać się zbytnio nie była rada.

Oprócz Wiktora, znali ją tu wszyscy i spotykali się z nią często. Lubiała zapraszać na obiady, których dysponować nie umiała, choć jeść dobrze potrzebowała.

Emil Maria, którego naprzemiany drażniła żartami, a potem karmiła przesadnemi uwielbieniami, którego chętnie nabywała obrazy, słuchała improwizacyi, miał ją za ekscentryczną, ale niepospolitą kobietę. Gdyby była młodszą, lub gdyby choć okazała mu, iż chce w nim mieć czciela! Właśnie ten wieczór miał go wydobyć z niepewności i wahania, w którym oddawna więdniał.

Poznawszy Ahaswerę, księżna coprędzej wstała i wyszła naprzeciw niej.

— Przepaaaa-szam! *Pardon!* Wpadam tu nieproszona, natrętna — zawołała, kręcąc się, szeleszcząc suknią, mała księżna. — Ale przez litość, proszę mnie nie wypędząć! Stęskniona jestem za polską mową, za twarzami polskimi, za ludźmi naszymi — po parafiańsku wyrażając się: za ziomkami i rodakami. Nie wierzycie państwo?... cały tydzień spędziłam pomiędzy Anglikami, Szwedami, Włochami i Francuzami — a! w całej menażeryi kosmopolitycznej, bo był tam Bułgar i Turek nawet... Uwierzycie państwo, czy nie? pełno było ludzi rozumnych, rozumniejszych niż my zwykle bywamy, miłych, uczonych, dowcipnych, przyzwoitych — a mimo to czegoś, czegoś mi swojego brakło!... Niepojęta rzecz! Chciałabym znaleźć chemika, któryby mi powiedział, jaki to jest pierwiastek nam

właściwy, a którego wszystkim innym narodom braknie? Ja nie wiem, ale coś my mamy w sobie, czego nie mają drudzy. Czyśmy więcej dziećmi? czy...

Rozśmiała się. Zrobiono jój miejsce. Obejrzała się dokoła, jeszcze bardziej oczki przy-mrużając, a witając po włosku rękami i głową.

— Widzę tu areopag cały — dodała. — Niechże panowie i panie wyrokują. Zadanie godne najwytrawniejszych umysłów.

Wszyscy milczeli, spoglądając po sobie.

Najśmielszy, hrabia Filip, wyrwał się pierwszy.

— Ale księżna, zadając pytanie, samaś je najlepiej rozwiązała. Tak mi się zdaje. Ja się piszę na hypotezę. Wistocie, my jesteśmy wiekuiście potrosze dziećmi, to stanowi urok nasz i słabość naszą.

Na poecie, który twarz miał zwróconą ku wdzięczącej się, a tém mniej teraz pięknej Ahaswerze, widać było, iż mocno pragnął wystąpić z czémś olśniewającym szczytnością, oryginalnością, potęgą. Czoło mu się sfaldowało, jak fale morskie gdy skarb wyrzucić mają na brzegi, usta ścięły.

— Dziećmi? — zawołał. — Hrabia nam z tego czynisz wyrzut, co w moich oczach jest największą chwałą naszą! Tak, księżna wyrzekłaś żartem prawdę wielką: jesteśmy dziećmi w rozumieniu tém, jakie maluczkiemu nadały słowa Chrystusa, który je kazał przypuszczać do siebie. Dziećmi... o tak! bo nawet w grzechach naiwni jesteśmy — dziećmi, bo nami rządzi uczucie, a to uczucie, siebie niewiadome, płynie nie z maleńkiego źródła w piersi naszej, ale z wielkiego źródła, co żywi wiekuiściego ducha ludzkości. Dziećmi jesteśmy... ach! i pozostaniemy niemi!

— Trochę przytém rozumu i dojrzałości dzieciom tym jednakby nie zawadziło! — przebąknął Wiktor.

Ahaswera spojrzała na niego z ciekawością niezmierną i zwróciła się z szeptem do sąsiadki. Łatwo się w nim było domyślić pytania: — Któż to jest?

Hrabia August siedział, słuchając pilnie.

— A hrabia co na to? — zapytała go księżna Teresa.

— Nie mówię nic, bo właśnie nad problematem rzuconym rozmyślam — odparł hrabia powolnie. — Myślę nad tém, czy to znamię rodzime, co nas od innych odróżnia narodów, jest tak wybitne, aby je można pochwycić i określić? Myślę czy to cecha wspólna wszystkim narodom słowiańskim, czy własna nasza, i czy następstwem tego czegoś, co nas wyszczególnia, nie było, że nas wyparto z Rugii, z Pomorza, z Łużyc, ze znacznej części Czech, z połowy Europy może; wszędzie, gdzie my walczyliśmy z Germanami, oni nas złamali, wypchnęli, podkopali, wydziedziczyli.... Wstępny bojem zwyciężyliśmy ich niejednokrotnie; lecz ile razy walka się przeciągnęła, padaliśmy. My wyciągniętej ręki nie odepchnęliśmy nigdy, we wszelkiego sojuszu wierzyliśmy świętość, a wreszcie łącniej nam było zawsze w nieprzyjacielu domyślać się cnoty, niż podejrzycwać go o zdradę.

— Mój hrabio — krzykliwym głosem przerwała Ahaswera — alboż to nie są cechy naiwnego dzieciństwa?

— Nazwanie jest niezupełnie ściśle — rzekł hrabia. — Tak samo moglibyśmy się nazwać aniołami. Nie jesteśmy ani jednymi, ani drugimi, jesteśmy... — Tu chwilę pomilczał. — Któż wie? jesteśmy może ludźmi przyszłości — dodał. — Tak! gdy siła pięści, która dziś króluje światu, zostanie ostatecznie siłą ducha złamaną, gdy zwierzęca walka o byt, tocząca się lat tysiące, tryumfem ducha będzie rozstrzygniętą — naówczas my też zwyciężko wystąpimy na scenę świata, jako naród posłany dla stworzenia społeczeństwa nowego, wedle słowa Chrystusowego.

Hrabia Filip, któremu oczy coraz bardziej lśniły się, błyskały, zarzyły, ledwie już mogąc się powstrzymać, wybuchnął:

— Jeżeli z nas naówczas choć jeden pozostanie! Siła pięści nie jest przemijającą, jest wiekuiścią, a że my negujemy jój prawa, więc wydusi nas do ostatniego. Reprezentanci tój siły, maskujący się jako cywilizatorowie, w imię tój bogini cywilizacyi wygniotą aniołów czy dzieci, którym wyrzucają zacofanie i barbarzyństwo.

— Gdyby przy stole herbacianym można formalną rozpocząć dysputę — odezwał się hrabia August — zacząłbym ją od zaprzeczenia temu, coś powiedział, że siła pięści jest wiekuiста. Jest odwieczna, ale nie będzie nieśmiertelną. Cała historia ludzkości świadczy, że znaczenie siły tój nie rośnie, lecz się zmniejsza. Czuje to siła pięści i rozpaczliwie się

broni; ale porównajcie czém ona była w pierwszych epokach bytu ludzkiego, a czém jest dzisiaj. Człowiek rozpoczynał zawód swój ludzki, potrzebując zwalczać potęgę fizyczne otaczającą go natury pierwotnej. Naówczas pięść była jego zbawieniem; dziś coraz bardziej potrzebuje ona głowy, a wkońcu stanie się jej sługą. Z tej epoki walk fizycznych pozostały nam w obyczajach, w pojęciach, w teorych społecznych i państwowych mnogie skorupy i skorze, ale wszystko to powoli opadnie i zostanie zgruchotane.

Hrabia August mówił powolnie, nie deklamując, nie patrząc na słuchaczy, bawiąc się odniechcenia deserowym nożem, który trzymał w ręku.

Zakończył ciszej. Głos mu zamarł.

Poeta zdawał się nietylko go słuchać, ile zazdrościć mu uczynionego wrażenia, gdyż oczy wszystkich w mówcę były wlepione i nikt nie zdawał się mu śmiać zaprzeczyć.

— Co do mnie — rzekł hr. Filip — ja jestem tak nieszczęśliwy, że zapewne skutkiem niedołęztwa mego i ślepoty, nie widzę w dziejach ludzkich tego postępu, o którym mowa. Historia jest dosyć ładną plecionką, w której naprzemiany występują ciągle też same kolory: czarny, biały, siny, czerwony. Gdy jeden się wyczerpie, drugi powraca. Rzeczywistego postępu dopatrzeć mi się niepodobna. Mieniają się prądy, ale się nie różnią. Stare baśni po ostatnim akcie rozpoczynają się nanowo z tą samą muzyką. Asystujemy może setnej którejś reprezentacji jednego wiekuistego dramatu. Ludzkość idzie do muru, uderza weń głową i, odskoczywszy, pędzi w drugą stronę, aby o przeciwną ścianę nabić sobie nowego guza.

Ahaswera uderzyła w małe, ale brzydkie rączki, z krótkimi nabręzkami palcami, i kolei zdawała się radować nowemu zdaniu, jak się cieszyła z pierwszego.

— *Ah! que c'est cela!* Co za prawda! — zawołała.

— Może być — przerwał Wiktor, dotąd milczący — że się to tak wydaje komuś zdaleka patrzącemu na historię, widzącemu tylko płaszcz jej i cień; ale w głębinie dziejów jest więcej coś nad mechaniczny ruch wahadłowy. Ta formuła pochodzenia, jako formuła, niezupełnie jest fałszywą, ale ona nic nie tłumaczy. Jest to prawda namacana pociemku. Zamiast dwóch ścian, o których hrabia mówisz, trzeba by sobie wystawić wieżę wybiegłą wysoko, a w niej biédnego ptaka, który, lecąc kugórze, bije się wprawdzie o ściany, lecz ciągle ku światłu podnosi!

Hrabia Filip, ironicznie uśmiechając się, ruszył ramionami.

— To coś straszliwie skomplikowanego! — dodał z pewnym lekceważeniem. — Prawo pochodzenia, jeżeli istnieje, musi być daleko prostsze.

Poeta, słuchając, marszczył się coraz bardziej. Zbierało mu się na improwizację. Nareszcie wybuchnął. Przybrał postawę natchnionego, podniósł głowę, włosy na tył jej odrzucił, zadrgały mu ręce, oczy zabłysły.

— Ateizm postępu... zbrodnia! — zawołał. — Więc człowiek byłby wibryonem, kręcącym się w brudnej wieków cieczy bez celu? a ludzkość jakąś rdzą, porosłą na stariej ziemskiej skorupie? Puść wzrok swój w głąb minionych wieków, których kości masz pod stopami. Czy od kamienniej siekiery do sprężyny twojego zegarka nie widzisz postępu? Toś ślepy... zasłaniaś oczy! Od Kafrów i Indyan do Anglika niema różnicy i wzrostu? Od prawa żelaza do Wielkiej karty niema zdobyczy? Idziemy, choćby cotysiąc lat pół kroku, a pochodzenia minuty liczą się pokoleniami. Idziemy, a kto nie czuje tego, ten duszy nie ma i jest ludzkości odpadkiem!

Hrabia Filip usta wyduł i zarumienił się.

— Dziękuję! — rzekł, kłaniając się.

Ahaswera i inni uśmiechali się znowu.

— Przepraszam! — przebaknęła poeta. — Bronię najdroższego skarbu, wiary w to, że człowiek zdał się na coś i coś znaczy.

Urażony hr. Filip rozparł się w krzesło, ręce powkładał w kieszenie i milczeniem swém znać dawał, że dalszego sporu prowadzić nie myśli.

Poeta był własnym wystąpieniem poruszony mocno.

— Mnie się zdaje — szepnęła księżna Teresa, chcąc wystąpić pojednawczo — żeśmy bardzo odbiegli od pierwszego założenia. Księżna przyniosła nam wcale inne zagadnienie do rozwiązania.

— Moglibyśmy — odezwał się hrabia August — wpaść z niego łatwo na niemniej drażliwą kwestyę narodowości. Miłość własna czyni ją niebezpieczną.

— Dajmy lepiej pokój tej kwestyi — odezwał się Wiktor. — Mówią powszechnie, iż wiek nasz cechuje się uznaniem równouprawnienia narodowości, zrozumieniem ich posłannictwa. Tymczasem i fakta, i głosy z trybuny parlamentu nad Sprewą i cała literatura niemiecka, nie mówiąc już o innych, świadczy iż niektóre uprzywilejowane narodowości, sobie samym przyznając misyą społeczną i cywilizacyjną, resztę mają za barbarzyńców, skazanych na wytępienie.

— Mógłbym ja, na poparcie mojej teoryi repetycyi jednego dramatu *ad infinitum* — dodał kwaśno Filip — przypomnieć, że zupełnie tak samo Rzym, w imię cywilizacyi, chciał występować sam jeden. Nic się nie zmieniło, tylko Celsius rzymski zowie się dziś nie wiem jakim tam National-liberałem niemieckim.

— Jest wielka różnica — odparł Wiktor — bo dziś przeciwko takiemu Celsiusowi germańskiemu nie jeden Origenes wystąpi, ale głów tysiące.

— Które zagłuszą działa Kruppa.

— A potem? — zapytał Wiktor.

Wśród wszczynającego się nanowo sporu, który mógł się nazbyt długo dla milczących pań przeciągnąć, zmęczona już nim Ahaswera uderzyła nożem w filiżankę.

— *Grace! grace!* panowie — zawołała. — Prawda że ja jestem najwinniejszą, bom przyniosła niezgody nasienie. Lecz... *basta!* Przynoszę też z sobą cały worek wyśmienitych plotek. Miałam listy z różnych stron świata.

— Wolnoż spytać — wtrącił Filip — w którą z tych stron księżna się wybiera? bo nie wątpię iż wybierać się musi.

— Hrabia mnie chcesz wypędzić? Bardzom ci się naprzykrzyła? — wesoło spytała Ahaswera.

— A! uchowaj Boże! Księżna życie nam przynosisz — zawołał Filip. — Jesteś tym proszkiem musującym, który wsypany do naszej wody....

Wszyscy, nie wyjmując i tej do której dziwny ten komplement się stosował, mocno się śmiać zaczęli, a hr. Filip dodał:

— Wiem że księżna długo w jednej atmosferze wytrwać nie może; chcę przeto wiedzieć w którą stronę mam posyłać westchnienia.

Nie urażając się, Ahaswera pogroziła mu tylko, pokręciła główką i wesoło odrzekła:

— Szczęście to twoje, hrabio, żeś tego nie powiedział przed.... kilką laty. Dziś trochę mi trudno byłoby cię zbałamucić, nie mam już ochoty ani energii. Inaczej odpokutowałbyś u mych kolan, prosząc o przebaczenie! Gonilbyś za mną, gdziebym chciała.

— Nie przeczę. Jeszcze dziś groźba przejmuję mnie strachem — odparł Filip. — Jestem najmocniej przekonany o wszechmocności córek Ewy.

— Otóż, bez żartów — ciągnęła księżna dalej — wistocie myślę o ucieczce z Rzymu, bo skwar jest nie do zniesienia i powietrze nie do oddychania. Przybyłam tu dla jakiegoś interesu mojego pana męża. Nie mogę się doczekać ani męża, ani interesu, więc posiedzę jeszcze trochę, a potem ruszę w świat.

— Dokądże? jeśli wolno — spytała gospodyni.

— A! nie wiem, nie wiem! Ostenda mnie już nudzi: elegancya bez oryginalności. Ludzie nadzwyczaj pospolici i zawsze ciż sami. Mam ochotę zobaczyć Biarritz. Może ztamtąd zrobię małą wycieczkę do Hiszpanii. Nie znam Grenady, nie widziałam Alhambry. Nie wiem... a państwo co robicie?

Księżna Teresa poruszyła ramionami.

— Mamy w tej chwili tak miłe towarzystwo w Rzymie — rzekła — że się nie chce go opuszczać.

— Czy ta odpowiedź jest wyrazem zbiorowego, zgodnego przekonania? — spytała ruchawo Ahaswera, spoglądając dokoła po obecnych.

Wszyscy zdawali się to potwierdzać, bo milczeli. Po chwilce tylko, lekko zarumieniwszy się, pani Liza niespodzianie odezwała się, iż lęka się, aby nie była zmuszoną zbliżyć się do kraju.

Musiałoby to być dla wszystkich niemiłą nowiną, bo wyraz twarzy świadczył o zdziwieniu i czoła się zachmurzyły.

— A ja mam nadzieję — rzekła księżna Teresa — że cię uprosimy i przytrzymamy.

Milczący pan Ferdynand, który słuchał rozmowy z roztargnieniem, nie mieszając się do niej, narówni z innymi zdawał się zdziwiony tém, z czém się siostra jego odezwała. Spojrzał na nią.

Sama pani Liza myśli téj, z którą się tak nagle oświadczyła, nie miała wcale. Złożyło się na nią pobudek wiele: trochę niepokój, jaki wzbudzały w pięknej wdowie napastliwe i przykre zaloty hrabiego Filipa, nudne wejrzenia strzeliste Emila Maryi, naostatek może i jawna, choć milcząca, rozpaczliwa jakaś, odwieczna miłość hr. Augusta, za którą tylko szacunkiem odpłacić mogła.

Nieszczęśliwa kobieta miała taki wstręt do małżeństwa, taką potrzebę swobody i spokoju, po straszném, męczeńskiém z mężem pożyciu — serce jój było jeszcze tak zbolale, że sama możliwość jakiegokolwiek związku przerażała ją.

Miała największy szacunek, gorącą przyjaźń braterską, największe zaufanie w hr. Augustie; ale nie była to miłość. Chciała mu oszczędzić próżnych marzeń i złudzeń.

Naostatek... w głębi jój serca znękanego, tam gdzie własne jój oko z obawą spoglądało, rodziło się z pierwszego przestachu i trwogi, jakich doznawała na widok Wiktora — jakieś uczucie dziwne, gwałtowne, budzące większą jeszcze obawę. Wiktor ten, którego się tak ulękała przy pierwszym spotkaniu, nie schodził jój z myśli. Oczy jój i dziś mimowolnie zwracały się na niego. Czuli, że jakąś siłą fascynacyjną ciągnął ją ku sobie. Wołała uciec, niż poddać się i uznać zwyciężoną.

Przeszłe życie nauczyło ją wiele. Czytała w sobie budzącą się jakąś namiętność niezrozumiałą, której uledek nie mogła, nie chciała.

Człowiek mógł być niegodzien jój serca; zresztą miała dotąd niewzruszone postanowienie złamanego życia nie rozpoczynać nanowo. Oświadczyła to głośno... miałażby sama kłam zadać sobie?

Przerażało ją to, że tego wieczora, ile razy mimo swój woli, ukradkiem zwracała oczy na Wiktora, spotykała ciągle zatopione w sobie jego wejrzenie, dreszczem ją przejmujące. Uczucie swe porównywała w duchu do wrażenia, jakiego nerwowi ludzie doświadczają na wyżynach. Zawraca się im głowa — chcą paść.... *abyssus vocat!* Temu ciągnięciu do przepaści, które ją niepokoiło, zdawało się jój że oprzeć się miała siłę.

Szybkość, z jaką w przeciągu niewielu dni, a szczególnie od ostatnich dwudziestu czterech godzin, rozwijało się w niej to uczucie, w którego możliwość niedawno jeszcze by była nie wierzyła — powiększyła trwogę. Uciekać, uciekać! mówiła w duchu. — Jeszcze dni kilka, a kto wie czy będę panią siebie!

Posuwając tę obawę do najwyższego stopnia, pani Liza zaczęła się wkrótce uskarżać na ból głowy i, parę razy spotkawszy się jeszcze z tym wzrokiem, który miał nad nią taką siłę, pożegnała księżnę, szybko wysuwając się z pałacu. Brat podał jój rękę i przeprowadzał na Via Sistina.

Zaledwie wyszli na ulicę, Ferdynando pośpieszył z zapytaniem, które mu paliło usta.

— Moja droga Lizo! Cóż to się stało? Nie wspomniałaś mi dotąd wcale o zamiarze opuszczenia Rzymu.

— A! — słabym głosem odparła siostra — bom wcale zamiaru tego nie miała. Lecz, koniec końcem, coraz się czuję słabszą, powietrze mi tu nie służy. Duszno mi, słabo, słabo... głowa cięży! Nie jest-to pora do pobytu w wieczném mieście. Muszę gdzieś wyjechać... odetchnąć.

— I to postanowienie zrobiłaś teraz dopiero? — spytał brat, który niebardzo chciał Rzym opuścić, a miał do tego powody, z których spowiadać się nie mógł.

Wdowa szła szybkim krokiem, oparta na ręku brata, nie odpowiadając na jego pytanie.

Po chwili Ferdynand powtórzył:

— Więc to już niezmiennie?

— Proszę cię, nie badaj mnie dziś tak natarczywie — odpowiedziała. — Jestem zmęczona, znudzona; nie wiem sama, co mi jest. Ahaswera ma talent niecierpliwienia mnie.

— Ale ona wkrótce wyjeżdża, jak mówiła sama — dodał brat.

— Ona... Ona nigdy nie wie czego chce i co jutro pocnie — niecierpliwie rzekła Liza. — Jutro przyjdzie jój fantazyja nowa. Zrobi jaką znajomość, do której przyznać się będzie trudno, wplączę się w jakąś intrygę..

— Za jedną tę nieznosną księżnę płaci druga — odparł Ferdynand. — Milszój nad nią znaleźć trudno, lepszego serca, sympatyczniejszego charakteru...

— Szkoda że nie młodsza — uśmiechnęła się siostra — gotówbyś się w niej zakochać.
— Nawet tak jak dziś jest zakochałbym się w niej łatwo — odrzekł brat żywo. — Ale wiem że się to na nic nie zdało: wyśmiałyby mnie.

— Trzpiot z ciebie! — przebaknęła Liza i dodała żywo: — Ale proszę cię, nie miałam czasu cię wypytać o to, kto jest ten twój oryginalny pan Wiktor, który u nas wystąpił jak bandyta, a dziś się nam przedstawił w tak zmienionej postaci. Co to za nowa zagadka?

— Ja go mało co więcej znam od ciebie — począł Ferdynand lekceważąco. — At, dziwak jakiś; o sobie nie powiada nic, oprócz że jest zwichnięty. Z całą swoją ekscentrycznością, trochę śmieszna, gdy chce, człowiek to bardzo miły.

— A! a! — szepnęła Liza, jakby wyzywając do dalszych zwierzeń.

— Odbyliśmy z sobą parę przechadzek — mówił brat. — Zna doskonale wszystkie Rzymu zakątki. Mówi po włosku, jakby się tu urodził; nauki ma wiele, a nie pedant, dowcipu dużo...

— Ale któż to jest przecie? — wrzuciła siostra.

— Tego ci nie umiem powiedzieć — odezwał się Ferdynand. — Wyciągnąć z niego nic niepodobna. Cóż musi być w jego przeszłości do tego milczenia zmuszającego. Ze wszystkiego jednak wnosić można, iż nie jest takim demagogiem, na jakiego wygląda. Więcej lat musiał spędzić w salonach, niż na ulicy.

Szli z wolna. Zadumana pani Liza pytań już więcej nie zadawała, a powróciwszy do domu, natychmiast, skarżąc się jeszcze na ból głowy, pobięła zamknąć się w swoim pokoju. Pan Ferdynand, spojrzawszy na zegarek, wymknął się pocichu na wieczorną przechadzkę.

Z osób pozostałych w salonie księżny Teresy, po wyjściu pani Lizy, pierwszy wysunął się z angielska bez pożegnania hrabia Filip. Nie mógł jeszcze strawić tego, że poeta, którego nie cierpiał, zaliczył go do odpadków ludzkości... jego, który sam się liczył do reprezentantów jęj wyboru!

Jedynym urokiem, jakie towarzystwo to miało dla niego, była pani Liza; nie miał więc już tu co robić po jęj wyjściu, a choć chętnie dworował hrabiemu Augustowi, aby okazać w oczach ludzi, iż znakomity ten mąż jest z nim w poufanych stosunkach, na ten raz, skwaszony, jego nawet porzucił.

Obrachował też, że choćby najznakomitszego posągu być zawsze tylko cieniem, nie podnosi wielce człowieka.

Dał dowód samoistności, wychodząc bez zaczekania na towarzysza.

Księżna rozpoczęła żywą rozmowę z panem Wiktorem, a że potrafiła o stosunki kraju, swą rodzinę i znajomych, zdziwiła się mocno, postrzegłszy z kilku słów słuchacza, że człowiek ten, nieznanu tu nikomu, zdawał się doskonale świadomym tego, co się jęj rodziny i kółka w jakim się obracała tyczyło. Zdradził się z tą świadomością poniewolnie rzuconemi nazwiskami, których cofnąć było niepodobna.

Do nich dwojga przyłączył się wprędce, zapytaniem jakimś wciągnięty, hrabia August, a poetę rzucono na pastwę Ahaswerze. Byli z sobą oddawna dobrze znajomi, nigdy jednak na płochym ale wrażliwym umyśle księżny nie uczynił Emil takiego wrażenia, jak dnia tego.

Była tak jakoś usposobioną, znudzoną, spragnioną nowości, iż biedny geniusz znalazł w niej pełną zapału czcicielkę. Zdawna już życzyła sobie być unieśmiertelnioną; zdało się jęj, że lepszej ku temu sposobności znaleźć nie może.

Przysunęła się do niego ciekawie.

Poeta, gdy mu brakło audytoryum i wielbicieli, gotów był najskromniejszą karmić się sympatyą. Lekceważony przez panią Lizę, rad był choć księżnę mieć z sobą i za sobą, bo niewieściego współczucia potrzebował. Na skinienie więc przyłgnął do Ahaswery.

Mieć geniusz we władaniu swém zdało się księżnie wielce zabawném, choćby dla spróbowania czy był twardesty. W Rzymie dosyć robiło się nudno; żadnej intrygi ani zawiązać, ani się w nią wplątać nie było podobna. Rozpatrywała się więc w poecie. Nie był zachwycającym, ale miał w sobie coś niepospolitego, umiał nosić się z sobą. Na pokaz, jako *cavaliere servente* z aureolą, mógł się przydać na czas jakiś. Ahaswera, zawsze się niedługo namysławająca, żywa do zbytku, posłuszna wrażeniom, zbliżyła się więc poufale do niego, zawiązując półgłosem rozmowę, której wyraz serdeczności nadać umiała.

— Stęskniłam się za wami, kochany poeto — rzekła — bo wieki już jakem was nie widziała. Tysiąca rzeczy ciekawą jestem bardzo, bardzo! Co się dzieje z temi piękniemi jego

zarysami poematów, obrazów, kreacyj wszelkiego rodzaju, które się domagały wcielenia? Co stworzysz? coś utworzył?

Emilowi zabłyśły oczy. Przybrał postawę zadumaną, opierając się na rękę, niby Zygmunta w portrecie Ary Sheffera — bo rad był go naśladować... niestety!

— Ja! — zawołał z ciężkim westchnieniem — ja skazany jestem na przejście po tej ziemi, nie zostawiając trwałego śladu po sobie. Wina to mojego niedołęztwa, czy natury ducha tego, który żyje we mnie? ja nie wiem. Woli mojej nie umiem nagiąć do wymagań małych, pospolitych ludzi, a przez łaskę tłumy, którym pogardzam, dobijać się rozgłosu, sławy i uznania! Głoszą mnie dziwakiem. Jestem zrażony. Dla nędznej sławy pochlebcą płaskim być nie chcę... Nie pochlebiałbym monarsze, nie mogę gminowi. Usta się moje nie zmażą fałszem.

Księżna słuchała z rzeczywistym czy z udanym współzuciem, lecz okazywała zajęcie wielkie. Ciągnął więc dalej:

— Penzle połamałem i rzuciłem. Niech malują iluminatorowie cudzych, wyblakłych myśli. Wyrzekam się malarstwa, bo sztuka przeszła w rzemiosło. Skupiam wszechsiłę moję w poezję, w słowo...

— Pisziesz pan poemat? O, mój Boże! — przerwała pani. — Co to za szkoda, że tego naszego języka nikt nie zna, że naszych wieszczów taka mała garstka słucha! Gdybyś pan pisał po francuzku, po włosku — po angielsku...

Emil Marya dziwnie wykrzywił usta i czoło sfałdował.

— Powinni tłumaczyć — zawołał dumnie. — Zniżyć się do trawestowania swych myśli nie godzi. Wprawdzie u nas dziś słuchaczy nie ma; jednym brzmi jak ostatnie poezji słowo pieśń Adama, drugim migoczą brylanty Juliusza, innym proroczy głos Zygmunta wszystko zagłusza; a choćbym ja ich trzech zlał na bronz koryncki mojego posągu — dziś pozostałbym niezrozumianym, bo im serce drga do innych, przebrzmiałych dźwięków.

Księżna oka z niego nie spuszczała. Emil Marya czuł się tym odżywiony i coraz śmielszy. Ręką odrzucał włosy, czoło podniósł ku górze i wywraçał oczy.

— Bardzobym była ciekawą — odezwała się księżna — tego wielkiego dzieła, nad którym pan pracujesz dla potomności. Jestem pewna, że to będzie wielkie i piękne, nieśmiertelne dzieło. Nigdzie większego pan współzucia, szczerzego uwielbienia nie znajdziesz, jak u mnie.. Chcę korzystać z tych dni, które jeszcze w Rzymie przepędzę. A więc proszę bardzo mój dom za swój uważać.

To mówiąc, znacząco ścisnęła go za rękę. Była to zawsze rączka niewieścia, choć niemłodej, ale wielkiej pani. Poeta uczuł, że mu dawno dymisjonowane serce w piersiach zadrgało.

— Wiiesz co, kochany poeto — dodała żwawo, wstając i poprawując sukienkę — na początek ściślejszego między nami stosunku, dziś idziemy razem. Odprowadzisz mnie do domu. Mam powóz, ale pójdziemy pieszo. Rzym nocą może cię natchnie i ja coś pięknego posłyszę.

Pan Emil wstał z twarzą rozjaśnioną, okazując nietylko gotowość towarzyszenia, ale wielką skwapliwość. Księżna podeszła żywo ku gospodyni.

— Zabięram księżnie naszego poetę, któregom sobie uprosiła za towarzysza, aby mi droga do domu przez puste ulice nie tak się smutną wydała. Pocziwy, dobry wiesz nasz ofiaruje się chwilkę ponudzić ze mną.

— Proszę go tylko nie bałamucić! — żartobliwie odezwała się gospodyni.

— A! — odparła Ahaswera — gorzej być może. Lękam się, aby on mnie nie zbałamucił. Jestem wielką jego admiratorką.

Emil tak dobrze rozumiał swe obowiązki, iż tymczasem poszedł z rzadką, prawie niepraktykowaną u wieszczów pokorą, przynieść księżnie szal jęj, chustkę i kapelusz.

Ahaswerę wprawiło to w humor jaknajlepszy.

— Któż wie? — myślała w duchu. — Człowiek ten, wistocie niepospolity, może się dorobić nieśmiertelności, a wszystkie przyjaciółki nieśmiertelnych idą za nimi do świątyni sławy. W ten sposób i ja bym się dostała tam. To coś warto!

Wszyscy goście pozostali, uważając pożegnanie Ahaswery za znak do odejścia, ruszyli się i Wiktor także. Księżna, która nie zatrzymywała nikogo, w chwili gdy się miał żegnać, rzekła do artysty półgłosem:

— Proszę pana, zostań jeszcze minutkę; mam mu zadać jedno niedyskretne, śmieszne może pytanie, które kobiécęj ciekawości zechcesz przebaczyć.

Hrabia August wyszedł natychmiast za Ahaswerą, którą poeta, pochylony ku niej, prowadził pod rękę z niemalym kłopotem, bo mu się, kręcąc ciągle i poruszając, wrywała cochwila.

Wiktor, z kapeluszem w rękę, stał, oczekując.

Do stroju jego, na ten wieczór umyślnie dobytego, należał szczegół jeden, który oczy księżny Teresy ciągle ściągał na siebie. Miał czarną chustkę niedbale zawiązaną na szyi, Wiktor miał wpiętą szpilkę, z dosyć dużą, bardzo piękną kameą.

Wyobrażała ona temat dosyć zużyty w rzeźbach starożytnych: boginię zwycięstwa, wieńczącą popiersie stojące na monumentalnej podstawie. Przedmiot był pospolity; lecz niepospolite jego wykonanie mogło być tylko dziełem wielkiego artysty, jednego z tych greckich incisorów, rzeźbiarzy małych figurynek, w których czuć, że mistrze ci mogliby byli, gdyby chcieli, równie doskonale kować kolosy. Figura Wiktoryi, pomimo lekkiej draperyi, wychodziła z pod niej tak przedziwnie pięknymi kształtami, iż żadna Wenus otłuczona z marmuru zrównałaby jej nie mogła. Nie było szczegółu na tej prześlicznej miniaturce kamienną, któryby był zaniedbany.

Księżna nieśmiało, rumieniąc się, drżąc niemal, wskazała na szpilkę i przemówiła głosem łagodnym, jakby o przebaczenie proszącym:

— Daruj pan! Jak, z kąd dostała się panu ta kamea?

Wiktor drgnął cały, niby teraz dopiero przypominając sobie, że ta szpilka zdradzić go mogła. Machinalnie dotknął jej ręką i wnet odzyskawszy panowanie nad sobą, odrzekł głosem prawie spokojnym:

— Ta kamea, to pamiątka jedyna dni szczęśliwych. Księżna daruje mi, że pochodzenia jej, jak wogóle wszystkiego co się mojej przeszłości tyczy, wyjaśnić nie mogę. Są to rzeczy bolesne, rany ledwie przywrzałe. Nie mam w tych dniach ubiegłych nic, czego bym wstydzic się potrzebował, lecz o wszystkiém radbym zapomnieć.

— Panie, błagam cię, pokaż mi bliżej tę szpilkę — przerwała księżna jakkolwiek to prośba śmieszna może, dziecinna i do zbytku natrętna!

Artysta szybko odpiął kameę i położył przed księżną, która pochwyciła ją żywo, zbliżyła do lampy i przypatrywać się zaczęła pilnie. Odwróciła ją na drugą stronę i lekki wykrzyk wyrwał się z ust jej mimowolnie.

Siadła zadumana.

— Rzecz zadziwiająca — rzekła po namyśle. — Podobne rzeźby na kameach powtarzają się często, chociaż tło i barwy rzadko bywają jedne. Tu wszystko mi znaną dawno przypomina aż do najmniejszych drobnostek. Oprawa jest jakby też sama...

Wiktor, któremu gospodyni oddała kameę, powoli schował ją do kieszeni.

— Zupełnie podobną kameę — mówiła dalej księżna — widywałam w moich młodszych latach i pamiętam jak mnie uderzała pięknnością swoją. Należała do jednej z osób rodziny męża mojego.

— Niéma w tém nic niepodobnego — przerwał Wiktor — by dwie zupełnie jednakowe na tym samym kamieniu wykonał artysta i żeby je złotnik potem w ten sam sposób obie opracował. Dla mnie kamea ta jest bardzo drogą pamiątką.

To mówiąc, westchnął.

— Gdyby nie była prawie jedyną — dodał — rozstałbym się z nią, chętnie z niej czyniąc ofiarę...

Księżna zakrzyknęła, protestując.

— Pan mnie nie zrozumiałeś — zawołała. — Nie mam najmniejszej chęci, nie miałam myśli starać się o posiadanie tej ślicznej rzeczy. Szło mi o to tylko, jaką drogą mógł ten klejnocik, do którego przywiązywano wysoką cenę, uważając go jakby za amulet, zachowując z zabobonną troskliwością, przejść w ręce obce...

Artysta, słuchając z głową spuszczoną, smutny, zafrasowany, myślą zdawał się być gdzieindziej.

— Losów kamei wytłumaczyć nie umiem — rzekł stłumionym głosem. — Do mnie dostała się ona także z rąk drugich, jako amulet i pamiątka.

— Rzec niepojęta! — szepnęła księżna, ręce składając. — Przebac mi pan, przepraszam go! Nie bylam panią siebie. Prawda że mi pan niedorzecznej ciekawości mojej za złe nie weźmiesz?

I podała rękę stojącemu w zadumie Wiktorowi, który z wolna zbliżył do niej usta, pocałował ją z uszanowaniem, skłonił się i wyszedł.

Księżna została w miejscu zmieszana, nierada z siebie, zasmucona. Zdawała się wyrzucać sobie niepotrzebną tę ciekawość. Rysy jęj, zwykle wypogodzone, powlokły się wyrazem wewnętrznej jakiejś bolesti.

Rzuciła się na fotel i zadumała, tak że wchodząca wierna jęj Kunusia, trochę przelękła, musiała ją z tego stanu niezwykłego wywołać pochwyceniem za rękę i wykrzykiem:

— Co pani jest?

Księżna, uśmiechając się, podniosła ku niej oczy i szepnęła cicho:

— Nic, nic, Kunusiu kochana. Ot tak... trochę jestem zmęczona.

Przyjaciółka, powiernica, sługa, kuzynka, Kunusia była nieco starszą od księżny, a, jak to się zwykle składa, gdy dwie osoby długo z sobą żyją razem — przybrała w obcowaniu z nią coś z jęj ruchów i wyrazu twarzy. Niepiękna, miała oblicze spokojne i uśmiechnięte, oczy rozumne... Dostyc słusznego wzrostu, silna, zdrowa, ubrana starannie, ale bez żadnej pretensyi, skromna i naturalna, była sympatyczną bardzo i widząc ją, łatwo się to tłumaczyło, że księżna kochała ją jak siostrę, a żyć bez niej nie mogła.

Po namyśle, księżna odezwała się do stojącej i oczekującej jaśniejszego tłumaczenia Kunusi:

— Co to mnie dziś spotkało, Kunusiu kochana! Rumienię się za dzieciństwo moje. Pamiętasz pewnie tę szpilkę z kameą, którą nosił zawsze stary ojciec męża mojego? Wystaw sobie, spostrzegam ją dziś u zupełnie nieznanego człowieka. Nie mogłam wytrzymać: spytałam, prosiłam o jęj pokazanie. Przysięgłabym że taż sama! Lecz jakże się ona do niego dostała? Stary miał ją za talizman szczęścia...

Kunusia słuchała z uwagą wielką, myślała długo i z wyrazu jęj twarzy dorozumiewać się było można, iż ona może tłumaczyła sobie przejście tego kamienia w obce ręce, ale zamilczć o tém musiała.

— Proszę księżny, ale któż to taki, co ma teraz tę szpilkę? Jak się zowie? — spytała.

— A! ten nieznanomy, artysta czy nie wiem kto, o którym ci mówiłam. Polak i zdaje mi się z naszych stron, bo zna osób wiele...

Panna Kunegunda, wysłuchawszy odpowiedzi, jakiś czas stała milcząca; potem, chcąc zatrzeć wrażenie przypomnień niewesołe, odezwała się do księżny:

— A! mało to podobnych szpilek na świecie być może? Zresztą mógł ją sobie kto przywłaszczyć i sprzedać. Niéma nad czém medytować... Księżnieby spocząć należało.

Posłuszna pani podniosła się z krzesła powoli i razem poszły do sypialni, zadumane obie.

Na Babuinie, jak mówił, pan Wiktor miał mieszkanie na trzecim piętrze. Niegdyś przez długie lata zajmował je znakomity niemiecki artysta, który raz sercem przyrósłszy do Rzymu, nie mogąc się już rozstać z wiecznym miastem, osiedlił się tu i zaprzyjaźniwszy z właścicielem domu, rodzaj pracowni sobie, kosztem własnym, obok mieszkania wyporządził.

Po śmierci jego dość długo studia niebardzo wygodne i połączone z niem nierozdzielnie izdebki pozostały bez lokatora. *Affitarsi* próżno napisane było na bramie.

Ażeby się do tego mieszkania dostać, potrzeba było przechodzić podwórko dość zabrukane, drapać się po bocznych schodach niewygodnych, a choć pracownia miała piękne zgóry światło północne, żadnym refleksem niepopsute, z izdebek zato okna wychodziły na brudny i ciasny zaułek, tak że przez nie wyjrzcć trudno było bez wstrętu.

Trafem jakimś Wiktor dowiedział się o tém studio malarskim do najęcia, a dziwactwem jakimś znalazł je dla siebie nietylko dogodnym, ale jaknajmilszym. O widok z mieszkania nie chodziło mu wcale, bo do niego najczęściej tylko na noc, i to niezawsze, przychodził. We dnie, jeżeli mu fantazyja przysła pracować, siedział w swém studio, do którego nigdy nie wpuszczał nikogo.

Mało kto też go tu odwiedzał. Nie zapraszał do siebie, a nowe znajomości niechętnie robił. Lubił być z samym sobą.

Czasem godzinę jaką spędzał w Cafe Greco wśród artystów, jadał z nimi u Leprego, zawiązywały się rozmowy często żywe bardzo; ale dziki trochę Wiktor nie narzucał się nikomu i niełatwo dał spoufaląć.

Z rozmów o sztuce brano go powszechnie za artystę, miał też, jakżeśmy mówili, fizygnomią artystyczną. Na zapytania jednak, czynione przez konfratrów tego cechu, jakiemu się rodzajowi malarstwa poświęca, odpowiadał ruszeniem ramion, zapiérając się honorem noszenia tytułu artysty.

— Jestem pogardzenia godną istotą — mówił — niczém więcéj, tylko nieszczęsnym dyletantem.

Nie wyglądał jednak wcale na tego hybryda, co, wedle wyrażenia Niemców, w tém znajduje przyjemność, iż pragnie robić czego nie umie.

Z mowy jego odgadywano głębsze daleko studia, niżeli je dyletanci miéwać zwykli. Podpatrzono w sekrecie wykradzioną mu z kieszeni książkę szkiców, a choć one wszystkie były bardzo pobieżnie rzucane, zbyt wprawną zdradzały rękę na prostego miłośnika sztuki.

Natręci ciekawi a podejrzliwi chcieli go podejść zdradą i wtargnąć do pracowni; ale ta była zawsze hermetycznie zamknięta, a w niebytności artysty, stara gospodyni Anuncyata nie dawała się niczém skorumpować, aby wpuścić do przybytku. Trzęsła głową posiwiała, wywijiała rękami, czarnymi i powtarzała uparcie:

— *No — no — no! e chiuso! chiuso!*

W mieszkalnych izdebkach Wiktora, oprócz wielkiej ilości najrozmaitszych książek podartych nieposzanowanych, porozrzucanych, leżących pod kanapami, na kominach, na szafach, na stołach, a nawet na podłodze, nie było nic więcéj, mogącego zajęcie jego lub powołanie oznaczać.

Wielkiej dbałości o porządek wcale tu widać nie było; że Anuncyacie zakazano tykać ksiąg i papierów i z miejsca je poruszać — obchodziła je z poszanowaniem, dając się na nich i koło nich gromadzić pyłom i śmieciom.

Z mieszkania niełatwo się też było domyślać stanu kieszeni gospodarza. Płacił on bardzo regularnie, nie targował się zbyt, ale dla siebie był oszczędnym i życie prowadził skromne, jak gdyby tym artystą wistocie był, którego się imienia wypierał.

Stara gospodyni narzekała na fantastyczność człowieka, który nigdy prawie nie powracał w pewnych i oznaczonych godzinach, absentował się, nie opowiedziawszy, tygodniami, a czasem znowu w domu siadywał zamknięty, żywiąc się najdziwaczniej niewiedzié czém, jak anachoreta.

Równie niepojętém wydawało się staréj słudze domu, iż przyjaciół i znajomych miał tak mało, do siebie niechętnie wpuszczał, i ludzi wcale nie zdawał się pożądać.

Trzeciego dnia po wieczorze u księżny Teresy, poeta, którego chwilowo opanowała była na swój wyłączny użytek Ahaswera, w dosyć ożywionym humorze wychodząc od niéj z hotelu, trafem się zetknął z Wiktorem, który z pledem przewieszonym przez plecy, z kijem, w sławnym swym kapeluszu kalabryjskim, zdawał się znużony powracać z jakiegó wycieczki.

Od poznania się z nim u księżny, zaniepokojony tém co słyssał o zagadkowym człowieku, Emil Marya pragnął koniecznie dotrzeć do głébi jego.

Miał jakiegó przecucie, że w nim powinien się być lękać rywala-malarza, a nawet może poety. Chciał wiedziéć z kim ma do czynienia... niepokoił go.

Pomimo więcéj że Wiktor, dojrzawszy Emila, pomknął dosyć zwawo, jakby go chciał uniknąć, przyspieszywszy kroku, poeta powitał go poufale i serdecznie, zmuszając do rozmowy.

— Nie godzi się tak uciekać od kolegów — zawołał — boć kolegami jesteśmy. Próżno się tego zapiérac. Wprawdzie ja czasowo niewdzięcznego wyrzekłem się malarstwa, ale w duszy artystą być nie przestałem. Nie chcę tylko mieszać się z tym tłumem bazgraczy, co smaruje dla Anglików błażństwa.

— Miłémby mi było i zaszczytném — odezwał się nieco ceremonialnie Wiktor — nosić nazwisko kolegi szanownego pana, ale, niestety, artystą nie jestem, poetą mnie Bóg nie stworzył, a... *poetae nascuntur*.

— No! no! — w pół żartobliwie podchwycił Emil, pod bok mu się cisnąc. — Mów sobie co chcesz. Dostyc na was spojrzeć, aby poznać urodzonego z Bożej łaski artystę i męczennika, boć to na jedno wychodzi. A toż — dodał, wskazując na album w oprawie z szarego płótna, wystające z kieszeni — przecież *corpus delicti!*

— Szanowny wieszczu! — przerwał nieco szydersko Wiktor — widzisz codzień po ulicach Rzymu Angielki obarczone podobnymi albumami, a — do kaduka! jeżeli je wszystkie masz za artystki...

— Ba, ba! — nie odstając od Wiktora i ciągnąc z nim dalej uparcie — rzekł Emil. — Mów co chcesz. *Siamo fratelli!* to się czuje przez skórę, zgaduje; przeciwko temu nie pomoże wypieranie się i przesadzona skromność.

Wiktor rozśmiał się obojętnie, z rezygnacją.

— Dokąd idziesz? — zapytał poufale poeta.

— Powracam do domu — rzekł Wiktor; — ale w *trattoryi* na przedmieściu rano zjadłszy tylko kawałek zilczalego salami, popitego kwaśnym winem, potrzebuję zajść gdzie, choćby na jakie pozostałe od obiadu *brodo*, aby z głodu nie umrzeć.

— Ja wprawdzie jadłem obiad u tej wyśmienitej Ahaswery i syt jestem, a wino było doskonałe; pozwolicie mi jednak towarzyszyć sobie, abyśmy się bliżej poznali. Czuję w was duszę bratnią.

Wiktor, z uśmiechem na ustach, dziękować musiał. Szli więc razem.

— Człowiek — począł zaraz Emil, nachylając się ku milczącemu Wiktorowi — człowiek, zmuszony przebyć jakiś czas w zgnilej atmosferze tego świata, co to się niby wielkim nazywa, nasłuchawszy się jego paplaniny, tego brzęku grzechotników — bo czémże są ich rozmowy?... potrzebuje się orzeźwić słowem jednego z tych ludzi, co zdrową w sobie duszę zachowali.

Poecie zdawało się czy ze stroju, czy z miny, że w Wiktorze znajdzie sympatyczne echo tego tonu demokratycznego.

— Widzę że nie lubicie panów i ich salonów — odezwał się Wiktor.

Emil Marya, w potrzebie zmieniający często przekonania, co mu przychodziło z łatwością, gdyż stałych w sobie nie miał, a wrażeniom ulegał — nie wiedząc w którą stronę może się puścić bezpiecznie, zasępił się i zadumał.

— A wy? — zapytał — a wy?

— Ja? Lubię rozmaitość! — odparł Wiktor wesoło. — Bawi mnie z kolei lud prosty, cygańska fantazyja artystów i przyzwoity, wonny szczebiot salonów. Wszędzie są ciż sami ludzie, w różnych tylko strojach, wszędzie typy ciekawe.

— Ale tak, masz słusność! stokroć masz słusność! złote słowa! — pochwycił z zapalem poeta, porywając za rękę towarzysza. — Jest to dowodem prawdziwej wyższości, gdy człowiek ze wszystkimi żywiołami życia umie być w zgodzie, gdy wszystkie pojmuje i rozumie. *Tout comprendre, cest tout pardonner!* Zresztą dla nas obowiązkiem jest badać człowieka we wszystkich jego objawach najrozmaitszych, aby umieć go malować jakim jest.

Gdy to mówili, Wiktor znalazł się u drzwi małej trattoryi, w której jadał czasami, dla widywania pięknej Pepity. Zawrócił więc do wnętrza.

Emil zdawał się zdziwiony nieco, iż do tak lichego kąta wszedł człowiek, którego o wykwintniejsze gusta posądzał, pociągnął jednak za nim.

Z drugiego pokoju, zobaczywszy dobrego swego przyjaciela, panna Peppita, nie wytworniej ubrana jak owego wieczora, poprawiwszy chustynkę na piersiach, wybiegła doń uśmiechnięta. Była cudnie piękną, jak zawsze, ale brudniejszą niż kiedykolwiek. Czarne ję, bujne włosy połyskiwały od jakiejś tłustości, którą dnia tego świeżo musiały być namaszczone; prześliczne rączki trochę zapracowane, brunatne były opaleniem i robotą koło kuchni; ale oczy ognia pełne, zębki perłowe i te linie klasyczne, których jeszcze praca i wiek nie miały czasu wyszczerbić, czyniły ją dziwnie piękną.

Poeta wpatrzył się w nią długo, z milczącym uwielbieniem i zachwytem artysty, gdy Wiktor tymczasem wesoło z nią rozmawiał, usiłując coś znośnego utargować do jedzenia.

Fiaskon z winem, chleb i sér tarty zjawily się naprzód na grubiej, szarzej serwetce. Dziewczę więcj miało ochoty do rozmowy, niż do posługi.

— Teraz — odezwał się, zasiadając u stołu, Emil — rozumiem dlaczego wybrałiscie sobie tę trattoryjkę. Najgorszy obiad może smakować, przyprawny takimi oczami.

— A! a! — odparł Wiktor, chleb łamiąc. — Wierzcie mi, że te śliczne oczy w inny sposób mnie nie ciągną, tylko jako model, jak obrazek! Wiek w którym pierwsza lepsza twarzyczka, namaszczona młodością, obudza szale i namiętności, dla mnie już przeszedł.

Kończył te słowa, gdy w progu, szybkim nadbiegającym krokiem, ukazał się pan Ferdynand. Obejrzał się, zobaczył siedzących, skrzywił się i prawie chciał cofnąć; ale go już widziano, uciec nie wypadło.

Wiktor, poznawszy go, rozśmiał się z politowaniem.

Milczący w większym towarzystwie, szczególnie przy kobietach, Fernando w mężkim kółku poufałym mówił chętnie i był wesołym kolegą.

— A! panowie tu? — zapytał zmieszany nieco, jakby nie wiedział co powiedzieć.

— Że my tu jesteśmy — odezwał się Wiktor szydersko — to się łatwo tłumaczyć daje, bo ja się najczęściej truję u pięknej Pepity. Ale pan co tu robisz?

Zarumienił się trochę młodzieniec, lecz natychmiast śmiałość zwykłą odzyskał.

— A gdybym ja, choć wcale nie artysta, chciał także studyować poswojemu piękne rysy panny Pepity?

— Tobys pan sobie zgóry powinien powiedzieć, że go to studyum tylko do desperacji doprowadzić może — rzekł Wiktor. — Z ubogimi dziewczętami tego rodzaju gra bardzo niebezpieczna. Rodzice mają je na oku, one same też wymagają nie zalotów i prezentów, ale miłości w całym znaczeniu tego wyrazu, i to na wieki wieków.

Pan Ferdynand, słuchając jednem uchem, oczyma biegał po kątach, czy gdzie Pepity nie zobaczy.

— Ale dlaczegoż mi pan zbójce jakieś zamiary przypisujesz względem Pepity? — zapytał.

— Ja tylko ostrzegam z dobrego serca — odparł artysta.

Pepita wchodziła właśnie, niosąc jakąś smażynę, i zobaczywszy pana Ferdynanda, zarumieniła się, namarszczyła, przybrała minę dumną i zagniewaną. Można było z tego posądzać młodzieńca, że już uczynił krok jakiś fałszywy, którym piękne dziewczę obraził.

Unikając jego wzroku, Pepita postawiła na stole przyniesioną potrawę, przemówiła do Wiktora i natychmiast zabrała się odchodzić.

Pan Ferdynand, naprzekór tej obojętności, pozdrowił ją. Odpowiedziała mu jak królowa dworzaninowi, który popadł w niełaskę, i natychmiast śpiesznie wyszła do drugiej izby.

— Wiész pan — odezwał się, jedząc, Wiktor. — Widzę z obejścia się z nim Pepity, iż między państwem coś zajść musiało.

Fernando zarumienił się. Dobywał właśnie cygara i jedno z nich podawał poecie, co mu dozwoliło namyśleć się nad odpowiedzią.

— Cóż miało i mogło zajść? — rozśmiał się. — Nie taję się, że chciałem do pięknego dziewczęcia się poumizgać, ale Pepita dzika...

— A! a! — zawołał Wiktor. — We Włoszech, choćby z pastuszką, trzeba umieć *far l'amor*, inaczej tylko się na nieprzyjemności narazić można. Płochą zalotność rozumieją tu tylko zalotnice, dla których ona jest rzemiosłem... a Pepita... ho! ho! Toć przecie córka Rzymianina, mieszczanina wiecznego grodu i właściciela domku; ma pewnie odłożone posagowe *scudi*, które jej na gospodarstwo towarzyszyć będą. W lada miłości się nie wda i prędzejby posłuchała prostego parobczaka, który się z nią ożenić może, niż panicza, o którym wie że chce tylko zabawić się i bałamucić.

— Z tego wszystkiego ciągnę wnioszek — zawołał Ferdynand — żeś pan o nią zazdrosny.

Wiktor, śmiejąc się dobrodusznie, zwrócił się ku niemu. Poeta uważał za właściwe potwierdzić prawdy wyrzeczone przez kolegę i zapewnił młodzieńca, że o takich Pepitach, choć na dni powszednie chodzą w starych trzewikach, ani nawet myśleć było można.

— Jeśli jej pan wyznasz, że mu się podobała — dodał — odpowię ażebyś się z nią żenił, i to jeżeli się jej podobasz.

Pan Ferdynand zmilczał, nadąsany trochę.

— A dlaczegoż Pepita — odparł, zwracając się do Wiktora — nie obraża się tém, że pan tu, jeżeli się nie mylę, przychodzisz codzień, pewno nie dla kuchni, która jest okropną, ale dla oczów jej, które są cudowne?

— Bo ja jestem przyjacielem domu, starym znajomym, który jój nigdy żadnego dwuznacznego nie powiedział słowa.

Fernando rozśmiał się kwaśno.

— No — zawołał — to w Rzymie niema co robić i bardzo się cieszę, że siostra moja, której ja jestem nieodstępnym towarzyszem, dłużej tu bawić nie myśli.

— Jakto? jakto? — przerwał Wiktor żywo bardzo — państwo myślicie Rzym opuścić, gdyście zaledwie cząsteczkę jego widzieli? Ale to się nie godzi!

— Niech mnie Bóg broni — rzekł pan Ferdynand, puszczając dym cygara z melancholicznym jakimś wyrazem — abym ja siostrę moją, najpoważniej myślącą i postępującą, o jakąś płochość śmiało posądzać; ale i najpoważniejsza z kobiet ma fantazje. Zdawało mi się, że chce tu zabawić dłużej, znajdowała że jój tu było dobrze; tymczasem teraz przebąkuje, że powietrze jój nie służy, że się czuje niezdrową, że musi zmienić atmosferę...

Zawahał się nieco pan Ferdynand w tej obmowie rodzonej swój i ukochanej siostry, zmiarkowawszy, że obcy go słuchali. Ale jemu, pomimo surowości Pepity, nie chciało się opuszczać Rzymu.

Począł się cofać.

— Zresztą nie wiem jeszcze nic stanowczego — rzekł. — *Le donne son mobile*. Wczoraj wieczorem zdawała się chcieć koniecznie Rzym opuścić; dziś spytałem rano, chcąc się przygotować do spełnienia rozkazów, nie odpowiedziała mi nic. Wątpię jednak, by znowu tak prędko zdanie zmieniła.

Wmieszał się poeta, który zawsze stękał i za chorego się podawał.

— Powietrze jak powietrze — odezwał się — nie jest ono dobre w tej porze w Rzymie, czuję to na sobie; ale gdzież pani Liza znajdzie lepsze i miłsze towarzystwo? Dwie księżne, hr. August...

Spojrzał na Wiktora znacząco.

— Nie licząc hr. Filipa — szepnął wkońcu.

— A! wistocie, liczyć go nie należy — zawołał Ferdynand — bo nie wiem czy jest kto, coby się w nim kochał, albo choć go znosił.

— Tak — podszepnął poeta, minę robiąc dowcipną — ale kontrast bywa czasem potrzebny. Pieprz jest gorzki, przecież jako przyprawa doskonały.

— Ba! ba! nie jest pieprzem pierwszy lepszy liść bobkowy — zamruczał Wiktor z uśmiechem złośliwym. — Być pieprzem społeczeństwa równie trudno, jak solą.

W czasie tej rozmowy Wiktor dokończył swą bardzo skromną przekąskę, którą winem popijał.

Pepita zjawiła się z talérzykiem owoców, ale znowu tak szła i stanęła, ażeby natrętnego wzroku Ferdynanda uniknąć.

Młodzieniec, obrażony, nie mógł doznanej wzdary przenieść, nie okazując tego po sobie. Zaczął nadto wesoło nastrojać rozmowę z poetą i starał się śmiechem głośnym dowieść dziewczynie, że się nie gryzł i do serca nie brał wcale jój obojętności.

Była to stara sztuka.

Przybycie niewczesne pana Ferdynanda nie dozwoliło pocię zblżyć się, jak chciał, do Wiktora, a że już dnia tego nie spodziewał się z nim pozostać samnasam, pożegnał towarzystwo i powrócił na służbę do Ahaswery. Stanowczo bowiem zaczynał się do niej przywiązywać, znajdując w niej coraz więcej stron sympatycznych i pewne odbłyśki młodości.

Ahaswera też wmówiła w siebie, że Emil Marya jest prawdziwym, niefabrykowanym geniuszem i że trochę się dla niego skompromitować badaj, mogło pójść na rachunek miłości poezji...

Po wyjściu Emila, dokończywszy prędko niewyśmienitego deseru, bo *uva* wczesna była kwaśna, a figi nieświeże — Wiktor także spojrzał na zégarek. Pan Ferdynand, chociaż rad się był z wyjściem ociągnąć, obrachował że zły humor Pepity nie dozwoli mu korzystać z tego, a narazi go na szyderstwo Wiktora. I on więc, radnierz, zabięrał się do wyjścia.

Rozstali się we drzwiach tratoryi i młodzieniec wolnym krokiem pocięgnął na Via Sistina.

Z krótkiej jego rozmowy z Wiktorem, którąśmy powtórzyli, z zalotów płochnych do pięknej Pepity, można już powziąć pojęcie jakieś o charakterze brata pani Elizy.

Nigdy może rodzeństwo napozór mniej do siebie nie było podobne, a jednak węzeł krwi, który łączył bardzo lekkomyślnego kawalera z kobietą smutną, poważną, zasługującą na spólcucie i szacunek doświadczonymi i zniesionymi mężnie zawody — węzeł ten krwi, w dwu niby bardzo różnych postaciach, dawał się dojrzyć w pewnych wspólnych obu cechach, przy bliższym badaniu.

Idealna, poetyczna Eliza, zbrojąca się chłodem i obojętnością od posądzenia o serce gorące i temperament żywy, miała takie jak brat porywy ku życiu, ku jego słodyczom nieznanym.

Nie kosztowała nigdy szczęścia, bo mąż, z którym los ją związał, był brutalem i sływał jako najzepsutszy z ludzi, jako cynik obrzydły. Rozpustnik zmierzył jej rozpustę. Mimo-to zetknięcie z nim nie pozostało bez wrażenia, bez skutku: nabawiło ciekawością tego wszystkiego, co widziała ohydnie sprofanowanym.

Sływała młoda wdowa z chłodu i surowości, ale życie, którego niesmaki tylko spiła zamłodu, dopominało się u niej praw swoich. Nie wierzyła w miłość, a pragnęła gorąco kochać i być kochaną.

Zimna dotąd, gdy widokiem Wiktora została w niepojęty sposób rozbudzoną, przekonawszy się że człowiek ten czynił na niej wrażenie, któremu oprzeć się nie mogła — w pierwszej chwili zapragnęła uciekać. Trwoga opanowała ją niezmierna, jakby nowego nieszczęścia przecucie.

Po wieczorze u księżny, gdy jeszcze mocniej przekonała się, że ten człowiek zagadkowy ma nad nią jakąś władzę — nagle, jakby sama potrzebowała się tém związać, zmusić do odjazdu, powiedziała bratu, iż postanowiła Rzym opuścić.

Nazajutrz jednak, gdy Ferdynand oczekiwał już na stanowcze rozkazy, mowy o tém nie było.

Zupełnie czém inném zajęta, zdawała się unikać w rozmowie konieczności potwierdzenia wczorajszego postanowienia. Brat, z bardzo wielu względów, wcale się téż nie kwapił z przypominaniem wczorajszej rozmowy.

Dziwiło go tylko, że może poraz pierwszy w życiu znalazł siostrę jak gdyby w sprzeczności samę z sobą. Przy obiedzie była roztargniona, nieswoja.

Po powrocie z niefortunnej wyprawy do tratorji pięknej Pepity, wieczorem znalazł Ferdynand siostrę siedzącą z książką przy balkonie, bladą i zamyśloną. Ferdynanda uderzyła zmiana, jaka się dawała widzieć dobitnie w usposobienia Elizy. Zwykle nieporuszająca się niczém, obojętna, milcząca, cierpliwa, niedozwalająca po sobie poznać wewnętrznych wrażeń — była teraz rozgorączkowaną, niecierpliwą, rozdrażnioną, a siliła się napróżno to utaić.

Zobaczywszy wchodzącego brata, rzuciła zaraz książkę i zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Widziałeś kogo? — zapytała, witając go i badając oczami. — Spotkałeś się z kim? nie wiesz czy będzie u nas kto dziś wieczorem?

Pytania to były niezwykle, nigdy bowiem wprzód pani Eliza nie pożądała gości; wolała samotność, często się nawet na natrętów skarżyła.

— Z naszego towarzystwa nie spotkałem nikogo — odparł brat, poziwając — Z jednym tylko tym dziwakiem Wiktorem widziałem się, no, i z poetą, który mu towarzyszył.

— A! — podchwyciła, żywo zwracając się ku bratu pani Eliza. — Gdzież spotkałeś tych panów?

— Przypadkiem, przechodząc około lichój garkuchni, w której niespodzianie ich spostrzegłem — dodał z uśmiechem pan Ferdynand. — Ten artysta czy nie artysta upatrzył tam sobie bardzo ładną dziewczkę, którą pewnie za model sobie wybrać musiał.

Uśmiechnął się złośliwie, dwuznacznie i w téj chwili, spojrzawszy na siostrę, dostrzegł płomień na jej twarzy, który przypisał niewłaściwemu swemu wspomnieniu o dziewczynie.

Siostra zwykle za najmniejszą nieprzyzwoitość mocno go karcila. Teraz jednak przystąpiła do niego z ciekawością.

— Miałam się ciebie spytać — rzekła. — Ten dziwak, ta zagadka, ten ktoś niby artysta, jak ci się zdaje, kto to może być? Wszystkich nas intryguje, a ty go bliżej znasz... Wczoraj u księżny...

— Wczoraj był jakby zamaskowany — dokończył Ferdynand. — Takim go jeszcze nie widziałem.

— Przepraszam cię — przerwała mu bardzo gorąco i tonem niezwykłym siostra. — Pięrszą razą, gdy tu do nas wszedł w tym stroju dziwnym, wydał mi się jakby zamaskowany; ale wczoraj był właśnie jakby w swoim naturalnym stanie. Co ty o nim sądzisz? mów! To nie jest artysta, nie, to człowiek z naszego świata i z naszych stron. Przeswał się... w tém jest jakaś tajemnica.

— Ale cóż to cię ma tak żywo obchodzić? — rzekł Ferdynand, śmiejąc się. — Pięrszy raz widzę cię tak zajętą, zaciekawioną.

Siostra, nanowo się zarumieniwszy, ale tym razem z niecierpliwości i trochy gniewu na brata, który sobie nadto pozwolił, zawróciła się milcząca, dumna i poszła ku balkonowi, nie dając mu odpowiedzi.

— Przepraszam cię! — pośpieszył dodać Ferdynand, goniąc za nią, bo siostry bał się i szanował ją — przepraszam! nie gniewaj-że się!

Pani Eliza sparła się na balkonie i nie raczyła przemówić. Ferdynand musiał pokornie pójść za nią i, zdobywszy rączkę opierającą mu się, pocałował ją.

— Moja droga! — rzekł błagająco — ale cóżem ja tak złego powiedział? Przecież grzechem nie jest ciekawość, a księżna Teresa pięrsza dała dowód, że ten oryginał może obudzić zajęcie.

— Wiesz że ja tych twoich płochych żarcików z kobiet nie lubię, a z siebie ich nie dozwalam — surowo odparła wdowa.

To mówiąc, zwróciła się ku niemu z twarzą zaszępiłą, ręce, wedle swego zwyczaju, założyła na piersiach i poczęła się znowu przechadzać po saloniku.

— Ażeby ci jednak dowieść — że twojego żartu nie wzięłam naseryo i że się żadnych posądzeń nie lękam, bo się nad nie wyższą czuję — powiem ci, Fernando, iż pięrszy raz, gdy będziemy mieli towarzystwo u siebie, chcę abyś go zaprosił.

— Najchętniej! — odparł Ferdynand. — Zatem więc idzie, że my tak prędko nie wyjeżdżamy. Przyznaję się, że toby mnie cieszyło bardzo.

Eliza spuściła oczy.

— Wiesz — rzekła — rozmyśliłam się trochę. Boję się, aby mnie nie pomówiono o jakieś dziwactwo; nie chcę ażeby nieznośny ten hrabia Filip mógł sądzić, iż mu ten honor czynię i uciekam od jego natręctwa. Trzeba wprzód znaleźć jakiś powód seryo do wyjazdu z Rzymu. Pomyślimy o tém.

— Jak zawsze, masz najzupełniejszą słuszność — odparł brat, wielce rad temu nowemu postanowieniu. — Tak jest niezawodnie, pomówionoby cię o dziwactwo, a nieznośny Filip z konopi powłóklby się za nami. — Zatrzymał się nieco.

— Powieź mi — dokończył — kiedy zechcesz prosić na herbatę tych panów, a ja ci pana Wiktora przystawię.

Zawahawszy się trochę, pani Liza, gryząc koniec chusteczki, poczęła pocichu:

— Czekaj-że! Księżna będzie jutro... dla niej naturalnie muszę już prosić hrabiego Augusta, a z Augustem nieodstępny cień jego, Filipa. Więc... więc możesz swego artystę zaprosić na jutro.

— A księżnę Ahaswerę?

— Ta się zaprosi sama — ruszając ramionami, szepnęła Liza, minkę robiąc wzdurliwą. — Z nią przyjdzie nieodstępny już poeta, bo szczęściem przywłaszczyła go sobie. To biędny prawdziwie człowiek! — zakończyła, uśmiechając się z przymusem.

— Wistocie, być zmuszonym posługiwać kaprysom wiecznego tułacza — rzekł Ferdynand — wielkie to utrapienie; ale biędny wieszcz nie miał żadnego zajęcia, a może i obiadu...

Liza uznała właściwém ując się za potępionym.

— Człowiek-to nie bez talentu, szkoda go! — rzekła. — Cóż, kiedy niepospolity talent ten zabija zarozumiałość olbrzymia. Od najslawniejszych wieszczów zapożyczył wszystkie zewnętrzne cechy, które są geniuszu słabostkami, i niemi chce świat przekonać, że podlegając tym samym słabościom, musi téż mieć wszystkie geniuszów przymioty.

Chwilkę pomilczawszy, wdowa dodała:

— A zatem, mój Ferdynando, na jutro proś kogo chcesz. Ponieważ zmuszoną jestem w Rzymie pozostać, nie chcę się zamykać i dziczyć. Poety radabym uniknąć; żal mi go

i niecierpliwi mnie; ale zdaje się być *un mal nécessaire*, a jako antydot służyć będzie hrabia Filip, z którym się ucięrać lubią. Więc niech sobie będą wszyscy, ilu ich jest.

Ferdynand, rad ze zmienionego siostry postanowienia, tegoż wieczora poszedł wkrąg zapraszać na jutrzejszą herbatę.

Nad wieczorem, właśnie o godzinie, gdy się na Via Sistina zbierać miano, nadciągnęła burza gwałtowna i dęszcz ulówny. Był on bardzo pożądany, bo na chwilę przynajmniej miał odświeżyć powietrze; ale goście się dla niego opóźnić musieli.

Księżna Teresa tylko i hr. August przybyli nieco wcześniej i zabawiali gospodynię; reszty zaproszonych nie można się było spodziewać, chyba gdy nawałnica ustanie.

Przez otwarte drzwi na balkon wchodziło powietrze, już ochłodzone nieco, przejęte dęszczu zapachem, gdy przed kilku godzinami nie było czém oddychać.

Pomimo wpływu, jaki ta atmosferyczna zmiana powinna była wyrzucić na usposobienia osób znajdujących się w saloniku, wszyscy dnia tego jakoś byli smutni i jakby pomęczeni.

Księżna, zazwyczaj swobodnego umysłu, mówiąca chętnie, ożywiona, zamyślona była i posepna. Hr. August więcej na gospodynię patrzył, niż ją zabawiał. Ona zaś nerwową była, podrażnioną już od dni kilku, co Ferdynand postrzegł pierwszy, nie umiejąc sobie tego wytłumaczyć. Każdy szelest w przedpokoju nabawiał ją trwogą; spoglądała ku drzwiom, jakby się lękała, aby niemi nie weszła jakaś katastrofa.

Księżna postrzegła to i przypisywała burzy a elektryczności, bo pioruny i błyskawice różnobarwne dotąd nie ustawały. Dęszcz jednak zmniejszał się powoli, nawałnica szła ku morzu wichrem pędzona. Część nieba, z po za chmur porozdzięraanych, czystym już, pięknym, jakby obmytym jaśniała błękitem, przy którym obłoki tém brudniejsze się wydawały. Przybięrały one barwy osobliwe, złocąc się, czerwieniąc, stając brunatne, szare, sine i liliowe. Tak jaskrawo zachodu słońca po burzy żadenby się nie ważył malować pejzazysta — jednemu to Bogu wolno.

Dzwonek w przedpokoju, który wywołał Ferdynanda, stojącego na straży, na pani Lizie zrobił znowu wrażenie przykre; drgnęła i rzuciła się.

Oko jój, niespokojnie ku drzwiom skierowane, nie przysłoniło się powieką, aż dojrzała wpadającą pośpiesznie Ahaswerę, którą zdala zdradzał śmiech suchy. Ciągnęła za sobą — niestety — swą ofiarę, nieszczęsnego wieszca.

— Chwałaż Bogu, że burza tak prędko przeszła — zawołała, śmiejąc się i witając. — Ale co za wspaniała burza! jakie królewskie pioruny! co za przepyszna ulęwa! Myślałam, admirując, że mnie nie dopuści do ciebie, najkochańsza Lizo. Szczęściem wieszcz zaklął ją słowem i ucieka posłuszna. Byłabym musiała brawować pioruny, których... które mnie trochę straszą.

Poeta z obowiązku unosił się nad tym szałem natury, nad namiętym uściskiem ziemi z obłokami, znajdując że obraz był niezrównanej potęgi i piękności.

— Natura-bo — mówić począł — jest zwykle liryczną i bywa przez to nudną, ale w takich chwilach staje się dramatyczną, piękność jój potęguje się, życie ognistemi tryska strugami.... Ale cóż ta burza, przesuwająca się nad Rzymem, którą ciągnie morze jak kochanek — co znaczy taka burza przelotna, w porównaniu do zajadłych burz w Apeninach, których ja nieraz osłupiałym bywałem świadkiem?... Tam natura odegrywa sceny, jakich w żadnej tragedyi nie znaleźć. Ryk jój zdaje się chwilami przybięrać nawet dla ludzkiego ucha zrozumiałą mowę; jęczą w nim głosy pokoleń pomordowanych, krzyki bóleści lat tysięcy w jeden złane, wrzawa bojów, co kładły trupem miliony — wrzaski matek bezdzietnych i dzieci osieroconych, konających w tój zawierusze śmierci, ponad którą rozlega się śmiech szatana....

Emil Marya, uniósłszy się, byłby dalej opowiadał o walce żywiołów i dramacie elektryczności, gdyby dzwonek nowego nie oznajmił gościa. Wdowa z tąż samą co i przedtém trwogą wlepiła we drzwi oczy, pobladła i nie ochłonęła, aż zobaczywszy hrabiego Filipa, który włócił się posepniejszy, poważniejszy, mniej ruchawy niż zwykle.

I na nim burza uczyniła wrażenie przyniatające.

Przywitawszy panie, zbliżył się do hr. Augusta, który pozdrowił go poufale, ale dość chłodno.

— Czy pan to czujesz, co ja? — zapytała go księżna Teresa. — Mnie burza siły odbiera i czyni ociężałą, prawie senną.

— A, burza! — odparł hrabia Filip — burza na mnie nie robi najmniejszego wrażenia. Nie uważałem nawet czyśmy ją przebyli; wiem tylko, że ze wszystkich dachów i rynien strumienie lecą, ulice potokami płyną. W Rzymie dęszcz nawałny, to urzędnik pożądany, oczyszczający ulice.

Poruszył ramionami, księżna zaś dodała, wpatrując się w niego:

— A jednak hrabia nam dziś nie przyniosłeś tak wesołej jak zwykle twarzy, do której myśmy przywykli?

Uśmiechnął się na to ironicznie hrabia.

— Gdzież i z kąd czerpać wkońcu wesołość, nam nieszczęśliwym, wydziedziczonym? — bąknął zcicha. — Prawdę rzekłszy, zasępiły mi humor dwie rzeczy: trochę listy z domu, a potem para książek, która mi w ręce wpadła.

Szanując listów tajemnicę, księżna byłaby zapewne spytała o książki, które mu humor zmieniły, lecz właśnie nadchodził gość ostatni, na którego widok pani Liza, jakby namyślnie, rozpoczęła niezmiernie żywą, cichą rozmowę z Ahaswerą, tak że Wiktor musiał podejść bardzo blisko, nim mu odpowiedziała na powitanie.

Artysta był, jak się spodziewać należało, ubrany starannie; nie miał już tylko owęj kamei w chustce, co księżna zaraz spostrzegła. Miejsce jęj zajmował piękny skarabeusz szmaragdowy, który niemniej zwrócić mógł oczy.

Gospodyni skłoniła mu się bardzo poważnie, ceremonialnie, a zamieniając z nim spojrzenie, nadała swojemu wzrokowi wyraz surowy razem i wyzywający, mówiący więcej niż chciała. Musiała to uczuć, bo się natychmiast znowu zwróciła do swęj sąsiadki.

Księżna Teresa podała przybyłemu rękę z uprzejmością, którą i za siebie i za gospodynię może wypłacić się chciała. Hrabia August zbliżył się piérwszy i również życzliwie przywitał Wiktora.

Nie mógł się on skarżyć na przyjęcie, gdyż jedna tylko gospodyni znalazła się chłodno i nazbyt milcząco, w czém ją trochę naśladowała Ahaswera. Hrabia Filip, mimo wstrętu jaki miał do człowieka, naśladowując pilnie hr. Augusta, pośpieszył z wesołym pozdrowieniem. Ponieważ rozmowa zdawała się przerywaną wejściem artysty, księżna Teresa, chcąc ją zawiązać nanowo, zwróciła się do Filipa, o którym wiedziała że rad był zawsze występować na scenę i głos zabiierać.

— Wspomniałeś, hrabio, o książkach, które ci humor popsuły — rzekła. — Powiedz-że nam co o nich, jeśli to nie jest tajemnicą. Przyznam się że wogóle książek, czyniących jakiegokolwiek, złe czy dobre wrażenie, ciekawa. Od bardzo dawna mam szczęście spotykać się tylko z takimi, które wywołują spazmatyczne ziewanie, nic więcej.

Hrabia Filip, powołany, wystąpił kilka kroków naprzód.

— Żłem się wyraził — rzekł. — Książki te; które mi z kraju nadesłano, dlatego tylko może chwilowo mnie zasępiły, poruszyły, że nielitościwie amputują organiczne części przekonań, z którymi urosłem, które sobie przyswoilem. Przy każdej takiej amputacji cierpi pacjent, ale często ona mu życie ocala.

— Bądź-że łaskaw, mów jaśniej, o co to idzie? — zapytał, przysuwając się, hrabia August.

Filip oglądał się, uśmiechnięty tryumfująco.

— Nadeszła nareszcie chwila opamiętania — odezwał się; — zaczynamy leczyć się z naszych przestarzałych wyobrażeń o sobie samych. Dotąd widzieliśmy w przeszłości własnej same tylko strony jasne, pisywaliśmy sobie apologie, pochlebiające narodowej dumie; historia nasza zbyt wielu miała bohaterów. Nareszcie skalpel krytyki zaczyna te chorobliwe narośle miłości własnej ekstypować.

Namarszczył się, słuchając, hrabia August.

— Co? co? — podchwycił, spoglądając na Filipa. — Niedobrze rozumiem.

— Odebrałem kilka książek nowych — odparł trochę niecierpliwie zagadnięty. — Widzę w nich postęp, krok naprzód. Nowsi pisarze starają się nam pokazać nagą prawdę. Jest ona przykrą i gorzką, nie przeczę, ale będzie zbawienną. Mieliśmy już dosyć tych ideałów szlacheckich, wąsatych, butnych, zarozumiałych, krzykliwych, szablistych, z Panem Bogiem zapanbrat. Czas dojrzyć, że to były karykatury — ciągnął Filip — żeśmy

je niesłusznie uposażowali. Jam się zawsze tego domyślał, więc cieszę się ze śmiałego wystąpienia przeciw nim. *Fiat lux*, choćbyśmy wszystkie te słomiane ideały stracić mieli.

Hrabia August dał mu dokończyć cierpliwie i gdy wyzywająco spoglądał na niego, rzekł chłodno:

— Ten punkt, niby nowy, zapatrywania się na przeszłość naszą, przepraszam cię, kochany hrabio, nie zdaje mi się nowym wcale. Od bardzo dawna literatury sąsiednich, a nam nieprzyjaznych narodów, obracały w śmiech, karykатуrowały te mniemane ideały nasze. Przypomnijcie sobie cały szereg raportów rezydenta saskiego Essena; macie tam rozczarowania do sytości, ulicznych plotek i potwarzy. Komu historia domorośla przeszłości naszej była zanadto ocukrowaną i zasłodką, mógł zawsze napewno iść do źródeł niemieckich, a octu i żółci znalazł w nich podostatkiem. Niektórym z pisarzy nam niechętnych nie zbywało ani na nauce, ani na talencie, ani na zręczności w poszukiwaniu i wyswietlaniu stron słabych — wszyscy jednak błędzili tém, że widzieli umyślnie tylko stronę czarną, że jęj szukali, gdy u nas, jak wszędzie, było zło i dobro, a co przeważało, o tém dziś rozgorączkowanym apologetom i nieprzyjaciółom wyrokować nie pora. Sąd historii dopiero zdala jest zupełnie beznamiętny i sprawiedliwy. My jeszcze drżymy od bólu, a drudzy nienawiścią buchają.

— Musiało zło przeważać, kiedyśmy upadli — odezwał się hr. Filip.

— Argument to dla mnie wcale nieprzekonywający — rzekł August poważnie. — Widziemy w życiu pojedynczych ludzi, iż nie wszyscy cnotliwi i rozumni stoją górą; tak samo bywa i z narodami. Pomimo wielkich zasobów siły i przymiotów, mogą one upadać, skutkiem warunków, których przewyciężyć nie miały siły, przewidzieć nie mogły wczas. Powiem ci więc: narody mogą być równie narażone na upadek przez cnoty swe, jak przez błędy.

— Sofizmata! — odparł hr. Filip pogardliwie. — Gdybyśmy mieli wielkich mężów stanu, bohaterów, geniusze, bylibyśmy się ocalili. Nie mieliśmy nic, oprócz wrzaskliwych warchołów...

Księżna Teresa rozpaczliwie uderzyła w ręce.

— Hrabio Filipie — wykrzyknęła — co za herezje prawisz!

August dorzucił zwolna.

— Po apologiach bezwzględnych, a niesmacznych, muszą nastąpić, jest to w porządku, potępienia na głowę i dyatryby. Niech to księżny nie porusza zbyt. Mieliliśmy rozmarzonych apologów, może zawielu; przyszła teraz godzina na krytykę zajadłą. Z dwojga tych prądów fałszywych, wyłącznych, namiętnych, powoli przyjdziemy do znalezienia drogi średniej i prawdy.

Poeta, który słuchał, usta wydąwszy, brwi marszcząc, ściśniętymi pięściami bijąc się po kolanach, wybuchnął gwałtownie:

— Każdy sobie szuka, co mu do smaku, żywiołu w którym mu najlepiej. Są istoty, co tylko w błocie żyć mogą; te i w dziejach szukają kałuży. Są inni, co potrzebują wyżyn dla piersi, niebios dla oka — te wlatują w obłoki i zgóry patrzą na dziejów pasma, które dla nich lśnią barwami tęczy. Gdzie prawda? Prawdą jest kałuża dla tego, co w niej się urodził i grzebał, bo dlań nie istnieje nic więcej, a dla orłów prawdą niebios.

Hrabia Filip śmiać się zaczął, lecz gniewnie.

— Wyjątek z sonetu, czy z poematu? — zawołał. — Za tém idzie, że prawd jest conajmniej dwie.

— Prawdek są tysiące — przerwał hrabia August — a z nich tylko umysł wyższy prawdę sobie potrafi wytopić. To nie każdemu dano.

— A tak! — zaśmiał się hrabia Filip — ja do tego nie jestem zdolny! Mam ten brzydki nałóg, że szukam prawdy w cieniach, nie w światłach. Nato potrzeba kocich oczu, ale widzi się, nie będąc olśnionym.

— Tak, widzi się bezbarwne mroki — dodał August.

Chwileczkę trwało milczenie; zbliżył się do Filipa i ujął go za rękę.

— Kochany hrabio — rzekł z uśmiechem. — Mnie się zdaje, że gdybyśmy zgodzili się wszyscy na smutną barwę przeszłości, tybyś pierwszy na stronę białą zaczął przechodzić.

Ahaswera parsknęła pocichu i zatuliła sobie usta.

— Jestem więc tylko prostą przekorą? — zapytał urażony Filip, wyrwijając rękę.

— Nie, kochany hrabio — mówił August łagodnie — jesteś wprost tylko umysłem żywym, który szuka dróg nowych i czuje to instynktowo, że idąc wciąż w jednym kierunku, najłatwiej się obłąkać.

Księżna Teresa przyklasnęła temu rozwiązaniu; Filip z dumą pewną, wesoło zbliżył się i uściśnął rękę przyjaciela. Z przestanku tego korzystając, poeta głos zabrał.

— Choćbym był w błędzie — mówił, zwrócony ku Ahaswerze, ale dość głośno, by go wszyscy słyszeli — choćby mi dowiedziono, że zamiast bóstwom, kłaniał się martwym głazu bryłom, pokłękę przed temi bożyszczami, u których stóp klęczeli ojcowie moi — nie stanę się im niewiernym.

Gdy ta rozmowa toczyła się w pośrodku salonu, Wiktor, który wszedłszy, czuł się zimno przyjętym i zajął pierwsze lepsze miejsce, znalazł się nieopodal od gospodyni. Siedział niemy, patrząc na dno kapelusza, jak gdyby go pytał: pociosmy tu przybyli oba?

Liza kilka razy ukradkiem zmierzyła go niecierpliwym, niespokojnym wejrzeniem. Zdawała się walczyć z sobą, czy się do niego odezwać. Z obowiązku gospodyni należało jęj choć parę słów przemówić do gościa. Zwróciła się wkońcu ku niemu i spotkała oczy wlepione w siebie, z wyrazem łagodnym, spokojnym, miłosiernym, pełnym współczucia, a nienarzucającym się o nic.

To ją ośmieliło. Pocichu i dość niewyraźnie przemówiła, schylając się nieco:

— A pan co trzymasz o tém?

Można było przysiąc że pytanie to zadała, myśląc zupełnie o czém inném.

— Słucham rozpraw z zajęciem wielkiem — równie cicho rzekł Wiktor. — Ale przeżywszy już entuzjazm, i zachwyty, i odczarowania a pesymizmy, usprawiedliwiam oboje, choć ani jednych, ani drugich dzielić nie mogę.

— Więc obojętnym pan jesteś na wszystko? — z dziwnym akcentem spytała, wpatrując się w niego, ciekawa gospodyni.

— Nie, pani! — począł Wiktor, spoglądając na nią. — Do takiego trupiego zobojętnienia nie doszedłem jeszcze; tylko tłumaczę sobie i usprawiedliwiam obie te władze ducha, naprzemiany widzącego czarno i biało...

— I jesteś pan tak szczęśliwym, że stoisz wyżej nad te poglądy? — z trochę ironii dodała piękna gospodyni, jakby drażniąc, coś więcej dobyć z niego chciała, nad tę tolerancją zimną.

— Nie jestem tyle zarozumiałym, abym sobie stanowisko tak wysokie przyznawał — rzekł cierpliwie i nie poruszając się Wiktor. — Być może owszem, iż spadłem niżej, niż ci co wielbić i nienawidzić umieją.

Po chwili milczenia, Liza dodała:

— Wiele pan doświadczyć musiałeś...

Pytanie zadane było głosem drżącym. Wiktor wzrokiem naprzód odpowiedział na nie; wejrzenie to zamykało już w sobie wszystko, ale dodał pocichu:

— Nie mylisz się pani; przeżyłem wiele. Pozostały mi tylko resztki życia, a dogryzam je mężnie i z rezygnacją.

Niewiele tych słów, zamienionych pocichu wśród gwaru ogólnej rozmowy, która nie ustawała, daleko więcej, niżby się spodziewać było można, zbliżyły panią Lizę do Wiktora.

Trwoga którą ją nabawiał ustąpiła: wcale już nie wydawał się jęj strasznym. Dziwnym fenomenem, którego nigdy dotąd nie doświadczyła na sobie, człowiek ten obcy robił teraz na nięj wrażenie, jakgdyby dawno, poufale znajomego. Nabierała do niego zaufania.

Korzystając z tego, że poeta, Ahaswera, hrabia Filip i księżna poczęli spór o szczegół jakiś historyczny, pani Eliza obróciła się daleko poufalej, śmieliej niż przed chwilą do Wiktora.

— Pan wśród tych Włochów, z którymi podobno długo obcować byleś zmuszony, musiałeś się czuć bardzo osamotnionym?

— O tak, chwilami — rzekł Wiktor równie śmiało i z wielką prostotą. — Lecz ja z tą samotnością wśród tłumów, z konieczności oddawna oswoilem się i przejednałem. Nic przykrzejszego, nad narzucanie się ludziom, nad wciskanie się natrętne i proszenie choćby o jałmużnę słowa. W niedostatku ludzi żyje się z książkami, z naturą i ze sztuką, klóci się z niemi, godzi, jak z ludźmi — zrywa i powraca, a tymczasem życie upływa.

— Starczyż to do życia? — zapytała ciekawie pani Eliza. — Jabym się bardzo tego kunsztu wystarczania sobie w samotności nauczyć chciała. Często także jestem skazana

na pustynię, bo wolę ją niż tłum uliczny, a czasem niż salonową wrzawę. Próbowałam żyć z książkami, umiłowac sztukę; ale wszystko to nie zapełnia życia...

— W pierwszych chwilach — przerwał Wiktor, z wyrazem jakby macierzyńskiej troskliwości. — Tak jest. Wszelka klauzura wymaga nowicyatu. I takie życie odosobnione musi się zdobyć przygotowaniem do niego, przełamaniem nawyknień. Naostatek i to trzeba dodać, że je wielce ułatwia albo utrudnia przeszłość. Wspomnienia są niepozbytém brzemieniem: latają koło nas i brzęczą, jak muchy natrętne.

Słyszac to, wdowa zarumieniła się i poruszyła żywo; oczy jęj błysnęły i pokryły się szybko powiekami. Westchnęła.

— Tak, masz pan słusznosc — zawołała. — Kto chce przywdziać tę sukienkę mniszą, musi wprzód zrzucić znoszoną i zdartą na świecie.

Szepty te, które się przeciągnęły dłużej niż pani Eliza w początku zamierzała, zwracały już uwagę księżny Teresy i hrabiego Augusta. Gospodyni uczuła to, rzuciła jeszcze jakby pożegnalne spojrzenie na Wiktora i zwróciła się do księżny.

Właśnie Emil Marya, w chwili rzeczywistego natchnienia, poczynal w obronie przeszłości mówić do hrabiego Filipa.

— Utrzymujesz pan, żeśmy byli zgnilizną samą, zepsuciem, ruiną, żeśmy nie mieli życia w sobie, wprzód nawet niż śmierć nastąpiła; żeśmy trzymali się na nogach jak trupy, ściśnięte wśród boju, którym skupione szeregi upaść nie pozwalają... powiedz-że mi, zkad się wzięło to życie tak potężne ducha, które się objawiło na gruzowiskach i ruinach? Zkad czerpali siły wielcy wieszcz, kunszt mistrze, myśliciele, pracownicy, których potęgi nie zaprzeczysz? Tęj siły nie mogło im dać nic innego tylko przeszłość, a zkadżeby ją wzięła, gdyby jęj w sobie nie miała? W tęj więc czarnej, zbrukanęj przeszłości, w której wszystko widzicie tak nikczemném, kryły się gdzieś życiodajne źródła, które z nięj na nas się wylały. Dzieci miały ojców i matki, natchnienie miało źródło, geniusz miał gniazdo swe, na którym porósł w pióra, i macierzyńską opiekę, co go wykarmiła.

Hrabia Filip stał przez czas jakiś zaniemiały.

— Wielkie pieśni, wielkie dzieła kunsztu — rzekł wkońcu — rodzą się z boleści wielkich.

— Tak — zawołał poeta — lecz i boleści wielkie potrzebują piersi szerokich, aby się w nich zrodziły i mieszkaly.

— Wiész co — podchwycił hrabia August, biorac za rękę milczącego towarzysza — uznaj się zwyciężonym. Nie możesz zaprzeczyć geniuszu naszym wieszczom pogrobowym, Adamowi, Zygmunutowi, Juliuszowi. Uznał ich nawet ten świat, co nam nic przyznawać nie chciał. Nie zaprzeczysz uroku i polotu pieśniarzom naszym, ani genialności mistrzom penzla i ołówka, a wszyscy oni przecie czerpali z tęj skarbnicy, w której ty nie widzisz nic, nad próchno, brud i zgniliznę. Były więc niespożyte zasoby, niezamulone i niezatrute źródła, nieprzeznite organa żywota.

— Resztki! Śpięwy łabędzie! — odrzucił hrabia Filip krótko, jak gdyby chciał zapobiedz dalszym rozprawom, do których brakło mu już argumentów.

Nie uznawał się zwyciężonym, ale czuł że go pokonano.

Hrabia August rozśmiał się wesoło.

— Proszę panów na herbatę! — odezwała się, wstajac i podajac jednę rękę księżnie Teresie, a drugą Ahaswerze, gospodyni. — Pogóźdzcie się panowie i mówmy o czémś dostępniejszem dla nas, co myślami nie nawykłyśmy wzlatywać tak wysoko.

Ruszyli się wszyscy.

Z twarzy dysputujących widać było, że pomimo rozejmu ogłoszonego przez gospodynię, podrażnienie trwało. Języki gotowe były do boju; każdy miał coś jeszcze na poparcie i obronę przekonań swych do powiedzenia.

Tymczasem Ahaswera unosiła się pocichu nad wymowném, genialném wystąpieniem swojego protegowanego, pani Eliza zaś szeptała księżnie, iż hrabia Filip we wszystkiém zawsze jest pesymistą i oprócz tego sprzeką. Wiktora wziął pod rękę pan Ferdynand, dostrzegłszy że siostra okazywała mu niezwykłą uprzejmosc i sympatyę. Rad był go sobie zaskarbić na wszelki wypadek, choć jeszcze do tęj fantazyi nie przywiązywał zbytniego znaczenia.

Zaczynało jednak zastanawiać go to, że kazano mu zaprosić Wiktora, że Eliza ciągle była w usposobieniu niezwykłym, podrażniona, i w poufalej rozmowie zbyt często wspominała artystę, jakby mimowolnie.

Miał więc domysły, przeczucia; chciał, zaprzyjaźniając się lepiej, wy badać tego człowieka, dotąd osłaniającego się tajemnicą.

Zabawiał więc go jak umiał, trochę mu dworując i usiłując postawić się na stopie poufalszej.

Tymczasem księżna Teresa, która także oka z Wiktora nie spuszczała, badając go zdala, gdy siadały do herbaty, miała czas i sposobność szepnąć Elizie:

— Od ostatniej bytności u mnie, wasz tajemniczy artysta, czy nie wiem kto, stał się dla mnie jeszcze bardziej drażniącą zagadką, bom jaki, rożek zasłony co go okrywa odsłoniła przypadkiem. Przynajmniej tak mi się zdaje.

Zarumieniona Liza spojrzała ku niej ciekawie.

Księżna na ucho poczęła opowiadać niefortunne swe pokuszenie dopytania się znaczenia kamei, której była pewną niemal, że inną być nie mogła, nad dawno jej znaną.

— Mam najmocniejsze przekonanie — dokończyła — że ten Wiktor Gorajski musiał się nazywać imieniem jakimś nam nieobcym, że niegdyś obracał się w kołach naszych, w świecie nam znanym. Co go zmusiło do takiego zamaskowania się, czy kryje nieszczęście, czy ruinę... czy...

— W tém wszystkiem nicby nie było ani niepodobnego, ani dziwnego — odpowiedziała Eliza. — Cóż u nas pospolitszego nad ruinę? Winny czy nie, któż się nie sroma upadku?... ktoby nie chciał o nim zapomnieć? Może to być jakaś nieszczęśliwa ofiara.

Księżna potwierdziła domysł ten głowy skinieniem.

Zasiadano do herbaty. Ahaswera poecie zrobiła miejsce przy sobie, co go rozpromieniło. Ukradkiem pocałował ją w rękę, co dawno niewidziany na bladziej, zwiędłej twarzyczce wywołało rumieniec.

Z rozmowy o siłach, które pozostały z przeszłości, hrabia Filip złośliwie przeszedł do dziwacznych napaści i zarzutów przeciw pojedynczym popularnym postaciom. Potem ubolewać zaczął nad zбочeniami ducha tego, którego sławiono potęgę, i jako przykład przywiódł Towiańskiego, z którego się wyśmiewał dowcipnie, bo mu to z wielką łatwością przychodziło.

Jak gdyby dotknął rany, wszyscy zamilkli, posmutnieli.

— Takie wyboczenia siły — odezwał się, cierpliwie długiej wysłuchawszy chryi, hr. August — przepraszam cię, dowodzą właśnie jej istnienia. W tym obłądziej były strony piękne i obudzające poszanowanie, jeśli nie współczucie. Kto zna tajemnice ducha ludzkiego i niepewność tych granic, które dzielą świadomość swego stanu od bezwiednego obłądziej umysłowego, z dobrą wiarą, nie będzie nigdy śmiały rzucić wyroku potępiającego i obelgi szalbierstwa na człowieka, co ludziom poważnym, wielkiego charakteru umiał rozkazywać i nawracać ich. W tym szale, który się zrodził z boleści, były momenta rzewne i piękne, a z całego ruchu, rozgorzenia tego pozostał w spuściznie nastrój wysoki, prąd unoszący ku górze.

— To właśnie źle — zawołał uparty Filip — bomy wiekuiście błędziliśmy tém, żeśmy chodzili po obłokach, nie po ziemi. Nas potrzeba studzić, nie ogrzewać.

— A gdy zupełnie, da Bóg, wystygniemy, spowinąć w całun i położyć w grób — dodał szczęśliwie tego wieczora usposobiony poeta.

— Jest prawem ogólnem — odparł niedający się zbić hr. Filip — iż co się poczęło, musi się skończyć, aby przerodziło się w formę inną. Znajduję więc naturalnem, że zmartwychwstaniemy.

— Pod nową formą pruskich kapralów — dodał Wiktor półgłosem.

— A no, bylebyśmy żyli — rzekł Filip z rezygnacją.

— Niestety, to już nie byłoby życie — ośmielając się, poczał Wiktor. — Ciąg życia w człowieku pojedynczym zależy od pamięci jego przeszłości, w narodach od tradycji. Tam gdzie nic ich się zrywa, kończy się rzeczywiste istnienie, zaczyna proces rozkładu, z którego już tylko pozostają pierwiastki, mogące się wcielić zarówno w kaprala pruskiego, jak w austriackiego hofrata, lub... w co sobie chcecie.

— Za pozwoleniem! — wykrzyknął hr. Filip — nie możesz pan zaprzeczyć, że przy całej miłości dla ideału, z rzeczywistością jednak rachować się potrzeba. Przedzierzgnięcie się w kaprała lub hofrata może być warunkiem bytu.

— Zaczepiłeś pan kwestyą nader drażliwą — odparł spokojnie Wiktor — którą, chcąc rozwiązywać, zastrzedz się naprzód potrzeba od wniosków, jakie z poruszenia jój wyciągnąć można. Pozwól więc, abym zaręczył przedewszystkiém, że na wallenrodyzm nie choruję, że uważam go za ideę fałszywą, szkodliwą, uwłaczającą charakterowi człowieka i narodu. Śmielój teraz powiedzieć mogę, że przyobleczenia sukni kaprała i pełnienia służby jego, a choćby i hofrata, nie uważam za potępienia godne, byle pod suknią tą było serce stare, trwała pamięć przeszłości i związek z nią. Nie jestem też wcale rewolucjonistą — dodał, uprzedzając zarzut, którego się spodziewał — owszem, w zasadzie potępiam wszelkie przewroty gwałtowne; przyznaję konieczność rachowania się z rzeczywistością; ale nie powinno to przeszkadzać pozostać wiernym sobie, przeszłości i tradycji. Przyszłość zależy od zbiegu tysiąca okoliczności; przeszłość jest w rękach naszych i stanowi zasób, z którego się siły do życia czerpać powinno. Nie myślę nikomu stawiać za przykład rozproszonego Izraela, a jednak niepodobna z jego trwania w najniekorzystniejszych warunkach nie wyciągnąć tój prawdy, że strzegąc tradycji, zachowuje się skarbnicę żywota...

— Tak — przerwał Filip — ale to, co pan zowiesz warunkami najniekorzystniejszymi, ja uważam za środki pomocnicze. Nic pożądanszego dla narodu nad prześladowanie, jakiego Żydzi doznawali. Chrześcijaństwo byłoby się też bez męczenników nie rozkrzewiło tak bujnie. Żydzi zahartowali się, będąc ścigani; wyłączenie ze społeczeństwa zmusiło ich skupić się w sobie. Prawo ciśnienia, wywołujące oddziaływanie na ciałach sprężystych, sprawdza się i na duchu człowieka. Grecy też, prześladowani przez Turków, zdobyli się na bohaterskiego ducha; ale dość potém było postawić ich w powszednich życia warunkach, aby zeszedli na bardzo pospolitych i bezsilnych,

— Wiele w tém prawdy co mówisz — zauważył hrabia August. — Lecz idąc w głąb tego twierdzenia, wieleby objaśnień należało do niego dołączyć. Wróćmy — dodał, zwracając się do Filipa — do założenia pierwszego rozmowy, do ksiązek, które wywołały rozprawę. Widzę żeś hrabia jakąś historyą nową, całą czy ułamkową, musiał otrzymać.

— Kilka rozpraw i artykułów — odpowiedział Filip. — Z nich wszystkich wieje zbawczy duch krytyki. Pod naciskiem jój wałą się jedne po drugich woskowe lalki naszej przeszłości. Tój wyprawie orężnej przeciwko fałszom, któremiśmy się długo karmili, przyklaskuję.

August po swojemu powitał to uśmieżkiem łagodnym.

— Widzę że się spodziewasz, w miejscu tych lalek woskowych i fałszów, czegoś żywszego i prawdziwszego. Naiwny jesteś, kochany hrabio! Z historyą dzieją się rzeczy dziwne. Każdy wiek nową tworzy *ad usum delphini*, dla wychowania na niój pokoleń przyszłych. Każdy wiek zaprzysięga się, że miłuje prawdę, że tylko jój szuka, a operacją kończy się na tém, iż lalki woskowe się topią, wosk oczyszcza nieco, doléwa się farb nowych i lepią się... ideały nowe, do miary swych twórców przykrojone. A wszystko to pod hasłem prawdy i w jój imię! Kilka imion, dat kilka służy za wątek, a każde pokolenie snuje na nim wzory, wedle smaku swego.

— Ale, na Boga! — zawołał gwałtownie hrabia Filip — pełno fałszów jawnych było na kartach; potrzeba z nich dzieje oczyścić!

— Byle nowych w ich miejscu nie stawić — odezwał się Wiktor. — Trafia się bowiem, że pracownik młody wistocie okazuje jak na dłoni, iż król jaki nie urodził się dnia 14-go, ale we dwa dni późniój, iż bitwa sławna odbyła się wcześniój o tydzień, niż dotąd sądzono, a zato postać historyczną, choćby Nerona lub Tyberyusza, dla oryginalności zmienia w bohatera jasnego i Tacyta czyni umyślnym kłamcą.

— Tak — potwierdził hrabia August — postaci historyczne dziwnym ulegają losom. Niéma kogoby nie oskarżano i nie broniono, czegoby nie uniewinniano i niepotepiano zkolei Inkwizycya znalazła apologetów, świętych poczytywano za szalbierzy. Historia nie obroni się pono nigdy temu ciąglemu odświeżaniu i przetwarzaniu, pod pozorem szukania prawdy, wistocie zaś dla celów ubocznych, dla potrzeb chwilowych, a bardzo często przez miłość własną, która nicować każe, aby się ze sztuką popisać.

— Przecież ja wolę to, niżeli bałwochwalcze, nieruchome uwielbienie widm, które potworzyła na tle dziejowém imaginacja wieków, o krytyce niemających pojęcia — rzekł Filip.

— Pozwól jednak — dodał August — abyśmy my, biędni, zaślepieni, wsteczni, *laudatores temporis acti*, tym poobalanym ideałom przeszłości łzę uronili na pożegnanie. Zgoda na to, że one były utworami wyobraźni ojców, lecz to mi je czyni drogiemi. Naród każdy w historią swoją wprawiał klejnoty, ideały, nadając im kształty, jakie w duszy piastował; malował swych bohaterów może nie takimi, jakimi byli, ale jakimi ich pragnął mieć i widzieć. Toć przecie stanowi świadectwo postulatów ducha narodowego, może dla nas droższych, niż prostowanie dat fałszywych i odgrzebywanie jakichś prawd maluczkich, z których nic wycisnąć niepodobna. Gdy wieki pracują na wyrzeźbienie posągu, gdy kują taką świątynię w skale i głazom nadają formy, które się w ich myślach zrodziły — mam za świętokradztwo niszczenie takiego dzieła, choćby dziś z niego szopy na siano zrobić nie można.

— Kochany hrabio — przerwał Filip szydersko — puściłeś się tak daleko, iż mi cię żal, bo zabłądzisz. Musielibyśmy więc siedzieć z założonemi rękami około przeszłości, dać jej porastać mchami i nie śmielibyśmy jej dotknąć? Toby nas doprowadziło do chińskiego zastoju.

— Czy wolisz, abyśmy burząc, doszli do egipskiego zapomnienia, które na ruinach pradziadowskich dzieł nie wie o nich i przypisuje je duchom? — rzekł August. — We wszystkiem potrzeba miary; ani chińskiego bałwochwalstwa, ani egipskiej ślepoty... Czyścić posągi, ociierać mchy, nie burzcie tylko ich i nie wywracajcie... Szanujcie choć dzieła sztuki.

— A jeśli to są potworne bałwany? — spytał Filip.

— I w takim razie nawet należą, jako pomniki historyczne, do materiałów rozwoju pojęć narodu.

Mówiąc to, hr. August spojrział na Wiktora, jak gdyby wyzwał go na pomoc sobie, a ten dodał natychmiast:

— We wszystkiem potrzeba miary, jak hrabia powiedział. To co za prawdę służyło obalić, nie będąc pewnym iż się w miejscu ruiny znajdzie co postawić, może doprowadzić do zniszczenia wszystkiego, do wygaszenia życia.

— Mówcie panowie co chcecie — rozśmiał się hrabia Filip. — Ja krytykę we wszystkiem, a w dziejach najwyżej cenię. Ona trzebi i wymiata.

— Niszczy skutecznie — przerwał August — jest téż potrzebną w chwilach, gdy rozrost bywa zbyt bujny. Nie przeczę. Natura także płodzi krytyków, w postaci niedojrzanych grzybków i pleśni, napadających zawsze na zbytęcznie, kosztem innych tworów, rozkładające się istoty. Mamy tego przykład na *Oidium Tuckeri*, na chorobie kartofli. Prawa świata duchowego idą równolegle i analogicznie z prawami bytu materialnego. Mówmy sobie na pociechę, że co jest koniecznem, musi być na coś potrzebnem.

Księżna zlekka ziewnęła. Postrzegłszy to, hrabia August się uśmiechnął.

— Nie moja wina — rzekł półgłosem — iż księżna się nudzi. Hrabia Filip przyniósł dziś zarodek nudów tych z sobą.

Obwiniony, nie gniewając się iż go oskarżono, skłonił głowę, jakby się przyznawał do grzechu.

— Przepraszam, jeżeli mimowolnie zatrąłem rozmowę — odezwał się. — Proszę mi naznaczyć pokutę; będę się starał ją spełnić.

— A, dobrze — wyrwała się Ahaswera — za pokutę powiedz nam pan jaką plotkę, któraby wszystkich zaciekała, poruszyła, a choćby rozśmiała.

— O! wszystkich to trudno — wtrąciła księżna Teresa. — Ja za siebie i za gospodynię ręczę, że nas dwóch plotka nie zabawi.

— Zatem — poprawiła się Ahaswera — skomponuj nam, hrabio, coś takiego, co by choć kilka osób odżywiło, bośmy skostnieli od waszych mądrych rozpraw o duchu, materii i krytyce.

Hrabia Filip udał zamyślenie głębokie, chociaż mu się usta nałogowo śmiały.

— Boję się — rzekł. — Gdybym zaczął komponować, a puścił cugle wyobraźni, mógłbym nie zachować téj miary, którą panowie zalecają.

— No, to ja pana hrabiego wyręcę plotką — odezwał się poeta.

Zdziwieni spojrzeli nań wszyscy, gdyż plotki nie wchodziły w atrybucje Emila Maryi.
— Przypadek zrzucił — ciągnął dalej — żem dziś poszedł studyować obraz — rozumię się oczyma tylko — u Doriów. Ta mnie spotkała niespodzianka. Znalazłem artystkę, Polkę, nieznajomą i niezmiernie... zajmującą. Cóż tragicznego nosi wypiętnowanem na sobie...

— Zdaje mi się że wiem o kim chcesz pan mówić — przerwał Wiktor. — Jeśli to jest osoba, której się domyślam, wistocie niepodobna na nią spojrzeć bez obawy o jej losy.

Hrabia Filip zmarszczył się, słuchając, i zwrócił do poety.

— Opisz-że nam pan tę tragiczną niewiastę.

Chciał to powiedzieć szydersko, lecz głos go zdradził; był zaniepokojony.

— Któż to jest? jak wygląda? — zaczęły śpiesznie dopytywać się księżna i Ahaswera.
— Prosimy o szczegóły!

Wiktor zamilkł i wskazał na poetę, który rad z tego, mówił, głos podnosząc:

— Mogę państwu zdać tylko sprawę z własnego wrażenia. Jest to kobieta, mogąca mieć lat powiedziałbym około trzydziestu, gdyby lata czytać się dawały tam, gdzie cierpienie je podwajało. Z twarzy jej, z ruchów, z postawy widać, że ciężkie musiała przejść koleje i zawody. Niebrzydka, niepiękna, nie wiem... Twarz ma pełną charakteru, nachmurzoną, jak powiedziałem, tragiczną. Z ust jej, przysięgłbym, niejedną jęk musiał wylecieć, niejedno przekleństwo. Słusznego wzrostu, brunetka, oczy czarne, piorunujące. Cóż niezwykle oryginalnego i coś straszliwie zbolalego.

— Jest to — dodał Wiktor — ktoś, co tu przybył dla studyów, zmuszony może im się poświęcić. Smutna jakaś historia! Odgadnąć można, iż sztuka dla niej niedawno jeszcze musiała być zabawką, a dziś stała się powołaniem, w braku innego.

— Mówiłeś pan z nią? — zapytała księżna Wiktora.

— Kilka słów zaledwie — odpowiedział zapytany. — Byłem zmuszony przyjść jej w pomoc, widząc że jest obcą i sama nie potrafi dać sobie rady. Nie zabiérałem właściwie znajomości, bo oddawszy posługę nic nie znaczącą, nie chciałem się narzucać, zwłaszcza gdybym postrzegł, że jest drażliwa i nierada, aby się do niej zbliżano.

— Bardzo słusznie, bardzo rozumnie — odezwała się śmiejąc Ahaswera — iż nie ufa ludziom, a szczególnie artystom. A pan zupełnie na artystę wyglądasz.

— Na Cygana, niech księżna powie — rzekł, śmiejąc się, Wiktor. — Niestety! Proszę mi wierzyć, żem sobie nie nadał tej fizyognomii. Boleję nad tém, że mi ją narzuciła natura, i radbym zetrzeć to fałszywe piętno.

— Dlaczegoż fałszywe? — zawołała Ahaswera.

— Bo do imienia artysty nie mam prawa — rzekł Wiktor — a w charakterze jedną tylko niezmierną miłością niezależności zbliżam się do Cyganów.

Wczacie tego krótkiego epizodu, hrabia Filip, którego twarz nagle się zmieniła, pociągnął za rękaw poetę, dał mu znak i uprowadził do kąta, chociaż nie byli nigdy z sobą w bliższych stosunkach.

— Kochany poeto — odezwał się cicho — mam ważny powód, dla którego chciałbym wiedzieć koniecznie, jak wygląda ta niby artystka tragiczna. Nie chcę się o to dopytywać tego pana, którego znam mało... może będziesz łaskaw.

Emil Marya musiał być rad z tego, że hr. Filip go zapotrzebował, i rozpoczął opis twarzy, ubioru, wyrazu nieznajomój — jaknajbardziej szczegółowy. Filip, zmarszczony, słuchał z zajęciem wielkiem.

— Chcę być dokładnym — dokończył poeta. — Przypatrzyłem się tej twarzy, chcąc ją sobie narysować w albumie, mogę więc, jak w pasporcie, na końcu znak szczególny dodać, że na lewym policzku ma czarną plamkę.

Spojrzał na Filipa: stał niemy i jak osłupiały; dopiero po chwilce, wracając do przytomności, podziękował zimno i poszedł zająć swe miejsce u stołu, nie mieszając się już wcale do rozmowy.

— Mów że nam pan co więcej o tej artystce — wyzywała księżna Teresa Wiktora. — Jestem ciekawa, gdzie ją spotkać można.

— Sądzę że w galerji, w której kopiuje — rzekł Wiktor zimno.

— Jest-że piękna wistocie? — dodała gospodyni.

Wiktor poruszył ramionami, a poeta pośpieszył z odpowiedzią:

— Piękną, w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, nie jest wcale. Twarz niepospolita, rysy regularne, ale zmęczone i zwiędłe. Wypiętnowało się na nich cierpienie, a jednak czuć, że tam pozostała niewykwitła młodość, któraby za pierwszym słońca promieniem odżyła.

Ahaswera uderzyła poetę po ramieniu.

— Z wielkim zapalem mówisz pan o niej i odczuwasz cudownie jej dzieje. Miałżebyś być zakochanym?

— Niestety! — zawołał poeta — chociażbym chciał, nie mogę się zakochać.

— Dlaczego? — spytała księżna Teresa.

— Może dlatego, iż na dwie miłości jedno serce nie starczy!

Półżartem powiedział to Emil, a wyrazem twarzy zakłopotanym pobudził wszystkich do śmiechu, nawet Ahaswerę. Tylko hr. Filip, oparty o poręcz jego krzesła, pozostał z twarzą znudzoną i kwaśną.

— Teorya fałszywa! — odezwał się hrabia August. — Wprawdzie powszechnie jest przyjętą, lecz warto żeby ją krytyka obaliła. Hrabio Filipie!

Zagadnięty tak, nie raczył odpowiedzieć; patrzył w ziemię.

Wszyscy uważali, iż nagle zaszła w nim jakaś zmiana, którą nie wiedzano czemu przypisać.

— Herezye! — zawołała Ahaswera — a głosi je, kto?... hrabia August! Ledwie uszom wierzę!

— Tak jest, śmiem twierdzić — dodał hrabia — że miłość czysta, niecielesna, duchowa, może się na kilka ideałów podzielić.

Ahaswera gorąco wystąpiła do walki.

— Dziękuję panu za taką miłość — poczęła — która w jednej uwielbianej istocie nie znajduje wszystkich możliwych doskonałości. To co hrabia tak niewłaściwie miłością nazywasz, już nią być nie może, bo ma w sobie robaka analizy: rozbięra, sądzi, a miłość powinna być ślepą — szaloną, bezgraniczną! Pfe! pfe! — dokończyła — miłość pokrajana na kawałki...

— *Les morceaux en sont bons!* — Szepnął francuzkiem wyrażeniem Wiktor pocichu.

— Ja zaraz jutro — zwracając rozmowę, odezwała się księżna Ahaswera — lecę do Doriów i muszę widzieć tę... Nie wiesz pan jak się zowie? — spytała Wiktora.

— Nie mogłem, anim chciał jej pytać o to — rzekł zimno Wiktor.

— Ani czy jest panną, wdową, lub mężatką?

Wiktor odpowiedział milczeniem.

— Sądzę z tragicznego wyrazu twarzy — dodał Emil — iż wdową, albo... istotą opuszczoną być musi.

— Ale żeby się też można nagle tak zająć niewiedzieć kim — z przekąsem rzekł hr. Filip. — Może jakaś awanturka.

Surowy ten sąd zahuczano protestacjami; hrabia umilkł.

— Hrabia — śmiejąc się i zwracając ku niemu, dorzuciła Ahaswera — zamiast tak okrutnym być dla tej nieznajomej, powinienbyś owszem starać się do niej zbliżyć i bodaj zakochać. Nie takbyś się nudził w Rzymie.

— Księżnęby to bawiło, gdybym ja, zamiast czasem się nudzić trochę, męczył się i trapił? — odparł Filip.

— Nie wiem co hrabia woli.

— Ja bo nie nudzę się nigdy — rzekł kwaśno hrabia. — Niecierpliwie się tylko czasami, a to wcale coinnego.

— I tém niema się co chwalić — szepnął August.

— Aby się nie nudzić, na to jest jeden sposób — odezwała się księżna Teresa. — Potrzeba koniecznie mieć cel jakiś w życiu. Jeżeli losy go nie nastreczają, człowiek sam stworzyć go sobie powinien.

— Tak jest — rzekł Wiktor. — Ażeby zaś oszczędzić sobie trudu nieustannego tworzenia małych celików, odrazu sobie założyć musi niedościgniony.

— Otóż to najtrudniejsze! — odparła księżna Teresa. — Czasem jednak małemi rzeczami bardzo szczęśliwym być można. Znałam biédnego starego kawalera, który był póty najnudniejszym i najbardziej znudzonym z ludzi, póki nie zaczął zbierać stariej porcelany. Filiżanki i talerzyki zapelniły mu pustkę życia.

— Słowo daję — wyrwał się hrabia Filip — jeżeli tak, to gotów jestem jutro rozpocząć kolekcją korków od butelek.

— Wierz mi, hrabio, i korkiby cię uszczęśliwić mogły, gdybyś miał tylko cierpliwość i wytrwałość.

Śmiano się trochę z korków, a Filip zamilkł posępny. Hrabia August począł opowiadać historyjkę jakąś, na poparcie teorii księżny.

Niektóre osoby wstawały od stołu; towarzystwo rozpraszać się zaczęło. Ahaswera słuchała swojego poety, który żywo, z zapalem prawil jój coś, widocznie rozgorączkowany i natchniony.

Liza, wstając z innymi razem, znalazła się wypadkiem niedaleko Wiktora, w chwili gdy ten zapytywał pana Ferdynanda o freski, znajdujące się w drugim pokoju, bo nie widział ich jeszcze.

Mowa była o tych sławnych obrazach z historii Józefa, które Overbeck, Schnorr, Veit, w pierwszych chwilach narodzin szkoły katolickiej malarstwa, czerpać mającej natchnienie w chrześcijańskich tradycjach sztuki pierwotnej, nakręśliłi na ścianach tego właśnie domu, naówczas zajmowanego przez p. Bartholdy.

— Jakto? — w mieszała się gospodyni, podchodząc ku nim — pan nie oglądał jeszcze tych pięknych obrazów, dla których tu ciągle, codzień przychodzą mnie nudzić Anglicy? Pójdź-że pan, ja mu je pokażę sama.

Złożyło się właśnie w tej samej chwili tak szczęśliwie, czy tak niefortunnie, że pana Ferdynanda księżna do siebie zawołała, a pani Liza sama już musiała gościowi towarzyszyć do drugiego pokoju, co ją troszeczkę zmieszało.

Zatrzymała się, zamyśliła.

— Wiész pan co? — rzekła, gdy już miała się ku drzwiom skierować. — Oglądać te freski po nocy, przy świetle niedostatecznym, to znaczy pozbawiać się dobrowolnie całego wrażenia, jakie one uczynić mogą. Pierwsze wejrzenie na dzieło sztuki powinno być obrachowaniem, bo ono często szkodzi i zostawia po sobie w umyśle wrażenie niezatarte. Wprawdzie mógłbyś je pan potem widzieć we dnie, ale toby już nie było toż samo...

Wiktor wstrzymał się i cofnął od progu.

— Masz pani wielką słuszność — rzekł — uwaga jest niezmiernie trafna. Pierwsze wrażenie pozostaje niezatartem. Nie chcę dziś widzieć fresków, a poproszę p. Ferdynanda, aby mi je którego innego dnia, nie trudząc pani, pokazał.

Pani Liza teraz osobliwszym sposobem usposobioną była dla człowieka, który niedawno taką w niej obudzał trwogę.

— Przyjdź pan jutro na obiad do nas — odezwała się śmiało. — Jadamy wcześniej, o trzeciej, a freski o tej porze najlepiej oglądać.

Wiktor, tą uprzejmością zdziwiony, nie umiejąc nawet dziękować, skłonił się tylko.

Zaproszenie wyrzeczone było półgłosem, nieśmiało, pocichu, jak gdyby pani Liza nie życzyła sobie, by je reszta gości słyszała.

Wrócono natychmiast do towarzystwa.

Hrabia Filip, zawsze zapamiętałe zakochany w gospodyni, dojrzał zdaleka tę króciuchną poufną rozmowę i jeszcze się okrutniej zasepił.

Wiktor, idąc obok niej, miał czas, nim się połączyli z resztą gości, dodać jeszcze:

— Mimowolnie to, co pani tak trafnie powiedziałaś o obrazach, zastosowuję w myśli do ludzi, i przypominam sobie, jak pierwsze wrażenie, które musiałem zrobić w domu pani, mogło mi wiele zaszkodzić.

Liza uśmiechnęła się.

— Z ludźmi — rzekła — dzieje się wcale inaczej; pierwsze wrażenia zaciągają się łatwiej, a często wywołują nawet zupełnie przeciwne. Człowiek jest w sobie tak rozmaity, iż w różnych chwilach bywa do siebie niepodobny.

Hrabia Filip zbliżył się właśnie do powracającej pani; Wiktora zagadnęła księżna i odciągnęła ku sobie.

— Artysta czy dyletant, Cygan czy baron incognito — odezwał się Filip z przekąsem do gospodyni — ten pan Wiktor ma osobliwe szczęście. Pierwszego dnia, gdy się tu ukazał, zrobił wrażenie przerażające; a dziś zdaje się *en train* zostania ulubieńcem księżny Teresy i pani.

Liza ruszyła ramionami.

— Czy hrabia znajdujesz, żeśmy dla niego niedosyć niegrzeczne? — spytała.

— Notuję fakt, iż ma szczęście obie panie zajmować — tłumaczył się hrabia. — Niewszystkich jest to udziałem. Ja mu zazdroszczę!

Śmiechem wesołym, choć nieco przymuszonym, odpowiedziała mu gospodyni. Musiał on na nim przykre uczynić wrażenie, bo zaciął usta i ustąpił.

Nie mając na kim pomścić się za własny zły humor, Filip, dostrzegłszy że Ahaswera zajęta była bardzo żywą rozmową ze swoim poetą, umyślnie zbliżył się ku osamotnionej parze, aby przerwać *tête à tête*, i przemówił szydersko:

— Nie przeszkadzam?

— Przyznaj się — zawołała, podnosząc się księżna — że radbyś przeszkodzić. Miałbyś w tém prawdziwą przyjemność. Nieprawdaż? Otóż na nieszczęście nie przeszkodziłeś, bośmy grzeszyli obmową i wyratowałeś nas od potępienia.

— A kogożście państwo obmawiali? — zapytał hrabia.

— Pewnego nieszczęśliwego człowieka, który nadaremnie wdycha do bóstwa, a ono nie chce go ani słyszeć, ani rozumieć.

Hrabia Filip próbował się uśmiechać.

— Gdyby zakochani rad słuchali — dokończyła Ahaswera — powiedziałabym mu, ażeby gdzieindziej zaniósł westchnienia swoje... bo szkoda szafować niemi nadaremnie. Są-to przecie drogie wyziewy duszy!

— Westchnienia, które księżna tak poetycznie nazwałaś — odparł hrabia poważniej niż zwykle — rodzą się w pewnych dobach życia, czy jest czego wdychać, czy nie. Cóż zrobić z niemi? trzeba je wyszafować bez skutku, aby piersiom ulżyć!

Rozśmiała się z téj teoryi księżna i zaczęła wybierać do domu; poeta *servente* szukał już chustki i kapelusza swéj pani, kazała mu bowiem odprowadzić się, co Emila widocznie wprawiało w dumę.

— Patrzaj-że — szepnął na ucho hr. Augustowi Filip — Ahaswera nie na żarty przywłaszczyła sobie wieszczka i geniusz wprzęgła do swego rydwanu. Gotowa go pociągnąć do Biarritz. Żalby mi było biédaka, bo choćby zawiozła z sobą, któż ręczy, czy go gdzie na drodze, znudzwszy się pieśnią, nie porzuci.

Hr. August pośpieszał, pożegnawszy się, ku drzwiom, aby się pozbyć towarzysza, który go jednak dogonił na schodach i razem z nim, bawiąc go rozmową, mniej jednak zabawną niż zwykle, powrócił do hotelu.

Gdy się znalazł sam w swém mieszkaniu, hr. Filip rzucił kapelusz w kąt i krzyknął:

— Tego mi tylko brakło!

Padł w fotel, sparł się na rękę i, zadumany, przetrwał tak do późnej nocy.

Stara Anunziata, przygarbiona, pomarszczona, łysa, siwa, kaszląca, ale zawsze uśmiechnięta, tego dnia przeszła już razy kilka z miotką i szczotką w rękach po pokoikach, zajmowanych przez Wiktora.

Za każdym razem spoglądała zukosa na stojącego przed oknem, przez które nic widać nie było, lokatora swojego i zdawała się zaciekawiona nim jak zagadką, chociaż znała go już oddawna. Wiktor stał tak jakoś zadumany i zatopiony w sobie, iż nawet szłapania staruszki nie słyszał.

Był nawpół ubrany, a rozłożone przed nim suknie okazywały, że miał wkrótce dokończyć tego rozpoczętego dzieła, które mu myśli natrętne przerwały.

Z oczyma wlepionymi w odrapany mar przeciwległy, na którym z okien drugiego piętra wywieszona drapowała się świeżo uprana bielizna ledwie mającą przez zabrukane szyby, z brwią ściągniętą, z ustami zakąszonemi, stał już tak dobry kwadrans, a Anunziata, do której nie przemówił nawet, ani się ku niej odwrócił, dreptała niespokojnie, widząc go tak zamyślonym.

To mu się rzadko trafiało.

Włoskie sługi, choć jak wszyscy śmiertelni, lubią *denari*, mają to do siebie, że się jakoś, w stosunkowo nawet krótkim czasie, przywiązują do swych panów. Przetrwało to snadź tradycyjnie z tych czasów, gdy rzymscy patrycyusze domową swą czeladź zwali familią i gdy niewolnicy nawet i wyzwoleńcy, w dobrych i złych losach rodzin do których

należeli, mieli udział wielki. Włoski sługa niema zbytniej uniżoności dla pana, ale z nim wchodzi prędko w rodzaj poufności, która przybiera formy serdeczne.

Taką była i stara Anunziata, prosta babusia, którą Wiktor tak obchodził, jakgdyby był synem jój, lub wnukiem. Widziała go w jakimś nadzwyczajnym usposobieniu, smutniejszym niż zwykle, pogrążonym w sobie — niepokoiło ją to i budziło obawę.

Potrzebowała odkryć tę tajemnicę. Zwykle widywała swojego lokatora tak zawsze jednakim i spokojnym, iż stan ten wyjątkowy dla niej zwiastował jakiś wypadek, o którym dowiedzieć się chciała.

— Co to mu jest? — szeptala, przechadzając się z narzędziami do oczyszczania, których jój właśnie w tym pokoju używać nie było wolno... Czyby się czuł chory?

Staruszka odchrząknęła raz i drugi, ale Wiktor nie spojrział na nią. Nareszcie zniecierpliwiona przyszła doń powoli i zlekka pociągnęła go za rękaw, twarz nastroiwszy do zwykłego dobrodusznego uśmiechu.

Wiktor z wolna odwrócił się ku niej.

— Czego chcesz, moja stara? — spytał łagodnie, jakby przebudzony ze snu.

— E! e! nic nie chcę! — rzekła z cicha — tylko radabym wiedzieć, co wam jest? Stoicie już może z pół godziny, patrząc na ten mur brzydki. Cóżście tam zobaczyli?

— Muru nawet nie widziałem — odparł Wiktor, siadając w krzesło.

— A o czémżeście myśleli?

— O czém człowiek myśleć może, starzejąc? — zapytał Wiktor.

Stara, niezwykłym pytaniem zagadnięta, twarz oparła na rękę i poczęła także rozmyślać nad odpowiedzią. Milczała chwilę, westchnęła i ręką rzuciwszy, dała znak, że nie wie co ma odpowiedzieć na to.

Wiktor siedział znów zadumany. Staruszka nie odchodziła.

— Powiedz ty mi — odezwał się po długim przestanku — gdyby ci nanowo żyć kazano i rozpocząć coś już przeżyła, czybyś życie ofiarowane przyjęła?

Anunziata wsłuchiwała się i mruknęła, aby jój powtórzył pytanie, którego dobrze nie rozumiała. Zmarszczyła siwe brwi gęste. Nierychło się mogła zebrać na słowa; badała duszę własną. Z wolna zaczęła potrząsać głową; widać było niepewność i walkę; wostatku rękę odjęła od twarzy i zawołała krzykliwie:

— *No! no! Grazie tante!* (Nie! nie! Bardzo dziękuję). Jednego życia dosyć. Basta!

Wiktor się uśmiechnął.

— Otóż wiész już — odezwał się — nad czém ja dumałem, stojąc tak długo; nad tém, że życia skończonego drugi raz rozpoczynać niewarto, kiedy się wie że, bądźcobądź, ono się łzami skończyć musi.

Anunziata ciekawie popatrzyła na mówiącego, postąpiła jeszcze chwilę nad nim, spoglądając z politowaniem, i powlokła się nazad, niby pyły zmiatając po drodze.

Do drzwi dzwoniło właśnie, a na progu ukazał się pełen życia, wesoły, rozpromieniony pan Ferdynand. Ten był jeszcze w owym okresie młodości, w którym przy jego temperamencie ciężaru życia wcale się nie czuje. Uśmiecha się wszystko, a jedna pogardliwie odpychająca Pepita łatwo nazajutrz inną uśmiechającą się twarzą zastąpić może.

Ferdynand wchodził z piosenką na ustach, pozdrawiając uprzejmie staruszkę, która pięknej jego młodości rada była i witała go wesoło.

Był on jednym z tych ludzi, nawykłych spijać z życia śmietankę, broniących się mężnie wszystkiemu, co zaćmić może jasne słońce dni wesołych. Potrzebował być szczęśliwym koniecznie, bo nieszczęścia znieść nie miał siły. Zagrożony wyjazdem z Rzymu, gdzie sobie różne piękne pozasnuwał marzenia, na tle włoskiego krajobrazu, pan Ferdynand lżej teraz oddychał, bo pani Liza myśl swą zmieniła, lub odkładała przynajmniej. Zdawało mu się iż to winien był jój fantazyi (tak ją nazywał) dla Wiktora; zatém chciał ją bardzo zbliżyć do niego.

— Niechby się sobie biedna kobięcina rozerwała — mówił w duchu. — Jest tak stateczna, poważna, surowa, że się o nią wcale obawiać nie potrzebuję, a radbym żeby ją co zabawić i zająć trochę mogło. Wiktor zdaje mi się téż bardzo przyzwoitym i nieplochym człowiekiem. Liza powtarza ciągle że za mąż iść nie myśli; lecz żeby dlatego miała się stosunków z ludźmi wyrzekać....

Domyślając się i utwierdzając coraz w tém przekonaniu, że Wiktor siostrę zajmował, że obudzał w niej ciekawość, Ferdynand, przez miłość dla niej, chciał pośrednictwem swém bliższe stosunki ułatwić. Trochę się więc natrętnie narzucał Wiktorowi.

Wczorajsze zaproszenie na obiad ostatecznie rozwiązywało wątpliwości. Pani Liza wyrwała się z niém pod wpływem jakiegoś chwilowego natchnienia, któremu się oprzeć nie umiała.

Wkrótce potem pożałowała tego, gryzła się, wyrzucała to sobie, czuła się skompromitowaną; niepokój nią owładnął. Brat wszystko to ukradkiem zauważył i mężkie wnioski robił z tego stanu duszy.

— Fantazja kobięca — mówił sobie — przejdzie to. A czemużby sobie nie miała jęj pozwolić?

Obawiając się, aby Wiktor albo się nie spóźnił, lub nie wymówił, bo wiedział jak był dziki, Ferdynand postanowił sam zająć po niego i dla większej pewności zabrać go z sobą.

Serdecznie rad był siostrze służyć.

Biedna pani Liza, popelniwszy to zaproszenie, którego się później zawstydziała, była zmuszoną poniekąd brata wciągnąć w swą sprawę i poczęści wtajemniczyć. Obawiając się, aby o tym obiedzie nie wygadał się przed kim, przyznała mu się, że była *zmuszoną* zaprosić, że to ją kłopotalo bardzo, bo ludzie gotowi to byli po swojemu zaraz niegodziwie tłumaczyć. Prosiła go, aby na siebie wziął całą winę, a najlepiej nikomu o tém nie wspominał.

Ferdynand, zaszczycony tém zaufaniem, które go rzadko spotykało, bo siostra słabość jego znała, bardzo był z całego obrotu sprawy i składu tych okoliczności szczęśliwy. Przecież mógł się jęj przydać na coś. W takim usposobieniu różowém zjawił się w progu, poczynając bardzo złą, forestyorską włoszczyzną, pocieszną rozmowę ze starą Anunziatą.

Usłyszawszy głos jego, znajomy dobrze, Wiktor conajprędzej dokończył ubrania.

Gdy Ferdynand wszedł do pokoju, znalazł go już prawie do wyjścia gotowym.

— Ponieważ mi bardzo szło o to, abyś szanowny pan nam nie skrewił, a lękałem się roztargnienia, zapomnienia, przeszkody jakiejś, stawiam się więc sam, żeby go zabrać z sobą. Będziemy mieli czas przed obiadem dobrze się freskom przypatrzeć. Mówią że są tego warte. Ja, przyznając się, nic w nich tak osobliwego nie widzę; kolory mi się wydają szare, wszystko jakieś smutne; lecz inni się nad niemi unoszą.

Wiktor prosił się i spocząć trochę, dzień bowiem, choć po burzy, znowu był parny, a przechadzka w tęg godzinie nużąca.

— Ja już dziś zbiegałem się dobrze — wesoło odezwał się młodzieniec. — Ale, ale: wiesz pan że i ja zostałem zaintrygowany tą artystką, o której wczoraj mówiono. Poleciałem jęj szukać do Doriów.

Wiktor się uśmiechnął.

— I cóż? — zapytał.

— A, widziałem ją — rzekł Ferdynand obojętnie. — Ale z nią to tak, jak z temi freskami. Nie wiem, może jest piękną, tylko nie dla mnie. Słyszałem że hr. August, bo i on i nasze panie (oprócz siostry mojęj) wszystkie się tam znalazły — hr. August powiadał, iż w tęg piękności jest wiele stylu i wyrazu. Ja znalazłem ją żółtą, zwiędłą, kwaśną a tak zatopioną w sobie, w swęj pracy, iż ledwie ukradkiem w oczy jęj zajrzeć było można. Zresztą — ciągnął dalej Ferdynand — powagi ma wistocie wiele; przypomina czy wielką damę, czy doskonałą aktorkę. Mnie się nie podobała. Wszyscy nasi znajomi, oprócz hr. Filipa, zaintrygowani nią wielce. Księżna Teresa zbliżyła się do niej, pod pozorem zapytania, czy rozpoczęta kopia jest do nabycia. Odpowiedziała jęj, zdziwiona nieco, że nie sądzi aby nabywania była wartą, gdyż nie ma jeszcze dosyć wprawy w tęg pracy. Księżna usiłowała przeciągnąć rozmowę, lecz nieznojoma widocznie sobie nie życzyła ani zbliżenia, ani zajmowania sobą. Odpowiadała półsłowami, nie patrząc, i grzecznym ukłonem pożegnawszy tęg dobrą księżnę Teresę, wróciła bardzo pilno do roboty. Innym się całkiem nie powiodło — dokończył Ferdynand.

To mówiąc, spojrział na zegarek; czas już iść było. Pod pozorem szukania cienia w małych uliczkach, miał w myśli przeprowadzić Wiktora tak, aby wszelkiemu możliwemu zapobiedz spotkaniu ze znajomymi.

Wyszli wreszcie i dostali się szczęśliwie, niepostrzeżeni, jak się im zdawało, na Via Sistina. Gdy weszli, pani Lizy nie było w salonie i brat sam wprowadził zaraz milczącego Wiktora do fresków.

Gospodyni wprawdzie oddawna była ubraną i do przyjęcia gotową, siedziała nawet w salce; ale dzwonek posłyszawszy, zlekła się sama nie wiedziała czego i zbiegła do swojego pokoju, Tu, przed zwierciadłem stanąwszy, postrzegła, że na rzęsach jej szklily się dwie lzy — lzy których zjawienia się nie czuła! Otarła je coprędzej, ale smutku i trwogi odpędzić nie mogła. Wstydzila się sama siebie, tak była wzburzoną.

Wszystko, co się z nią od tych kilku dni działo, prawie mimo jej woli, dręczyło ją tém właśnie, że nawykła despotycznie panować nad sobą; teraz czuła się niewolnicą wrażeń, popędów, które brały nad wolą i rozumem górę.

Nie umiała ani się pokonać, ani sobie stanu tego wytłumaczyć.

Zabawiwszy chwilę w swoim pokoju i przejrawszy się w zwierciadle, powolnym krokiem, drżąc, poszła do gościa swojego. Na dzień ten umyślnie ubrała się nadzwyczaj skromnie. Miała na sobie lekką suknię czarną, bez żadnych ozdób i niczego, coby jej żalobę odżywić mogło. Prosty, biały kołnierzyk i rękawki czyniły ją podobną do starego portretu flamandzkiego Rembrandta; ale w stroju tym była tak cudnie piękną, tak odmłodzoną, tak jaśniejącą, iż sama, w zwierciadło spojrzawszy, zarumieniła się, jakby się pochwyliła na bezwiednej kokieterii. Ach! wiedziała o tém, że jej w tej skromnej sukni czarnej najpiękniej jej było. Spadała w szerokich, bogatych fałdach dokoła, nadając ślicznej jej figurze wdzięk posągu starożytnego.

Nie czas już było zmieniać tego ubrania, w którym brat ją widział zrana; musiała wyjść jak stała. Kilkanaście kroków dzieliło ją od pokoju fresków. Nawykła do świata Liza wprędce odzyskała całą swą swobodę i przytomność.

Wsunęła się tak cicho, że brat nie posłyszał gdy weszła; ale Wiktor drgnął... poczuł ją przybywającą i zwrócił się ku niej z powitaniem. Oboje widocznie silili się na to, aby wzajem okazać się jaknajchłodniejszymi.

Niewielki znawca ludzi, Ferdynand jednak w tej ceremonialności, w tej ostrożności w obejściu się obojga, uczuł że fantazja siostry nie była próżnym domysłem. Zupełnie obojętni ludzie nie spotykają się z tak obrachowanym chłodem.

Zaczęto mówić o freskach; Wiktor bardzo je piękniemi znajdował.

— Malarze — rzekł do pani Lizy — co się tu poraz pierwszy ośmielili próbować sił młodzieńczych na historyczno religijnym przedmiocie, nigdy może nie stworzyli nic bardziej natchnionego nad cykl ten obrazów, zrodzony pod wrażeniem sztuki chrześcijańskiej, naiwnej, namaszczonej wielką wiarą. Żaden z nich później nie poszedł już dalej, choć Schnorr wyśpiéwał Biblią całą. Z tym wdziękiem, zapożyczonym od Anioła z Fiesoli, od Luinich i mistrzów XV wieku, pozostali życie całe, powtarzając się, bo rozwinąć dalej tej melodyi niebieskiej, przerwanej wpływem pogańskim odrodzenia, nie zdołali, a rozstać się z marzeniem młodości serce nie pozwoliło. W historii sztuki ta szkoła katolicka Overbecka, potrosze i Schnorra, jest wysiłkiem rozrzewniającym, a próżnym niestety! Nie kończą się poemata, bo na ustach wieszczów, co je nucić zaczęli, śmierć swą pieczęć położyła. Prawnikom trudno uchwycić wątek ducha, który uleciał ku niebiosom. Więc martwe biorą formy i cisną je do piersi gorącej, aby odżyły. I cienie te odradzają się na chwilę, ale mgliste i bezcielesne. Wyrosły z grobów i do nich wracają bezdzietne. Aby szkoła katolicka wykwitnąć mogła, nie uwielbienia dla jej mistrzów potrzeba było, ale zbudzenia tego gorącego katolicyzmu, który ją zrodził. Niestety, ten już, jakim był wówczas, powrócić nie może. Wieki po nim przepłynęły, rozszarpały i podarły ziemię na której wyrósł. Na nowy posiéw ona czeka.

Wiktor mówił, zapominając się, jakby sam do siebie. Widać było, że obrazy te zajmowały go mocno. Wyobraźnia przedstawiała mu tych młodych, pełnych zapału artystów, którzy tu na kradzionym ścianie kawałku, ożywieni ogniem świętym, szczęśliwi, patrzyli na wcielenie się długo żywionych myśli.

Dziś mało kto mógł i chciał uczcić ten plac zapasów, tak jak on na to zasługiwał.

Ciekawi patrzyli nań chłodnemi oczyma, pytając się w duchu, co tu było tak znakomitego, by uwielbiać aż potrzeba?

Dla Wiktora widok to był rozrzewniający i podbudzający razem. Pod wpływem tych fresków stał się innym. Zapomniał na chwilę o tej pięknej jak anioł istocie, która słuchała

go drżąca i przejęta. Natura artysty zbudziła się w nim i zadrgała na widok dzieł, które były więcej niż utworami sztuki, bo pomnikiem chwili niepowrotnej w artystycznym życiu naszego świata.

Przebrzmiały te piękne dźwięki, ale echu ich dusza pobożna artysty z rozrzewnieniem cześć złożyć musiała. Chwilę Wiktor żył jakby w tych, co tu z trwogą i nadzieją kręślił pierwsze karty księgi, która nigdy dokończoną być nie miała.

— Nie umiałam nigdy wypowiedzieć tak dobrze com czuła, patrząc na te obrazy — odezwała się Liza, gdy umilkł. — Historia ich nie jest mi obcą. Obudzały one we mnie tęskne uczucia. Siaduję godzinami, patrząc na nie. Wyobrażałam sobie nieraz, z jaką gorączką i trwogą przystępowali młodzieńcy do téj walki z zadaniem, którego czuli zachwałność. Freski zestarzałe zdają się jeszcze niedawne i świeże, choć ci, co je tu w dniach swéj młodości rzucili, dawno leżą w grobach ostygli. Więcej niż pół wieku minęło może i cicho tu jak w grobie. Żyją tylko widma te, wywołane miłością wielką.

Słowo to wyrwało się pani Lizie mimowoli i rumieniec z nié m na twarz wystąpił.

— Nie umarli oni — przerwał Wiktor z zapalem. — Zeszli, znikli, ale myśl ich pozostała żywa, mówi do nas. Wszystko co ją zrodziło, co towarzyszyło kolébce, co ją cierniem oplatało, poszło w proch, lecz dzieło ducha stoi niewzruszone. Może, jak Wierczernik Leonarda, poszarpane rozsypać się w kawałki, a jednak ze szczątków ich jeszcze myśl strzeli młodą i gorącą. A ileż to z tych obrazów zrodziło się potomstwa myśli, słów, uczuć i dzieł sztuki!

Razem z gospodynią począł się i Wiktor wpatrywać zkolei w pojedyncze sceny historyi Józefa, w towarzyszące im emblematyczne postacie ugóry, uśmiechając się z dosyć nieforemne go zużytkowania ścian, z których każdego kawałka chciano korzystać.

Na rozmowie o sztuce szedł czas do obiadu. Wiktor, zapiérający się imienia artysty, dał dowód, mówiąc z takim przejęciem o tych freskach, iż nic go tak do życia przywrócić nie zdołało, jak sztuka.

— Pan-bo jesteś, pan musisz być artystą! — odezwała się, do stołu siadając, gospodyni.

Wiktor tak był ożywiony i widokiem obrazów i może cudną twarzą a głosem téj idealnéj istoty, do której dziś zbliżyć mu się swobodnie j było wolno, iż o zwykłej swéj małowówności i trzymaniu się na wodzy zapomniął.

— Być może, iż stworzony zostałem na artystę — odparł. — Czuję to, ilekroć się zbliżam do dzieł wielkich mistrzów, bo dla nich zapominam o świecie całym. Ale jakże mało jest ludzi, którychby kolébka tam stała, gdzie była powinna! Młodość moja zeszała w świecie, w stosunkach, w zajęciach, które mogły tylko rozbudzić artystyczne żądze, nie dając środków do ich zaspokojenia. Niedosyć mieć poczucie piękna, miłość jego, nosić w duszy ideał, dopominający się wcielenia — potrzeba jeszcze uczynić rękę myśli posłuszną, uzbroić się w siłę fizyczną wykonawcy. Na to ja ani czasu, ani sposobności nie miałem. Przyszedł potém przełom, katastrofa, która mnie rzuciła rozbitkiem na cudzą ziemię. Złamany człowiek, zapóźnie chciałem nowe rozpocząć życie. Młodość nie powraca; tylko w tych latach, gdy i umysł i ręka są giętkie, uczyć się można. Późnie j myśl i serce łamią ołówki i penzle kruszą. Chwywanie się namiętne sztuki rodzi rozpacz, bo w duszy dojrzały obrazy, a bezsilne palce już ich odtworzyć nie umieją.

— Ja jednak wyobrażam sobie — przerwała Liza — że choćby się arcydzieł tworzyć nie mogło, przecie j to wcielenie myśli musi na chwilę czynić bardzo szczęśliwym i pochłaniać człowieka.

— Pochłania... tak jest — rzekł Wiktor — serce porusza, dozwala zapomnieć nawet o tych cierpieniach, które nigdy nie ustają; lecz szczęście to trwa, jak pani powiedziałaś, jednę króciuchną chwilę. Zaledwie myśl wzięła na siebie ciało, gdy wyobraźnia porównywa je do tego, co nosiła w sobie, w złotych snach wypieściła. Niedołęztwo tego co przyszło na świat przywodzi do rozpacz y. Szczęście krótkie zmienia się w zgryzotę. Następuje zniechęcenie, gorycz, zwątpienie o sobie, tém boleśniejsze, że przychodzi niespodzianie i rozpromienioną duszę ciemnościami zaléwa.

— Rozumiem tę boleść — odpowiedziała Liza — ale z twórczością w sztuce nie dzieje j się to samo, co z nadziejami i ideałami całego życia naszego? Wierzymy w nie, chwywamy widma zwodnicze i szczęściem jest jeszcze, jeśli się w nicość rozwieją, szlamu i kałów nie zostawiając po sobie.

— W życiu — dodał Wiktor ze smutnym półuśmiechem — największym szczęściem są nadzieje i pragnienia; o nie się modlić potrzeba.

— Dopóki się niemi ludzić można — dodała Liza. — Po smutnym doświadczeniu źródło ich wysycha.

— Naówczas — rzekł Wiktor wesoło — trzeba z czynnego aktora na scenie stać się widzom zrezygnowanym i chłodnym; wybrać sobie fotel wygodny, sąsiedztwo niezbyt uprzykrzone i... dosiedzieć do zapuszczenia kurtyny spokojnie.

Pani domu potwierdziła to smutnym uśmiechnięciem się.

— Pan jednak jesteś zamłody do zajęcia tego fotelu — szepnęła.

— A! pani, ja jestem niezmiernie stary — odparł Wiktor — nie tak latami, jak doświadczeniami wszelkiego rodzaju, które się w nich skupiły. Widzem tym już jestem od dość dawna i nie życzę sobie powracać na scenę.

Spojrzeniem zdawał się pytać Wiktor: A pani?

Liza spuściła oczy i nie dała odpowiedzi.

Wśród tej rozmowy, trochę zapowaźnej dla Ferdynanda, młodzieniec, czując iż lepiej się było nie mieszać do niej, czynnie się zajmował gospodarowaniem koło stołu. Rozporządził służbą, dawał rozkazy, wysyłał ludzi, udając że mu na nic więcej nie stawało czasu.

Parę razy zwróciła się ku niemu siostra; odpowiadał jej półsłowami i wracał do tego krzątania się, trochę nienaturalnego, za które jednak i ona i pan Wiktor wdzięczni mu być musieli.

Gospodyni, nie dając tego poznać po sobie, rzucanemi od niechcienia pytaniami starała się z gościa coś o jego przeszłości wyciągnąć.

Zaczęła kilka razy mówić o różnych kraju prowincjach, wspomniała o Wołyniu i z trwożą nową a niesmakiem przekonała się, że człowiek ten, którego ona nie знаła wcale, stosunki niegdyś ją otaczające, osoby najbliższe jej znał bardzo dobrze. Nic mu tam obcym nie było... mówił o ludziach, miejscach, o wypadkach przeszłości, jak gdyby niegdyś był ich blizkim.

Na wzmiankę o nieboszczyku mężu pani Lizy, którą nieostrożne pytanie wywołało, rumieniec oblał ją; zamilkła, okazując tak wyraźnie pomieszenie, iż Wiktor, dostrzegłszy to, bardzo zręcznie zmienił przedmiot rozmowy, poczynając rzecz o Włoszech i Rzymie.

Chcąc czémś weselszém zabawić, żartował z towarzystwa, które tak chciwie zbiegło się oglądać nieznaną artystkę, o czém mu pan Ferdynand powiedział.

— Księżna, wracając, wstępowała do mnie — dodała Liza, ochłonawszy z pierwszego wrażenia. — Ona jest wistocie zajęta mocno nieznaną, ale u niej nie jest to prosta ciekawość. Złote serce ma w tém udział wielki; wyobraźnia tworzy już sobie na tém tle cały dramat, aby w nim odegrać mogła rolę anioła-stróża.

— Nie wiem co się stało hr. Filipowi — przerwał Ferdynand, rad łatkę mu przypiąć, bo wiedział że siostra go nie lubiła. — On, zwykle tak skory do szukania znajomości, do zawiązywania stosunków, w celu zupełnie przeciwnym niż księżna, na ten raz okazuje nietylko obojętność, ale wstręt prawie; on jeden nie poszedł nowozjawionej oglądać.

— Ty go zawsze sądzisz zasurowo — stając w obronie, odezwała się Liza. — To biędny, także życiem zmęczony człowiek... wiele mu przebaczyć potrzeba.

— Ja też nie potępiam go, ale się nad nim lituję — odparł Fernando. — Nie ma jakoś szczęścia do nikogo. Powtarza ciągle, iż radby skończyć życia włóczęgę, ożenić się i sięść u domowego ogniska, ale nikt go nie chce za towarzysza.

— Widać że na owę żonę przeznaczoną, jak mówi nasze przysłowie, nie trafił jeszcze — dodała. — Pan mówiłeś — zwróciła się do Wiktora — iż nie każdy, co jest zrodzony na artystę, zostać nim może. Tak samo są i upośledzone istoty, co na bratnie dusze, z którymiby szczęśliwe być mogły, nie umieją trafić. To jest podobno losem hrabięgo Filipa.

— Zdarza się gorzej jeszcze — dodał Wiktor. — Czasem się przychodzi zawczasie, gdy istoty przeznaczone nie rozbudziły się jeszcze do życia; niekiedy zapóźno... a wówczas trzeba błędzić samemu.

— Życie wogóle zabawném nie jest — wyrwało się, jakby mimowolnie, pięknej wdowie.

Wstawali od stołu. Ferdynand znowu tak się zajął służbą, pilnymi sprawami kawy czarnej i likworu, że Lizę, niespokojnie się za nim oglądającą, samę z gościem zostawił.

We dwoje przeszli do salonu. Milczenie, przykre dla obojga, trwało dość długo. Gospodyni spoglądała na niego, on patrzył na nią chciwie. Mieniały się te wejrzenia, mówiące więcej niż słowa, niepokojące, zdające się jak błyskawice zapowiadać pioruny.

Lecz w momencie, gdy się groźny jakiś wybuch gotował, Wiktor, usiadłszy nieco opodal, spokojnie począł mówić o mieszkaniu pani Lizy, o freskach, o uliczce, przechadzkach na Monte Pincio i okolicach, które znał doskonale. Gospodyni musiała mu być niewymownie wdzięczną, z oczu jego bowiem czytała, że wcale co innego miał na myśli i mogło mu się łatwo wyrwać coś drażliwego.

Wśród tego paplania o niczym, oboje ochłonęli. Popłynęły pytania i odpowiedzi tak znowu swobodnie, iż wchodzący i wychodzący ciągle Ferdynand, słysząc śmiechy i ożywione opowiadania, nie czuł potrzeby na pomoc siostrze przybywać.

Tak przesiadzieli dosyć długo. Zaczynało się mieć ku wieczorowi.

Przekonawszy się, że artysta nie był ani napastliwym do zbytku, ani nieostrożnym, że można go było, pomimo wejrzeń zdradliwych, utrzymać w pewnych granicach, nie obawiając się już wybuchu — pani Liza stała się z nim poufalszą i śmielszą.

Pod koniec rozmowy o Rzymie, wyraziła się nieśmiało że raz będąc tutaj, radaby skorzystała z pobytu, nauczyć się czegoś więcej, oswoić ze sztuką i jej arcydziełami. Dała nawet do zrozumienia, iż Wiktor mógłby jej być w tém pomocą, dodając zaraz:

— Wprawdzie małe kółko nasze z każdą poufalszą znajomości, z przyjacielskich stosunków, lubi zaraz złośliwie wyciągać wnioski, i to może odstręczać od obcowania z tymi, z którymi żyćby najmiliej było. Ja jednak wcale na to zważać nie myślę.

I ta chęć uczenia się, i ta przestroga, oznaczały już pewne zaufanie, a śmielsze były, niż się po wdowie spodziewać było można. Sama ona czuła, że może posunęła się zadaleko, że była niezręczną; lecz w stosunku do Wiktora nie poznawała siebie.

Na wezwanie o pomoc w studyowaniu dzieł sztuki, Wiktor odpowiedział nieco zdziwiony:

— Jestem cały na usługi pani, choć nie wiem czy się na co przydać potrafię. Złośliwość ludzi, gdyby spróbowała swych zębów, to chyba na mnie, a ja mam skórę hypopotama. Wątpię jednak, aby mi ten zaszczyt uczynić chciano...

W śmiech to obróciła dość niezręcznie gospodyni i zagadano o czém inném; wejrzenia jednak krzyżowały się, daleko od słów wymowniejsze.

Przesiadawszy tak zadługo, Wiktor wziął wreszcie za kapelusz, gdy Ferdynanda właśnie w pokoju nie było. Pani Liza spojrzała ku niemu z wyrazem życzliwości wielkiej, a gdy się zbliżył do niej, podała mu rękę i odezwała się przy pożegnaniu:

— Rachuję więc na to, że w panu mieć będę nauczyciela.

Tu zatrzymała się chwilę i prawie niedosłyszalnych głosem dodała:

— I przyjaciela...

Wiktor nie umiał nic odrzec. Spojrzał na nią błagająco, jakby chciał powiedzieć: O pani! nie każ mi nanowo rozpocząć życia!

Jakby zrozumiała to wejrzenie wymowne, Liza dorzuciła jeszcze:

— Pan doświadczyłeś wiele i chcesz być już tylko widzem życia; ja także oddawna uczyniłam to postanowienie. Możemy więc chwilę razem popatrzeć na scenę...

Wyszedł Wiktor tak wzburzony uczuciami jakimiś, tak roztargniony dziwnie, że gdyby Ferdynand mu się sam nie nastęrczył, byłby go może zapomniał pożegnać. Liza natychmiast pobieгла skryć się w swoim pokoju i siadła rozmyślać nad tém, czy nie powiedziała zawiele, czy się zanadto nie zdradziła. Serce jej biło mocno.

Kto znał jej przeszłość nieszczęśliwą, nie dziwowałby się, że za stracone, zmarnowane dni serce się dopominało nagrody; że przy spotkaniu z istotą sympatyczną, wybuch musiał nastąpić tém gwałtowniejszy, im bardziej był spóźniony i mniej spodziewany.

Wieczorem Eliza nie wiedziała, czy się ma kogo spodziewać u siebie. Księżna wprawdzie przychodziła prawie codzień na herbatę, ale już raz była rano. Nie robiła ona ceremonij, lecz rachować na nią nie mogła. Z resztą dnia nie wiedziała co zrobić; ciężyla jej nagromadzonemi myślami. Sama pozostać z niemi nie chciała... Już miała posłać służącą po Ferdynanda, aby jej towarzyszył na Monte Pincio, gdy dano znać, że księżna Teresa jest w salonie.

Niezmiernie rada jęj, wybiegła naprzeciw, układając twarz do swobody i wesela.

— Zamęczam cię — poczęła księżna — ale się czułam smutna, nie wiedziałam co zrobić z sobą. Kunusia mnie wyprawiła do ciebie. Bądź miłosierną!

Liza białe rączki załamała.

— Ale ja nie wiem — zawołała — czym kiedy księżnie tak była wdzięczną za jęj przybycie, jak dzisiaj, bo i mnie było duszno, smutno i tęskno.

— Są takie ciężkie, ołowiane w życiu chwile — poczęła, siadając, księżna Teresa. — Nie wiem co wywołało we mnie dziś ten ucisk duszy: czy widok tęg biędnej a męźnej kobiety, która się na artystkę kształci z taką potęgą woli, a tak widocznym bólem w duszy — czy może ten zagadkowy Wiktor, który mi chodzi ciągle po myśli.

Posłyszawszy to imię, drgnęła pani Liza, ale natychmiast wróciła do pozornęg obojętności.

— Nie jestem z natury tak dziecinnie ciekawą — ciągnęła dalej księżna. — Moje wścibstwo i krzątanie się jest skutkiem próżniactwa i potrzebą zajęc. Ten Wiktor pseudonimski nie byłby mnie może tak zaintrygował, gdyby nie ta kamea, o której ci wspominałam.

Milcząc, skinęła Liza, iż wie już o nięg.

— Do historii tęg szpilki — dodając, księżna — przybyło jeszcze jedno postrzeżenie, które najdziwaczniejsze domysły rozbudza. Pięrszy raz widząc tego Wiktora, sądziłam że go gdzieś widziałam, znałam... Łamałam nad tęg głowę. Ruchy, ton mowy, wyraz twarzy przypominały mi kogoś niezmiernie znajomego... Męczyłam się tęg długo, gdy Kunusia, która widziałam u mnie w czasie herbaty tego nieznanomego, otworzyła mi oczy, a raczęg nabawiła gorszego niepokoju.

Mówiąc to, księżna chwyciła rękę Lizy i, oglądając się niespokojnie, szeptała:

— Coś się zgadało o tęg, że nowy gość był u mnie. W tęg Kunusia powiada: „Czy tęg to księżny nie uderzyło, jak ten pan nadzwyczajnie do nieboszczyka starego księcica-ojca podobny? ” Zamilkłam, bo dopiero teraz uderzyły mnie te rysy, jakby familijne. Może to być przypadkowe, ale trzeba wiedzięc, że owa kamea, którą u niego spostrzegłam, była własnością starego księcica. Złóż-że to razem, moja droga, i powiedz mi, czy nie mam prawa niepokoić się i łamać sobie głowy?

Liza słuchała blada, równie jak księżna poruszona.

— Stary ksiązę — mówiła dalej przybyła — był najprzykładniejszego życia. Nikt nigdy go nie mógł posądzić o żadne tajemne stosunki. Owdowiał wcześniej, a żenić się nie chciał powtórnie; żył bardzo samotny na wsi, nie wychylając się z domu prawie.

Po krótkim milczeniu, księżnie wyrwało się znowu:

— To podobieństwo i ta kamea, jak to sobie wytłumaczyć?

— Tak, wistocie — przebaknęła gospodyni nieśmiało — dziwne to bardzo; ale bywają czasem takie trafy, takie pozory ludzące...

— Nazywa się Gorajski — ciągnęła dalej księżna Teresa — ale to nie jest prawdziwe jego nazwisko. Rodzina tego imienia była w kraju, to wiem, ale nie w naszych stronach, nie na Wołyniu, z ką pan Wiktor zdaje się pochodzić, bo zna tam wszystkich.

— Przekonałam się i ja o tęg z rozmowy — dodała Liza, rumieniąc się. — Stosunki nasze wcale mu nie są obce.

— Bądźcobądź — zakończyła księżna — muszę to rozjaśnić. Nie mogę pozostać z tęg brzemieniem na piersi. Któż wie, to może nieszczęśliwy jaki człowiek rodziny mojego nieboszczyka, odrzucony, sam... sierota!

Dwie panie, szepcząc tak, przeniosły się ku balkonowi, chcąc świeższym odetchnąć powietrzem wieczoru, gdy drugi codzienny gość, hrabia August, wszedł pocichu.

Truło mu miłe towarzystwo pani Lizy nieodstępne ściganie Filipa, a tego wieczoru miał nadzieję, że go nie zastanie.

Odetchnął swobodnie, widząc iż wistocie nie było go w salonie. Gościa požądanego księżna szczególniej powitała z wielką uprzejmością. Był-to dawny przyjaciel domu, któremu się zwierzyć mogła. Zaraz tęg po przywitaniu wzięła go na stronę, żywo zaczynając się spowiadać ze swęg trwogi i domysłów, z historii kamei i rysów familijnych Wiktora.

Hrabia August znał dobrze rodzinę całą ksiąząt, mógł więc najlepiej osądzić, czy postrzeżenie panny Kunegundy trafne było, czy fałszywe. W czasie opowiadania z twarzy

sluchacza, zawsze jakby zastyglęj i mało się zdradzającęj, księżna nic wyczytać nie potrafiła. Słuchał z uwagą, długo ani przerywając, ani odpowiadając. Zdawał się jednak mocno uderzony historią kamei.

— Podobieństwa pewnego fizygnomii, ruchów, tonu mowy nie mogę zaprzeczyć — odezwał się wreszcie. — Jednakże toby jeszcze niczego nie dowodziło. Trafiają się najdziwniejsze atawizmy w rodzinach szlacheckich, bardzo dalekie z sobą mających pokrewieństwa. Co do kamei zaś, dziś się ich tyle fabrykuje nawzór dawnych, fałszuje tyle...

— Ale ta-bo jest stara, nadzwyczaj piękna i wcale nie fabrykowana — przerwała księżna. — On sam powiada, że to pamiątka familijna.

Hrabia stał zamyślony.

— Nazywa się Gorajskim — dodała księżna — ale to jest *un nome di combattimento*... to nie prawdziwe jego nazwisko.

— Być może — przebaknął hr. August. — Dla mnie człowiek to sympatyczny! Hr. Filip chce w nim widzieć awanturnika, podejrzanego komedyanta; ale ja, com się rzadko zawiódł na pierwszym wrażeniu, znajduję go bardzo przyzwoitym, choć nieco oryginalnym.

— Dlaczegoż się osłania jakąś tajemnicą, ukrywa? — zawołała księżna. — Mnie to niepokoi.

Hrabia August przebaknął coś niewyraźnego, jak gdyby dalszëj o nim rozmowy chciał uniknąć. Uczuwszy to, księżna nie nalegała i ustąpiła powoli zachmurzona i smutna.

Powrócili oboje do pani domu, także zamyślonej i pogrążonej w jakichś dumaniach, z których odezwanie się przyjaciółki dopiero ją przebudziło. Wieczór obiecywał się smutnym, gdyż jeden Ferdynand, który wesół był zawsze, nie starczył na ożywienie towarzystwa, a dobry humor jego łatwo w wielką wpadał trywialność. W podobnych wypadkach hr. August, zwłaszcza gdy mu Filip nie przeszkadzał, dawał dowody wielkiego mistrzostwa w naprowadzaniu i prowadzeniu rozmowy. Potrafił więc, usiadłszy przy gospodyni, wywołać uśmiech na jęj usta, a księżnę zmusić do zapomnienia trosk o kamei i zagadkowym podobieństwie...

Wiktor, powróciwszy do domu, zrzucił natychmiast ubranie dla salonu włożone, które zdawało się ciężyc mu mocno. Namyslał się czy pójść orzeźwic się dziecinną rozmową z Pepitą, czy użyć przechadzki, a nareszcie wyszedł na Monte Pincio.

Po każdym zbliżeniu się do wielkiego świata, zdziczały ten człowiek potrzebował zawsze swobodnego ruchu, towarzystwa, w którémby go nic nie krępowało, powietrza dla pierwi samotnej włóczęgi, do któręj nawykł, sam jeden długo błędząc po Rzymie.

W cieniu drzew na Monte Pincio znaleźć można zawsze gdzieś ławkę pustą, i popatrzyć na Rzym, usypiający w mrokach wieczoru, mrugający światelkami, jakby oczyma drzemiaczami.

Przesuwający się przechodnie ozywiają ten plan pierwszy pięknego obrazu, nie psując wrażenia całości. Z cygarem w ustach, Wiktor zasiadł wygodnie i oparł się o pień kasztana, gdy w dali spostrzegł kobietę, całą obwinietą wielką chustką czarną, przechadzającą się zwolna, z głową spuszczoną.

Niekiedy stawała, rzucając okiem na obraz, który dla nięj zapewne był nowym; potem, jak gdyby inni przechodnie przypominali jęj obowiązek poruszania się, szła znowu krokiem opieszalym.

Wiktor poznał w nięj łatwo owę artystkę, tak mocno zajmującą całą kolonią polską.

Nie miał zamiaru zbliżać się do nięj, ale mimowolnie oczyma ją śledził, starając się odgadnąć myśli biędnej samotnicy. Postać jęj, ruchy, chód, zwieszona głowa, jakby ciężarem jakimś przygniecioną, dawały odgadnąć łatwo istotę znękaną, z nowém swém położeniem nieoswojoną.

Wiktor starał się odgadnąć przeszłość tęj wygnanki, zmuszonej chwycić dla życia za penzle, dawniej służące jęj tylko za zabawkę. W ciągu bardzo krótkięj z nią rozmowy dostrzegł, że nie musiała być oswojoną z niedostatkiem i artystyczną oszczędnością. Ubiór jęj, nadzwyczaj prosty i niewykwintny, ułożony był jednak z pewném staraniem nałogowém o wdzięk; ręce były delikatne, białe, arystokratyczne, niezpracowane, a wyraz

twary nienawykły do pokory ubogich. Coś dumnego, gniewnego niemal, energicznego patrzyło z oczu wpadłych głęboko, ciemnymi śladami łez obramowanych.

Przypatrywał się jęj Wiktor, znajdując także coś tragicznego w tęg postaci błąjącej się samotnie wśród tłumu, z myślami i troskami — gdy przechadzająca się, potrącaną będąc przez wesółych a nieuważnych przechodniów, usunęła się trochę w głąb ku drzewom i zbliżyła ku ławce, na której siedział Wiktor w cieniu. Nie widziała go zrazu i rozpoczęła swą przechadzkę nanowo, tu, gdzie mniej było ludzi, a miejsca więcej.

Przesła tak parę razy około niego, nie postrzegłszy, i dopiero po kilku zwrotach, rzuciwszy na ławkę okiem, zdawała się go poznawać. Ciekawemi oczy zmierzyła go, dla sprawdzenia czy się nie myli; wstrzymała się nieco, zawahała i przystąpiła bliżej.

Wiktor zmuszony był się uklonić, na co odpowiedziała mu skinieniem głowy i siadła dalej trochę na tęg samej ławce.

— Korzystam ze sposobności, aby panu podziękować — odezwała się głosem, w którym mniej było energii, niż gdy ją spotkał pierwszą razą. — Wymknąłeś mi się pan tak, żem mu nawet polskiego Bóg zapłać powiedzieć nie mogła.

— Bo nie było za co — odrzekł, śmiejąc się, Wiktor.

— Pan jesteś artystą? — zapytała.

— Nie, pani, jestem próźniakiem, miłującym sztukę i czasem trwoniącym czas na nią niepotrzebnie.

Z głową zwróconą ku niemu słuchała kobięta.

— Cieszę się, że pan nie jesteś artystą i że ja go nie zastraszę przybyciem mojem tu, gdzie artystów jest tylu, a miłośników podobno tak mało.

Pomyślała trochę i ciągnęła z coraz wzrastającą energią:

— Niech to pana nie dziwi, że nie mając kogo pytać, będę niedyskretną. Szczerze mi pan powiedz: czy z małym talentem a wielką pracą można wyżyć z tego penzla nieszcześliwego?

Wiktor słuchał cierpliwie.

— Z wielkim nawet talentem i niemniejszą pracowitością sztuką żyć bardzo trudno — odparł, nie obwijając w bawelnę surowego wyroku. — Do pozyskania imienia dobić się niełatwo, a bez niego jest się na łasce przekupniów. Ci zaś mają tyle do wyboru, a tak są nawykli do nabywania prawie darmo, że rachując na nich, można umrzeć z głodu. Ludzie co kupują, wolą tanio nabyć u handlarza brzydkość, niż coś dobrego u artysty. Nie znają się powiększej części, idzie im tylko o pamiątkę z podróży.

— A jeżeli do życia potrzebuje się mało, bardzo mało? — przerwała kobięta.

— Nie wiem doprawdy, co mam pani odpowiedzieć, abym jęj nie uczynił zawodu — rzekł Wiktor. — Nie byłem dotąd narażony na konieczność zarobkowania.

Nastąpiło milczenie. Kobięta szklanemi oczyma patrzyła ku Watykanowi; Wiktor patrzył na nią. Miała w tęg chwili oblicze wistocie tragiczne.

— Nie sądzę pan — dodała zimno — ażebym i ja już się znajdowała w położeniu podobnem. Zapewne dość długo jeszcze płótno psuć będę mogła, nie potrzebując szukać na nie kupca, ale wszystko przewidzieć trzeba.

Słuchacz nic nie odpowiedział.

— Pani wprost z kraju przybywa? — zapytał po przestanku.

— Nie — odparła nieznajoma — od lat kilku mieszkałam za granicą. Zmieniło się położenie moje, a dawniej już kochałam sztukę i zajmowałam się nią dla niej samej.

To mówiąc, wstała, poprawiła na sobie chustkę i chciała już odejść, ale usiadła znowu.

— A pan oddawna jesteś w Rzymie? — zapytała.

— Po Włoszech włóczę się nie od dzisiaj, choć niezawsze siedzę w Rzymie — rzekł Wiktor. — I terazbym tu nie powinien być, gdyby... nie jakaś ociężałość i... różne okoliczności.

Nieznajoma poruszyła się znowu i zatrzymała, namyśliwszy nieco.

— Rzym jest cudnie piękny — odezwała się — ale jakże smutny!

— Jest tęg on przytułkiem tych, co tu resztki życia przychodzą zagrzebać w miłości sztuki, lub w modlitwie. Młodzi tu prędko starzeją, a starzy żyją długo.

Kobięta popatrzyła na Wiktora i, skłoniwszy mu się głową, powolnym krokiem odeszła. Widział ją jeszcze parę razy idącą wzdłuż placu, aż znikła mu w mrokach wieczora. Z politowaniem powiódł za nią oczyma. Z krótkiej rozmowy łatwo było wywnioskować,

że biedna kobieta przybyła tu ze złudzeniami niedoświadczenia i ciężkie godziny miała do przebycia przed sobą. Czuł przytém, iż była jedną z tych istot dumnych, którym żadnej pomocy ofiarować się nie godzi.

Przesiedział tak, pozostając na miejscu prawie do mroku sam na ławce; potem nalogowo, machinalnie powlókł się do swojej tratoryi. Potrzebował się czémś rozerwać, wrócić do postradanego stanu ducha, w którym czuł zmianę wielką.

Przyczyną jęj była Liza. Wiedział o niej z dawniejszych czasów tyle, ile wszyscy zdala stojący słyszeć mogli. Bliższe poznanie nowe myśli obudzało. Ostatnia rozmowa w zastygłą duszę rzuciła zarzewie. Rozczarowany, ochłodły, obawiał się dać ująć urokowi, który nań wywierala.

— Powiniennem uciekać, gdy tylko przyzwolicie wykonać to się da — mówił w duchu. — Przynależem ją oprowadzić po Rzymie. Zniknąć nagle byłoby niegrzecznie. Potrzeba znaleźć powód do odjazdu.

Szedł tak rozmyślając, gdy naprzeciw posłyszał ze śmiechem suchym i naleganiem kilka razy coraz głośnieję powtórzone:

— *Buona sera!*

Trudno było w antypatycznym dźwięku tych słów nie poznać hr. Filipa. Szedł po-drażniony, rozgorączkowany więcj niż zwykle, zmuszając się do fałszywjej wesołości.

— Sądziłem że pan dotąd siedzisz u naszego ideału — odezwał się, naciągając. — Słyszałem żeś pan tam obiadował.

— Zkądże hrabia wieśz o tém?

— Wiem wszystko, co się ideału tyczy — mówił Filip, zwracając się i okazując ochotę towarzyszenia idącemu ku garkuchni. — Cały świat wie, że się kocham oddawna w pięknej Lizie że o nią jestem zazdrosny.

— Ja przynajmniej do tego mu nie dam powodu — rozśmiał się Wiktor.

— Dlaczego nie. Wszyscy co się zbliżają do niej, co na nią patrzą, co z nią mówią, którym się ona uśmiecha, budzą zazdrość we mnie. Zazdrośćcę nawet jęj bratu i służącym.

— A! — przerwał Wiktor szydersko — więc wedle słów poety powinieneś pan zazdrościć i wiatrowi co muska jęj lice, słońcu, które gra w jęj oku...

— Wszystko to śmieszne być może, nie przeczę — odparł hrabia — lecz namiętność wszelka zimnym ludziom wydawać się musi śmieszna. Tak jest — dodał z pewnym rodzajem desperacji, która żartobliwą być chciała. — Kocham się w tym ideale od lat wielu... nadaremnie, a ulęczyć mnie z tęg pasyi nawet lodowata obojętność przedmiotu mych adoracyj nie może! Umrę już z tą chorobą.

Szli zwolna ku tratoryi, a hrabia z ciąglą gorączką, nie zważając na małą znajomość z Wiktorem, wywnętrzał się w sposób nieco dziwaczny.

— To nieszczęśliwa kobieta! Nieboszczyk mąż ją zgubił, odebrał jęj wiarę w ludzi, ochotę do życia. Był-to człowiek potworny, tyran, rozpustnik, cynik obrzydliwy, który tego anioła poszanować nie umiał. Cierpiała z nim tyle, że jęj życie zbrzydło; cały rodzaj męzki musi sobie wyobrazać tak ohydnie zepsutym, jak był ów Cyryl. Odpycha tęg wszystkich. Nie dziwiłbym się, gdyby mnie jednego los ten spotkał i tłumaczyłbym to jakąś idiosynkrazyą; lecz tak samo odrzuciła hr. Augusta, który się w niej od niepamiętnych czasów kocha i pozostał jęj wiernym. Tak samo odprawiła młodszych i wielce dystygowanych.

— Brat mi mówił i ona sama się z tém nie tai — rzekł Wiktor — iż wcale za mąż iść nie myśli.

— Ale one tak mówią wszystkie — rozśmiał się hrabia. — Właśnie dlatego, że to się tak głośno i często powtarza, jabym wątpił. Gorycz piérwszego małżeństwa pozostała jęj jeszcze na ustach.

Wiktor chciał odwrócić rozmowę.

— Hrabia znaeś pana Cyryla? — zapytał.

— Nietylkom go znał, ale miałem nieprzyjemność być jego krewnym — odparł hr. Filip. — Żyliśmy z sobą na stopie poufałości. Klóciłem się z nim z powodu tęg nieszczęśliwjej ofiary, którą zamęczał cynizmem bez litości, szyderstwem bez względu, afiszowaniem swych fantazyj monstualnych... Mając takiego anioła, prowadził pod jego bokiem życie tak skandaliczne, że o niem mówić nawet niepodobna. Że ta kobieta przeżyła boleści,

których doświadczyć musiała, wstyd, upokorzenie... to cud! Z kału tego, o który się ocierać była zmuszoną, wyszła jednak czystą, ale na duszy zabita.

Wchodzili do tratoryi, Wiktor zajął miejsce, nie podsycając rozmowy i sądząc że hrabia go porzuci. Ale Filip zasiadł przy stole, zuporem niezrozumiałym.

Po krótkim milczeniu, jakby sobie coś przypominał, odwrócił się do Wiktora.

— Zdaje mi się — zawołał — że pana widział na Monte Pincio, rozmawiającego z tą... jakąś artystką, Polką, przybyłą do Rzymu.

— Tak jest — rzekł Wiktor. — Miałem sposobność oddać jej małą przysługę; przysłała mnie o coś zapytać.

— Czy mówiła panu jak się zowie? — badał, wpatrując się w niego pilno, hrabia Filip.

— Nie pytałem o to, nie jestem ciekawy — rzekł Wiktor.

— Przybyła tu kształcić się na artystkę — zawołał szydersko Filip. — Pocieszna idea! Pan przez miłosierdzie powinieś jej to wybić z głowy. Naprzód Rzym dla chcących się uczyć jest zawczesny, powtóre stosunki w nim... dla kobiety, ciężkie, niewłaściwe. Należałoby jej odradzić pobyt w Rzymie, z obowiązku sumienia.

Hrabia mówił to jakoś tak gorąco, jak gdyby go nieznajoma obchodziła wielce. Wiktor ramionami poruszył.

— Jest mi tak dobrze jak nieznajomą i bliżej się zapoznawać nie mam ani czasu, ani ochoty, a ona sama, jak się zdaje, zawiązywania stosunków z nikim sobie nie życzy — rzekł po chwili. — Mieszać się więc w to nie mogę.

— Lecz jeżeli ona sama zagadnęła pana i zasięga rady — odezwał się hrabia, nie patrząc w oczy Wiktorowi i bawiąc się szklanką, którą nielitościwie o stół uderzał. — Przecież to jest obowiązkiem chrześcijańskim ostrzedz, radzić, pomagać. Być może iż fantazya ją tu zapędziła, że się spostrzeże zapóźno, jak fałszywy krok zrobiła, a nie będzie miała środków do naprawienia go, w razie gdyby chciała odjechać.

Tu hrabia zaciął się nieco i rzekł bardzo cicho:

— Ja z chęcią środków jej dostarczę.

Dziwnie jakoś Wiktor spojrział na niego.

— A czémże ona pana hrabiego litość tak żywo obudzić mogła? — zapytał.

— Moję? — hrabia pomyślał. — Ależ jam jej nawet nie widział zblizka; chrześcijański tylko obowiązek, a potem... zawsze należymy do jednego narodu i jakby do jednej rodziny.

Tę nadzwyczajną gorliwość w spełnianiu obowiązków i w poszanowaniu węzłów krwi tak mało się Wiktor spodziewał po hrabi Filipie, tak z jego ust zdało mu się to nadzwyczajnym, że w twarzy jego wyraziło się dobitnie zdziwienie zaniemiałe.

Gorączkowo wstrząsnął się, niby obrażony niemi, hr. Filip.

— Zdaje mi się — dodał — że w tém com powiedział niema nic tak nadzwyczajnego. Nie możesz mi pan naganić tego.

— A! uchowaj Boże — zawołał Wiktor — lecz nie nawykłem za granicą do takich objawów sympaty dla nieznajomych ziomek.

— Kobięta, proszę pana! — odparł nieco zmieszany hrabia. — Położenie, którego się domyślać łatwo mimowolnie obudzać musi współczucie.

— Niech-że się hrabia uspokoi — rzekł Wiktor. — Wprawdzie zapytywała mnie dziś właśnie, czy sztuka może wykarmić i starczyć skromnym potrzebom, ale zarazem dodała, iż uciekać się do niej teraz jeszcze nie jest zmuszoną.

Hrabia Filip słuchał z uwagą tak nadzwyczajną, iż znowu podejrzenie obudził w Wiktorze. Gdy ten mówić skończył, zapatrzył się hrabia w szklankę i zadumał.

Tymczasem Wiktor, śmiejąc się, rozmawiał z piękną Pepitą, która, nie zważając na obecność trzeciego, szczebiotała, jakby radując się, że zobaczyła starego przyjaciela.

Rozmowa z Włoszką na czas jakiś przerwała rozpoczętą z Filipem, który zmarszczony siedział naprzeciw i zdawał się wahać, a namyślać. Po odejściu Pepity podniósł głowę.

— Tak, tak — zawołał. — Ponieważ ta nieznajoma sama szuka w panu opiekuna i doradcy, radź jej pan, aby conajprędzej Rzym opuściła.

— Nie podejmuję się tego — odparł Wiktor — bo wogóle znajduję, że samemu sobie radzić trudno, cóż dopiero drugim.

— Drugim daleko łatwiej — podchwycił hrabia. — Wierz mi pan!

Zaciął się znowu i szklankę potoczył, która, padłszy na ziemię, na ceglanej posadzce się roztukła. Z niecierpliwością hrabia kopnął nogą szczątki i skruszył je.

Z wysiłkiem widocznym pochylił się do Wiktora.

— Między nami mówiąc — szepnął — zdaje mi się że znam tę panią. Jestem tego prawie pewnym; dlatego los jój poniekąd mnie obchodzi. Rozumié pan?

— Rozumiem — rzekł zimno Wiktor — lecz nie wiem dlaczegobyś hrabia sam, znając ją, nie miał się zbliżyć do niéj. Byłoby to daleko właściwszém.

— Ja nie mogę — wybuchnął hrabia Filip, którego oczy zaiskrzyły się. — Uczyniłoby to przykrość niewysłowioną jój i mnie. Niemogę! — powtórzył — nie mogę! Ta nieszczęśliwa się zgubi! To istota nieopatrzna, fantastyczna, dumna, zdziwaczała...

Mówiąc, wstał poruszony hrabia Filip, wyciągając rękę do Wiktora.

— Powiem prawdę — dodał gorąco — żem dla tego... interesu gonił za panem. Spodziewam się, że, bądźcobądź, zatrzymasz to przy sobie i o tém, com mu zwierzył, nie będziesz mówił nikomu.

Wiktor głowę skłonił.

— Proszę być tego pewnym — rzekł poważnie.

— Stosunki nasze były bardzo blizkie — pośpiesznie dorzucił hrabia. — Siegają one dawnych już nieco czasów. Nie było w nich nic, coby téj pani krzywdę czynić mogło.

Dokończywszy, Filip się podparł na stole i zamilkł ponuro.

— Zaczyna być nudno i duszno w tym Rzymie — dodał. — Gdyby nie pani Liza, na którą patrzeć muszę, dopóki tylko wolno, wyjechałbym ztąd zaraz.

Zaczął się przechadzać po izbie.

— Przychodzi mi myśl jedna — dodał, stając naprzeciw stolika. — Zrobię małą niespodziankę towarzystwu naszemu. Wszystkich panów i panie zaproszę gdzieś na wielką ucztę, abyśmy się choć raz zabawili wesoło! Jak pan myśli, gdzieby to najlepiej, najpiękniej odbyć się mogło?

— Że nie tu u Pepity — żartobliwie odparł Wiktor — to pewna. Innych miejscowości, do ucztowania właściwych, nie jestem świadom... W Rzymie, gdziekolwiek chciałoby się zabawić, nogą zawsze stanie się na grobie.

Filip gryzł palce zadumany.

— Trzeba koniecznie czémś się z tych wiecznie grobowych i żalobnych myśli rozbudzić — zawołał. — Obu księżn jestem pewien, że mi nie odmówią, ale pani Liza, o którą mi idzie najwięcej?

Wiktor jadł, nie wtrącając się do namysłów; radby się był uwolnić od natręta, rozgorączkowanego i w stanie nienaturalnym dziwaczącego. Śpieszył więc z winem i sérem, aby go coprędzej pożegnać.

Domyślając się tego, Filip wziął także za kapelusz.

— Jest późno — rzekł. — Namyślę się jeszcze dokąd zaprosić; lecz w każdym razie, bez żadnej wymówki, i pan mi zrobisz tę przyjemność...

Nim Wiktor zebrał się na odpowiedź, hrabiego Filipa już nie było; wybiegł, jakby go co pędziło.

Pepita, która zdala wszystkie ruchy jego i miny uważała, zbliżyła się do stolika napół przelękła, napół rozśmieszona.

— Ten pan... pijany, czy?... — uderzyła się w czoło.

— Ani jedno, ani drugie, Pepito czarnooka — rzekł smutnie Wiktor. — Coś gorszego od obojga, dziecko moje. Łysy już, a boję się czy nie zakochany.

Dziwczę z ubolewaniem palcem wskazało powtórnie na czoło. Wydał się jój teraz szaleńszym jeszcze.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/chore-dusze-tom-i/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Chore dusze*. Powieść w dwóch tomach, Tom I, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1881.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0420-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).